

MICHAŁ PODGÓRSKI

# Ostatni Rajd

CZASEM TRZEBA ZARYZYKOWAĆ ŻYCIE,  
BY OCALIĆ SWOJE DOBRE IMIĘ

NOVAE RES

MICHAŁ PODGÓRSKI

**O s t a t n i  
r a j d**



**NOVAE RES**

# ROZDZIAŁ 1

Jeździec spiął konia i z impetem wjechał na dziedziniec, tak aby wszyscy go słyszeli. Zwierzę zarżało i stukając kopytami o bruk, zatoczyło na nim koło, zanim zatrzymało się pośrodku. Wszyscy z pewnością zdążyli się już obudzić na skutek hałasu, który wywołał jego przyjazd. Przybywanie tak, aby cały dwór jak najszybciej dowiedział się o jego powrocie, sprawiało młodemu wojownikowi niewypowiedzianą satysfakcję.

– Stajenny do mnie! – zawołał poirytowany dłuższym czekaniem na chłopaka, który zaspany wyskoczył z sąsiedniej izby odziany ledwie w nocną koszulę.

Dopiero teraz dogoniła go reszta oddziału. Towarzysze zsiadali z koni, oddając kolejno lejce w ręce posługującego młodzieńca. Wokół przyjezdnych zaczął się harmider. Rozmawiali między sobą, nie ścisząc głosów, pochrząkiwali, niejeden pierdnął, jeszcze inny stęknął, przeciągając zastane kości. Jeśli po samym tylko przybyciu dowódcy oddziału ktoś w posiadłości nie zdołał się obudzić, teraz z pewnością wszyscy przerwali odpoczynek.

– Dardan! – Starszy mężczyzna stanął w drzwiach z kagankiem w ręku. Wyraźnie za duża czapka nocna opadała mu na oczy i zmuszony był ją co chwilę poprawiać. – Czego tak hałasujesz, na litość?

– Ojciec jest? – spytał młodzieniec, bynajmniej nie zważając na marudzenie starca.

– Nie ma! Dwa dni temu pojechał na zamek w sprawie...

– To i dobrze! Palić w kuchni! Świnie grzać i wino wyciągnąć! – rozkazał Dardan.

– Czy ty wiesz, która jest godzina? – zdziwił się mężczyzna.

Młodzieniec podszedł do niego z wyciągniętymi ramionami. Uściskał i wycałował policzki.

– Galiusie, staruszk... – powiedział Dardan. – Z wojny wracamy. Głodni, zmarznięci. Bądź tak łaskaw i przygotuj nam strawę, a i panny pobudź koniecznie. Niech no chłopcy odpoczną i użyją trochę życia.

Starzec skrzywił się z niesmakiem.

– Sen byłby dla was najlepszy.

– Spać będziemy w trumnach – zaśmiał się Dardan. – Nie daj się długo prosić. – Poklepał go po ramieniu i zwrócił się do towarzyszy. – Zapraszam do sali, panowie! Dziś pohulamy do białego rana!

Galius westchnął i poszedł przygotowywać wieczerzę. Wiedział już, że tej nocy nie dane mu będzie zmrużyć oczu.

Po chwili mężczyźni siedzieli już za długim stołem w głównej sali jadalnej, niecierpliwie czekając na jedzenie, które lada chwila miały podać im służące.

– Może choć wina dajcie prędko! – zawołał Dardan, zobaczywszy jedną z posługaczek krzątających się po pomieszczeniu. Lekko przestraszona dziewczyna omal nie wypuściła z ręki kaganka, którym podpalała kolejne świece, aby rozjaśnić pokój.

– Tak, panie. – Posłusznie pokiwała głową i zniknęła za drzwiami.

Chwilę później wróciła, niosąc w rękach dwa pełne dzbanki. Postawiła je na stole. Jeden z podkomendnych Dardana wymierzył jej solidnego klapsa. Kobieta pisnęła, a mężczyźni wybuchli śmiechem.

Młody dowódca pierwszy dorwał się do naczynia i przechylił je, wlewając w gardło potężną porcję trunku. Czerwone krople spływały mu po szyi, plamiąc koszulę. Odstawiwszy dzban, otarł usta rękawem i donośnie beknął. Towarzyszyła mu przy tym kolejna salwa śmiechu.

– Ojca nie ma – zwrócił się do kompanów. – Zabawimy się więc dziś nieco. Dzisiaj ja tu pan. Używajcie do woli.

Po tych słowach do izby weszły kolejne służące, niosąc na tacach mięso, chleb, sery, jajka i warzywa. Postawiły przed nimi i usunęły się prędko, by nie dawać mężczyznom pretekstów do lubieżnych zachowań.

– Więcej wina! – krzyknął ktoś za znikającymi w drzwiach kobietami.

Przez pewien czas w sali słyhać było jedynie mlaskanie, gryzienie, postukiwanie drewnianych misek oraz wszelkie zazwyczaj towarzyszące jedzeniu odgłosy. Mężczyźni zajadali się łapczywie, rozrywając szynkę w palcach i zagryzając chlebem. Pierwsze dzbanki z winem szybko zostały opróżnione, zaś kobiety nie nadążały z donoszeniem kolejnych. Dardan co chwilę rozkazywał posługaczkom, aby dorzucały drewna do kominka, przynosiły kolejne potrawy i usługiwały jego kompanom.

W pewnym momencie jeden z towarzyszy wstał, unosząc wysoko kielich z winem.

– Wypijmy za naszego wodza, Dardana de Brandta. Za udany rajd przeciw grupie Rozgrzanej Pięści!

– Na pohybel grasantom! – zawołali pozostali, również wznosząc puchary.

– Na pohybel!

– Za Dardana!

Biesiada trwała w najlepsze. Kompania nie szczędziła sobie alkoholu i coraz bardziej bezwstydnego zaczepiania służących. Niektóre z nich wcale chętnie prowokowały mężczyzn do podszczypywania i łapania za krągłości, wydając przy tym wesołe piski i udając oburzenie. Jeden z towarzyszy zaintonował zbereźną piosenkę, którą natychmiast podchwycili pozostali. Na przedniej zabawie godziny mijały szybko, zaś przelany alkohol zaczął dawać o sobie znać.

Pierwszy odpadł Kahaden. Najmłodszy z grupy żołnierz niedawno ukończył piętnaście lat. Mimo młodego wieku był dość dobrym wojownikiem. Szybki, zwinny, a nade wszystko odważny młodzieniec cechował się brawurą i chętnie wplątywał się w każdą możliwą awanturę. Dardan cenił w nim lojalność i poczucie humoru.

Młodzian, po samodzielnym opróżnieniu któregoś z kolei dzbana z winem, wpadł na pomysł, że wejdzie na stół i zacznie tańczyć na cześć swojego dowódcy. Ledwie udało mu się wgramolić na blat, strącając przy tym stojące na nim naczynia i resztki jedzenia. Nie musieli długo czekać. Kahaden zaczął taniec i niemal od razu go skończył, przewracając się na podłogę. Towarzysze zanieśli się gromkim śmiechem.

Sami jednak nie wytrzymali wiele dłużej. Dwaj siłujący się na rękę mężczyźni, zmęczeni pojedynkiem, runęli twarzami na stół, rozbryzgując przy tym kapustę. Ktoś inny nie wytrzymał napięcia i poszedł oddać mocz w kącie korytarza. Ktoś wymiotował pod stołem. Dardan nie pamiętał nawet, jak i kiedy znalazł się na podłodze, opierając głowę na brzuchu jednego ze swoich towarzyszy.

W drzwiach stanął stary Galius i z politowaniem spojrzął na dogasającą już biesiadę.

– Banda wyrostków – skomentował, po czym udał się do własnej sypialni, upewniwszy się wpierw, że żaden z uczestników zabawy nie zakrztusi się własnymi wymiocinami albo nie zrobi sobie przez sen innej jeszcze krzywdy.

\*\*\*

– Wstawaj, gówniarzu! – Donośny głos ojca wybrzmiał niczym uderzenie w gong tuż nad jego głową.

Dardan powoli otworzył oczy, mrużąc je pod wpływem wpadającego do izby światła. Jego powieki były ciężkie, zaś głowa pękała od bólu.

– Nie tak głośno – wychrypiał z trudem.

– Dość tego! – Urban de Brandt nie należał do ludzi cierpliwych. – Wy dwaj, na dziedziniec z nim – rozkazał swoim sługom.

Dwóch rosyłych mężczyzn wzięło ledwo przytomnego Dardana pod rękę i wyniosło na dwór. Młodzieniec wrywał się, ale nie miał siły, aby przeciwstawić się sile dwóch, było nie było trzeźwych, chłopów.

– Galius, przynieś wiadro wody.

Starzec posłusznie wykonał polecenie swojego pana i po chwili wręczył Urbanowi napełnione w studni naczynie.

Pan rodu de Brandtów chwycił ceber i zamaszystym ruchem chlusnął nim na twarz syna. Dardan aż podskoczył oblanym lodowatą cieczą. Zaczął trząść się z zimna i gniewnie spojrzał na ojca. Zabieg przyniósł jednak pożądany efekt, młodzieniec bowiem oprzytomniał w błyskawicznym tempie.

– Ojciec...

– Nie będę z tobą rozmawiał, póki nie doprowadzisz się do porządku. Umyj się i ubierz, jak przystało na spadkobiercę rodu de Brandtów, potem odwiedź mnie w mojej komnacie.

To powiedziawszy, ojciec odwrócił się na pięcie i skierował kroki w stronę drzwi do posiadłości. Galius podążył za nim, zostawiając na dziedzińcu drżącego z zimna Dardana. W szczękającym zębami chłopaku wzbierała frustracja, wiedział jednak, że ojciec był stanowczy i nie należy mu się przeciwstawiać.

Chłopak udał się więc do łaźni, w której kazał zagotować dla siebie wody. Umył się dokładnie, usiłując przy tym nie zwymiotować. Śmierdzącą przesywanicę i skórzane spodnie zamienił na luźne domowe szaty, które przewiązał eleganckim pasem. Uporządkował włosy i ogolił się. O ile jeszcze chwilę temu przypominał bardziej przydrożnego żebraka lub leśnego rozbójnika, teraz było mu już znacznie bliżej do młodego arystokraty, którym wszakże był. Wciąż jednak czuć było od niego woń alkoholu, tej jednak w krótkim czasie nie był w stanie się pozbyć.

Owszem, było mu głupio, ale postanowił nie przejmować się tym przesadnie długo. Spojrzał raz jeszcze w lustro i wzruszył ramionami, jak gdyby chciał przekonać samego siebie, że młodość ma swoje prawa, i ruszył na spotkanie z ojcem.

W komnacie starego de Brandta zastał go wraz z zaufanym sługą Galiussem, siedzących przy stole. Na widok trzymany przez mężczyzn pucharków pełnych wina Dardanowi zaświeciły się oczy. Ojciec, widząc ten błysk, przyciągnął do

siebie dzbanek, dając tym samym do zrozumienia chłopakowi, że ten nie ma co liczyć na poczęstunek.

– Siadaj.

Patrząc pożądliwie na dzban z winem, Dardan usiadł naprzeciw mężczyzn. Spuścił wzrok, spodziewając się reprimendy od ojca. Urban zaskoczył go, przechodząc od razu do meritum.

– Rajd był udany?

– Tak, ojcie – odparł lekko zaskoczony młodzieniec. – Rozbiliśmy grupę grasantów pod wodzą zbója znanego jako Rozgrzana Pięść. Napadali na wioski na południowych rubieżach.

– Straty?

– Brak, ojcie. Wszyscy cali.

Starszy mężczyzna pokiwał głową z uznaniem. Wciąż patrzył na niego surowym spojrzeniem, w jego oczach Dardan dostrzegł jednak błysk dumy.

– Wychodzi na to, że masz więcej szczęścia niż rozumu.

Chłopak nie odpowiedział.

– Jak zapewne wiesz, wracam z zamku. Spotkałem się z królem w naszej sprawie.

– Jakie wieści przynosisz, ojcie?

– Ruddabard wysłuchał mnie i zgadza się, że nasz ród wiele stracił przez suszę panującą od wielu lat na naszych ziemiach. Uznał też, że niski zbyt na wytwarzane przez nas skóry osłabił pozycję de Brandtów w sposób niesprawiedliwy.

Dardan powstrzymywał się, żeby nie ziewać, gdyż coraz bardziej chciało mu się spać. Udał jednak, że słucha ojca uważnie.

– Król docenia jednak nasz wkład w pilnowanie południowej granicy, naszą lojalność wobec korony i przez wzgląd na wieloletnią współpracę naszych rodów pragnie nam pomóc.

– W jaki sposób? – zapytał chłopak.



– Przez mariaż ze swoją najmłodszą córką. Do linii sukcesji panienka ma daleko, ale przez połączenie więzami krwi naszych rodzin odzyskamy należną nam pozycję. – Urban wypowiedział ostatnie słowa z nieskrywaną satysfakcją.

– Małżeństwo? Z córką króla? Ależ ojcze, masz prawie sześćdziesiąt lat! Nie zrozum mnie źle, ale...

– Twoje małżeństwo, synu.

Dardana zmroziło. Wielu rzeczy spodziewał się usłyszeć z ust ojca. Kolejnego łajania za pijackie wybryki, być może rozkaz nowej wyprawy na granicę, ale tej informacji nie przewidział wcale.

– Ojcze...

– Powinieneś się cieszyć. Królowna Vadienne to piękna, młoda kobieta. Będziesz z nią szczęśliwy. A jeśli nie... Cóż, przynajmniej przysłużysz się własnemu rodowi.

– Ojcze, muszę przecież jeździć na granicę. Król oczekuje, że będziemy jej bronić przed grasantami... pilnować porządku i...

– Pojedziesz, synu – przerwał mu Urban. – Jeszcze się nawojujesz, obiecuję ci to. Ale najpierw udasz się do stolicy. Podczas następnej pełni król wydaje ucztę. Chcę, byś reprezentował ród de Brandtów. Będziesz miał także okazję poznać swoją narzeczoną.

Chłopak próbował protestować, ale ojciec przerwał mu gestem ręki.

– Nie chcę słyszeć sprzeciwu. Zrobisz, jak ci każę, Dardanie.

Urban nachylił się w stronę młodzieńca i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. Dzięki temu małżeństwu ród de Brandtów ma szansę odzyskać utraconą pozycję w królestwie. Jeśli zniweczysz tę okazję przez jakiś szczeniacki wybryk, wyklnę cię i pozbawię dziedzictwa raz na zawsze. Zrozumiałeś?

Chłopak speszył się nieco i odpowiedział, przełknąwszy ślinę:

– Zrozumiałem, ojcze.

– A teraz idź. Muszę omówić sprawy dworu z Galiusem.

Dardan wstał od stołu ze skwaszoną miną. Nie podobało mu się, że ojciec woli pochylać się nad istotnymi dla rodu kwestiami w towarzystwie sługi, choćby nie wiadomo jak wiernego i uczonego. Nie był wprawdzie specjalnie zainteresowany nudną, w jego mniemaniu, papierologią, ale sam fakt, że Urban odsuwał go od bieżących problemów, budził w nim frustrację. Mimo to opuścił pomieszczenie i skierował się w stronę schodów. Miał zamiar wreszcie porządnie się wyspać.

\*\*\*

– A jak będzie brzydka? – zapytał Jarmos i zachichotał.

Wysoki, nieco krępy rycerz podkreślił zawadiacko wąsa. Był starszy od Dardana i bardziej doświadczony. Pochodził ze zubożałej szlachty, która od lat wiernie służyła de Brandtom i pomagała w wytwarzaniu skór. Dowódca lubił go i uważał za przyjaciela, jednak czasem jego uwagi, jakkolwiek rozsądne i praktyczne, doprowadzały go do szału.

– Zamknij się – rzucił krótko Dardan.

– Pytasz już o to trzeci raz – dorzucił Kahaden. – Już ci mówiłem. Jak będzie brzydka, to Dardan będzie ją odwiedzał raz do roku, żeby spłodzić kolejnego syna. A tak to hulaj dusza! Mało to dziewczek w tym kraju?

– A mi się wydaje, że nasz herszt całkiem przypadnie, jak weźmie za żonę królową. Ugrzęźnie w jej łożu i tyle go będziemy widzieć.

– Nie nazywaj mnie tak – wycedził przez zęby Dardan. – Nie jesteśmy żadną bandą, żebym był jej hersztem. Jeździmy na granicę na rozkaz króla.

– Twojego teścia, ma się rozumieć. Teraz będzie ci wydawał inne rozkazy. Na przykład... zadbaj, żebym miał dużo wnuków – stwierdził Jarmos i zaniósł się śmiechem.

Dardan ledwo się powstrzymywał, żeby nie zrzucić przyjaciela z konia i nie spuścić mu zasłużonego łomotu.

– Radzę ci, zewrzyj gębę, Jarmos. Zmieńcie temat, do cholery, albo poprzetrącam wam kości!

Towarzysze odpuścili niechętnie i cała trójka jechała w milczeniu przez kolejne kwadransy. Jarmos coraz to podkreślał węża i spoglądał w stronę Dardana, uśmiechając się pod nosem, na co de Brandt rzucał mu wrogie spojrzenia.

Wraz z pokonywanymi stajami krajobraz zmieniał się powoli. Widoczne po obu stronach traktu lasy i zagajniki stawały się coraz rzadsze, by wreszcie ustąpić polacom pustej przestrzeni. Wkrótce do głównej drogi, którą podążali, zaczęły dołączać się kolejne dukty i szlaki prowadzące z okolicznych wsi, gospodarstw, tartaków i smołowni. Obecność pól uprawnych, które z racji pory roku leżały odłogiem, oznaczała, że zbliżają się do stolicy.

Wkrótce ich oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok. Położone na płaskowyżu miasto górowało nad wielką równiną. Mury miejskie, wzniesione na szczycie kilkunastometrowej skarpy, wyrastały z naturalnych gołoborzy niczym konar drzewa z naziemnych korzeni. Zza nich ledwie było widać dachy domów, nad miastem górował jednak wyraźnie potężny gmach zamku stanowiącego centralny punkt stolicy i siedzibę króla. Obok budowli wznosiła się równie okazała katedra, w której kapłani królewscy oddawali cześć Mocy Stworzenia.

Religia Vorenau oparta była na wierze w nadprzyrodzoną siłę, która układała porządek świata. Dardan czasem zastanawiał się nad tym, dlaczego porządek ten był ułożony tak, by stany szlacheckie miały najwięcej do powiedzenia, zaś cała reszta... no cóż, najwyraźniej Moc Stworzenia nie była dla nich nadto łaskawa. Uśmiechał się zawsze, widząc pobożnych kapłanów wznoszących modły w kościołach, głoszących kazania o życiu w czystości i ubóstwie, doskonale wiedząc o tym, że gdy zapadnie zmrok, najpewniej spotka ich w karczmie zajadających się tłustym mięsiwem i nieszczędzących sobie alkoholu.

Galius skrupulatnie tłumaczył mu wszystkie zasady ich wiary, jednak ciągnięty za język potrafił przyznać się do tego, że uważa ją raczej za sprawne narzędzie do zarządzania ludem. Dardan rzadko drażył ten temat, interesowały go raczej kolejne wyprawy na pogranicze, jednak czasem zdarzało mu się dopytać Galiusa o inne religie. Ponoć na terenie królestwa nie zawsze wierzono jedynie w Moc Stworzenia.

Gdy zbliżali się do Vorenau, zaczęli mijać ciągnące tam wozy kupców, samotnych posłańców, rycerzy z giermkami oraz wszelkiej maści podróżników wiedzionych do stolicy rozmaitymi interesami. Widzieli z daleka, jak strażnicy miejscy ochoczo wpuszczali do miasta przedstawicieli stanu rycerskiego, zaś nieco mniej ochoczo służbę opatrzoną w szlacheckie glejty. Najmniej ochoczo traktowano wszelkiej maści przyjezdnych spoza królestwa, zwłaszcza z południowych krain. Tych uważano w Vorenau za szkodników, którzy mogą negatywnie wpływać na porządek publiczny. Nierzadko oskarżano ich o herezję i głoszenie dawno zapomnianej wiary, przez co nawet zwykli kupcy mieli utrudniony wjazd do miasta.

To i tak było jednak niczym w porównaniu z tym, jak traktowano zwykłych chłopów, którzy chcieli dostać się za mury w poszukiwaniu szczęścia i lepszego zarobku. Tych w ogóle z rzadka wpuszczano.

– Ciekawe, z jakimi pacholami przyjdzie nam ucztować – stwierdził Jarmos, szyderczo spoglądając na obdartych chłopów oraz brudne kobiety i wygłodniałe dzieci na wozach.

– W kraju chyba nie najlepiej – dodał Kahaden. – Nie dziw, że nie ma komu kupować skór od twego ojca.

Dardan nie odpowiedział. Im bliżej byli stolicy, tym bardziej jego myśli kierowały się w stronę nowej narzeczonej. O Vadienne wiedział tylko, że jest najmłodszą córką króla Ruddabarda i dopiero na wiosnę skończy czternaście lat. Był to wiek, który umożliwił jej wyjście za mąż. Dziewczyna była ostatnią w linii królewskiej pretendencją do tronu, przed nią plasowały się bowiem jej trzy siostry oraz dwóch braci. Jej ręka nie była zatem łakomym kąskiem dla najbogatszej szlachty, mimo to połączenie się więzami krwi z panującym rodem mogło rzeczywiście przynieść de Brandtom wymierne korzyści.

Dardan rozumiał motywację ojca, który chciał zadbać o to, by jego syn nie odziedziczył po nim jedynie niszczącego dworu, połąci mało żyznej ziemi i garbarni, które przynosiły coraz mniejsze zyski. Stary Urban chciał jeszcze coś

w życiu osiągnąć, przysłużyć się rodzinie i uratować ją od całkowitego zubożenia, a w konsekwencji utraty szlachectwa.

Problem polegał na tym, że Dardana zupełnie nie interesowała polityka. Na samą myśl o tym, że będzie musiał włożyć modny żupan, kłaniać się jakimś starym grubasom, jakich pełno było wokół króla, chodzić do katedry na długie i nudne nabożeństwa i w ogóle zachowywać się, jak przystało na młodego arystokratę, robiło mu się niedobrze. Dworskie życie nie było dla niego i obawiał się, że jeśli poślubi królową Vadienne, zostanie całkowicie uziemiony. Skończą się rajdy na południe, a wraz z nimi hulanki w traktowych karczmach, nocne śpiewy przy ognisku, pościgi i potyczki ze zbójcami.

Młody de Brandt nie wyobrażał sobie bowiem życia bez adrenaliny, zapachu stajni i wiatru smagającego mu twarz, gdy pędził przez stepowe równiny. Małżeństwo nie było dla niego. A w każdym razie nie z królewską córką, której – jeśli nie trzeba będzie bez przerwy usługiwać – na pewno trzeba być na każde zawołanie ojca. Jedyłą nadzieję upatrywał w tym, że król nadal będzie potrzebował kogoś, kto utrzyma względny spokój na południowej granicy. W tym zaś dziedzic rodu de Brandtów nie miał sobie równych.

Zmierzchało, gdy stanęli przed rogatekami miasta.

– Prędeż, bo zamykamy bramę – poganiali strażnicy tych, którzy zbyt ociągali się z wejściem za mury.

Na widok trzech jeźdźców oraz żółtego herbu z czarnym niedźwiedziem, wyszytego na piersi Dardana, skłonili głowy i przepuścili ich bez pytania.

– O! Tam jest otwarta tawerna! – zawołał Kahaden, gdy znaleźli się już w Vorenau i oddali konie stajennemu, rzucając mu przy tym grosz napiwku. – Prędko, póki nam te obdartusy wszystkiego nie wypiją.

– Nie wiem, czy nasz królewski zięć nie pobrudzi sobie gardła, pijąc ze zwykłymi żołnierzami – powiedział Jarmos, i chcąc sparodiować dworską etykietę, skłonił się nieporadnie.

– Miałem się udać prosto do zamku. Ponoć tam na mnie czekają... – Dardan był całkiem niezłym aktorem i przyjaciele przez chwilę naprawdę uwierzyli, że im odmówi. Świadczyły o tym ich zasępione miny, na których oprócz zawodu malowała się również obawa, że oto już stracili wiernego druha. – Ale co mi tam. Uczta przecież dopiero jutro...

– Napijmy się zatem. Dawno już nie piłem w stolicy! – rzekł Jarmos, który błyskawicznie się rozpromienił.

– Ty nigdy nie piłeś w stolicy.

– Może i tak być.

Ruszyli w stronę pobliskiej karczmy, z której dochodziły skoczna muzyka, śpiew i gromkie śmiechy.

\*\*\*

– Jak ty wyglądasz, do cholery! – Wyrwał go z głębokiego snu głos starca.

Podniósł powieki i przetarł oczy ze zdumienia.

– Galius?! Co ty tu robisz? – spytał Dardan. – Gdzie ja jestem?

Rozejrzał się dookoła i zorientował się, że leży w stogu siana. Po chwili dostrzegł czyjaś nogę i skoczyłby zapewne na równe nogi, gdyby nie fakt, że kręciło mu się w głowie i skakanie było ostatnim, na co miał ochotę. Noga należała najpewniej do Kahadena, Jarmos bowiem chrapał gdzieś pod ścianą. Młody de Brandt wsparł się tylko na rękach i spojrzał na sługę swojego ojca i wiernego przyjaciela rodu – Galiusa. Albo dwóch Galiusów? Nie był pewien, ilu dokładnie mężczyzn widzi przed sobą.

– Wstyd. Jak się twój ojciec dowie...

– Nie dowie się – uspokoił go Dardan. – Nie dowie się, przyjacielu, co? – Złożył ręce, udając błagalny gest.

– To się okaże. Nawet jeśli nie ode mnie, dowie się najpewniej od króla, który wyśle cię do wszystkich diabłów, jak nie stawisz się pachnący i dobrze ubrany na uczcie, na którą cię zaprosił.

– Stawię się, kochany. Zawszę się stawiam. – Rzekłszy to, Dardan zamknął oczy i zaczął chrapać.

Galius jak zwykle utrzymał nerwy na wodzy i po raz kolejny zrobił, co było trzeba zrobić z młodym paniczem. Wraz z pomocą stajennego zaniósł go na wóz i powiózł do zaprzyjaźnionej gospody, gdzie miał zamiar doprowadzić Dardana do stanu, w którym gwardziści na zamku nie wezmą go za przypadkowego żebraka. Dla pewności przykrył chłopaka plandeką, żeby nikt przypadkiem nie dostrzegł herbu de Brandtów i nie rozpoznał przyszłego królewskiego zięcia.

\*\*\*

– Nie mogę uwierzyć, że ojciec wysłał cię tu, żebyś mnie pilnował. W dodatku w zupełnej tajemnicy przede mną! – powiedział Dardan, zapinając ostatni guzik w eleganckim żupanie.

Przejrzał się w lustrze i skrzywił z niechęcią. Nie znosił zakładać arystokrackich szat. Uwierały go w szyję i krępowały ruchy. Wolał nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby nagle trzeba było dobyć miecza w takim stroju.

– Doprawdy? – spytał z przekąsem Galius. – Czyż to nie podobne do twojego ojca?

Młodzieniec parsknął.

– Może i masz rację. Powiedz mi więc, drogi Galiusie, co zamierzasz robić na uczcie? Będziesz siedział obok mnie i zaglądał do talerza, by potem śledzić każdy mój krok niczym pies?

Galius przyjął tę uszczypliwą uwagę z godnością, jak miał w zwyczaju.

– Będę cię obserwował z daleka i gdy zobaczę, że nagannie się zachowujesz, powstrzymam cię od kompromitacji.

Dardan wybuchł wymuszonym śmiechem.

– Dobre sobie! Ja i kompromitacja? Patrzcie go! Oj, Galiusie, Galiusie. Coś mi się wydaje, że nie doceniasz rodu de Brandtów!

Starzec uśmiechnął się tylko pod nosem i nie skomentował.

– Lepiej już chodźmy – rzekł po chwili. – Wszyscy pewnie już gromadzą się w sali.

– Niech będzie – rzucił szorstko Dardan, usiłując poprawić jeszcze niewygodny kołnierz, który jednak za nic w świecie nie dawał się poluzować bez odpinania guzików.

Szli długim korytarzem, mijając krzątające się królewskie służki. Kobiety na ich widok zatrzymywały się w miejscu i kłaniały, jak nakazywał obyczaj. Dardan nie mógł się powstrzymać od szyderczego komentarza o tym, że sługa nie powinien kłaniać się słudze, ale i tę wypowiedź stary Galius zignorował.

Gdy wreszcie dotarli do głównej sali, Dardan zdumiał się przepychem i rozmachem, z jakim była urządzona. Kamienne ściany zdobiły kunsztowne gobeliny, między nimi zaś na zmianę zawieszono były banery z królewskim godłem – czterema srebrnymi liliami na czerwonym tle. Poustawiane symetrycznie kandelabry i stojące na ściennych uchwytych lichtarze oświetlały pomieszczenie w nieznacznym stopniu, tworząc jednak imponujący klimat. Głównym źródłem światła i ciepła było bowiem potężne, kamienne palenisko wbudowane w podłogę w centralnej części sali. Dookoła ustawiono suto zastawione stoły, wokół nich zaś bogato zdobione krzesła. Do stołów prowadził piękny, miękki dywan, jakiego Dardan jeszcze nie widział.

Zauważywszy ich, królewski lokaj wskazał miejsca, które mieli zająć. Dardan zasiadł przy głównym stole, ledwie kilka krzeseł od tego najważniejszego, przeznaczonego dla Ruddabarda, które na razie stało puste. Galiusa zaś usadzono przy oddalonym nieco od paleniska stole dla najbardziej cenionych sług, którzy dostąpili zaszczytu udziału w ucztach. Starcowi odpowiadała ta pozycja. Tutaj panowała zazwyczaj luźniejsza, pozbawiona części konwenansów atmosfera, za to można było z tego miejsca mieć pilne baczenie na głównych aktorów wieczoru.

Dardanowi nie odpowiadało, że będzie musiał siedzieć sam wraz z nieznanymi mu osobami. Gdy weszli do sali, większa część gości, prócz oczywiście tych najważniejszych, zajmowała już swoje miejsca. Byli to głównie bliźni i dalsi krewni rodziny królewskiej, nie wyłączając ciotek Ruddabarda i jego



żony, szwagrów, kuzynów drugiej i trzeciej linii oraz kilkoro przedstawiciele państwowej administracji z rodzinami. Łącznie zasiadało tu więc kilkadziesiąt osób, które, delikatnie mówiąc, nie robiły na Dardanie pozytywnego wrażenia. Po prawdzie uważał ich za bandę zmanierowanych i przeżartych darmozjadów. Powstrzymał się jednak przed wyrażeniem tej opinii na głos.

Nieżła rodzinka – pomyślał, usiłując ukryć grymas na twarzy. Zamiast tego uśmiechnął się sztucznie i ukłonił, jak nakazywał zwyczaj.

Goście odwzajemnili ukłony, czyniąc to jednak znacznie bardziej niedbale, niż wymagała tego sytuacja. Było więc widać, że i oni nie darzą Dardana sympatią. Ród de Brandtów, niegdyś potężny i wpływowy, przez lata utracił większość dawnego blasku. Funkcją, którą wciąż de Brandtowie pełnili, było utrzymywanie w ryzach dzikich terenów wokół południowej granicy, w czym zresztą niemałą rolę zaczął pełnić młody Dardan. Wśród możnej arystokracji ród traktowany był więc jak bękart, którego nijak nie idzie się pozbyć, choć bardzo by się chciało. Urbana de Brandta i jego syna tolerowano, lecz podchodzono doń z wyjątkową niechęcią. Informacja, że najmłodsza z córek Ruddabarda ma zostać żoną de Brandta, zdecydowanie nie pomogła w zmniejszeniu tej niechęci.

Zająwszy miejsce przy stole, Dardan starał się unikać niepotrzebnych rozmów z mało interesującymi ciotkami i kuzynami króla. Co jakiś czas odpowiadał jedynie na kurtuazyjne pytania o pogodę, podróż i opinię o stołecznej architekturze. Z ulgą przyjął fakt, że lokaj nalał mu wina do kielicha, po chwili jednak skarcił się w duchu, wiedząc, że rozpoczynanie picia przed przybyciem króla byłoby nie na miejscu. Wszyscy mieli już pełne naczynia, nikt jednak swojego nie tknął.

Ach, jakże bym się teraz napił – pomyślał młodzieniec. Ciekawe, co robią Kahaden i Jarmos? Pewnie wyspali się już porządnie i kontynuują biesiadę w karczmie.

Drzwi do sali otworzyły się z trzaskiem i do środka wparował król wraz ze swoją świtą, za nim zaś jego synowie i córki. Dardan prędko rozpoznał najmłodszą, sądząc, że musi to być przyrzeczona mu Vadienne.

Drobna blondynka szła dostojnie, choć widać po niej było, że brakuje jej jeszcze doświadczenia w dworskiej etykiecie. Dostrzegł w młodej twarzy niepewność, być może nawet lęk. Z satysfakcją stwierdził jednak, że była to twarz piękna, a wręcz zjawiskowa. Jej delikatne rysy i wielkie, błękitne oczy wywołałyby uśmiech u każdego mężczyzny. Królowna ubrana była w elegancką, choć w porównaniu z siostrami i matką skromnie wyglądającą, zieloną suknię i złote trzewiki. Na ramionach zawiesiła aksamitny szal, którego końce zawiązane były na płytym dekolcie, co dodawało jej gracji.

Dardan westchnął. Powiedzieć, że królowna Vadienne mu się spodobała, to jak nic nie powiedzieć. Chłopak był onieśmielony jej urodą do tego stopnia, że omal nie zapomniał wstać, gdy rodzina królewska zbliżyła się do stołu, by powitać zgromadzonych.

– Witam szanownych gości. – Król był oszczędny w słowach. Dokładnie takim zresztą zapamiętał go Dardan. Ostatnio spotkali się bowiem we dworze ojca, gdy Ruddabard wizytował włości de Brandtów. Dziedzic rodu miał wtedy kilka lat, ale już wówczas władca wydał mu się małomównym gburem. W dodatku wyjątkowo spasionym. Ta ostatnia cecha zaś, w miarę upływu lat, tylko się spotęgowała – Ruddabard był bowiem wręcz obleśnie gruby.

Gdy skończono rytualne ukłony, lokaje pomogli władcy usiąść na zrobionym na zamówienie, wyjątkowo szerokim tronie. Jego rodzina zaś zajęła przeznaczone im miejsca przy stołach. Szybko okazało się, że Dardanowi przyjdzie spędzić całą ucztę w towarzystwie królowny Vadienne, dla której miejsce przewidziano obok niego.

Po uroczystym powitaniu nastął czas modlitwy, podczas której królewski kapłan, odziany w długą tunikę, wychwalał Moc Stworzenia, dziękując za możliwość spożywania posiłków i picia napojów.

Niedługo potem rozpoczęła się wreszcie właściwa uczta. Dardan z radością śledził ruchy lokajów, którzy po kolei nalewali wina nowo przybyłym. Nie trzeba było długo czekać, by król jako pierwszy wzniósł kielich i zarządził toast za pomyślność królestwa. Pozostali pochwycili ochoczo swoje naczynia i wtórowali

mu. Jakiś czas później do sali weszły kobiety, które przygrywały na harfach, zaś służba zaczęła wносить półmiski pełne pieczonego mięsa, warzyw, owoców, chlebów, serów oraz wszystkich dobrodziejstw, którymi stolica mogła się pochwalić. Goście rozpoczęli rozmowy między sobą i atmosfera w końcu zaczęła choć odrobinę przypominać Dardanowi biesiady, jakie znał. Zachęciło go to, by rozluźnić nieco napięcie, które narosło pomiędzy nim a siedzącą obok królową.

– A więc to ty jesteś Vadienne – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Kiwnęła mu lekko głową w odpowiedzi i się uśmiechnęła. Nie było w tym uśmiechu ani kokieterii, ani też wymuszonej, dworskiej etykiety. Ot, zwykły, przyjacielski – można być rzec – uśmiech.

– Ty zaś musisz być Dardanem de Brandtem. – Miała przyjemny głos. Trochę zbyt dziecinny jak na jego gust, ale zdecydowanie przyjemny. Nie wiedzieć kiedy, Dardan wyobraził sobie, że jego narzeczona mogłaby ładnie śpiewać.

– W istocie. Ponoć masz zostać moją żoną – wypalił, nie owijając w bawełnę, młodzieniec. Po chwili dotarło do niego, że mógł zachować się nietaktownie.

Vadienne jednak pozostała spokojna i znów obdarzyła go serdecznym uśmiechem.

– Tak mówi tatko. A jak tatko tak mówi, to musi być prawda. – Mrugnęła dwuznacznie okiem.

Dardan zaśmiał się mimowolnie, nie zważając na to, czy ktoś uzna to za przekroczenie granic dobrego smaku. Spodobały mu się dystans i otwartość, jakie wykazywała. Przeszło mu nawet przez myśl, że może być całkiem inteligentna.

– Słyszałem, że... – zaczął i uraczył się winem. – Nasz ślub ma odbyć się na wiosnę.

– Tak. Sama o to prosiłam. Gdy tylko śniegi stopnieją i łąki zakwitną.

– Czyżby tak było ci prędko do zamążpójścia? Jesteś jeszcze młoda.

– Może i jestem – odpowiedziała zadziornie. – Ale wiecznie młoda nie będę. Nie ma na co czekać, a z ciebie przecież przedni kawaler, nie mam racji?

– No... tak. – Dardan poczuł, że się czerwieni.

– No właśnie. Dużo o tobie słyszałam. Żeś waleczny, odważny. Podobnież całe południe się ciebie boi.

Chłopak niemal parsknął. Przystawił prędko kielich do ust, żeby je czymś zająć.

– Czasem chodzę na targ na górnym zamku. Tam powiadają to i owo o południu. Słyszałam na przykład, że żyją tam stwory nie z tego świata. Że wpełzają po zmroku z podziemi i atakują tych, co się po trakcie błakają. Potężne są jak dwóch ludzi, mają wielkie zębiska i pazury, o takie. – Vadienne pokazała rękami, jak wielkie według niej pazury mają rzeczzone stwory. Wyglądała przy tym dziecinnie, choć uroczo.

– Nie ma takich stworów. – Dardan dumnie wypiął pięść. – Co najwyżej wilki. – Widząc, że się zasępiła, dodał: – Albo może jeszcze ich nie spotkałem. Południe jest ogromne. Nie wszędzie udało nam się dotrzeć.

– A grasanci? Opowiedz mi, proszę, o grasantach! Ponoć sam pobiłeś pięćdziesięciu, a hersztowi bandy urwałeś głowę własnymi rękami i wrzuciwszy do wiadra, spuściłeś z biegiem rzeki.

Tym razem Dardan parsknął, wypluwając kawałek mięsa, który chwilę wcześniej włożył do ust. Zasłonił prędko usta rękawem i wytarł się. Rozejrzał się ukradkiem i stwierdził, że jego wybryk niezwłocznie skupił na nim uwagę dwóch siedzących nieco dalej królewskich ciotek.

– To już gruba przesada, moja pani – odpowiedział, gdy udało mu się uspokoić. – Nikt w pojedynkę nie da rady pięćdziesięciu ludziom. A żadnego herszta nie pozbawiłem głowy... Cóż... przynajmniej nie gołymi rękami. Wiadra też by mi było szkoda, by je wyrzucać do rzeki.

Vadienne zachichotała, wyraźnie zadowolona z opowieści. Zobaczywszy to, Dardan postanowił podjąć rozmowę na ten temat.

– Ale prawda to, że nie jedną i nie dwie bandy rozbiliśmy na południu. I niejednemu hersztowi przyszło zapłacić za swoje zbrodnie.

– A jakie to zbrodnie? Przeciw królestwu? Przeciw tatkowi?

– No... tak. Przeciw królestwu właśnie. Grasanci panoszą się na południu, bo jest ogromne, słabo zaludnione i mają się tam gdzie schować. Napadają wsie, grabią chłopów, czasem dopadną jakiś patrol albo wóz kupiecki. Zdarza się, że przejmują jakąś osadę i zimują tam albo zwożą do niej zagrabione dobra.

– Dlaczego to robią?

– Jedni dla szybkiego zysku, inni taką już mają awanturniczą naturę, a jeszcze inni uciekają od wysokich podatków... – Dardan ugryzł się w język. Rozejrzył się dyskretnie, ale chyba żadna ciotka ani żaden królewski kuzyn nie usłyszeli tego, co właśnie powiedział. Odetchnął z ulgą i błagał w duchu, żeby Vadienne nie ciągnęła go za język.

Dziewczyna się zamyśliła. Dardan był przekonany, że straciła już zainteresowanie grasantami, rajdami i wszystkim, czym zajmował się na południu.

– Masz bardzo niebezpieczne zadania. Czy jako mój mąż nadal będziesz je wykonywał?

– Nie wiem, pani – przyznał szczerze Dardan. – Nasza granica nie przestanie być zagrożona, gdy weźmiemy ślub. Myślę, że nadal będzie trzeba ją patrolować i bronić tamtejszych osad.

– I ty pewnie dalej będziesz chciał to robić, zamiast zlecić komuś innemu? Słyszałam, że mężczyźni łatwo nie rezygnują z tego, co kochają robić.

Chłopak zdziwił się przenikliwością dziewczyny. Jak na swój młody wiek była rzeczywiście niezwykle bystra.

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć, pani. Jako twój mąż spodziewam się mieć inne obowiązki.

– Będziesz miał, a jakże! Ale ja swoje wiem. Dalej będziesz jeździł na południe. Wiedz, że nie będę miała nic przeciwko.

Tego się nie spodziewał. Czyżby naprawdę miała mu pozwolić na awanturnicze rajdy i narażanie karku podczas kolejnych długich wypraw na granicę? Dardan złapał się na tym, że Vadienne robiła na nim coraz lepsze wrażenie.

– No dobrze już, nie będę ciągnąć cię za język. Opowiedz mi o rodzie de Brandtów. O twoim ojcu i o waszych włościach. W końcu muszę się czegoś dowiedzieć o swojej nowej rodzinie – poprosiła królowa i posławszy Dardanowi jeden ze swoich beztroskich uśmiechów, nalała sobie wina.

– Mój ojciec jest bardzo rzeczowy. – Chłopak nie wiedział, jak zabrać się za opowiadanie. Szanował ojca, ale nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak właściwie można opisać go komuś innemu. Nie był też pewien, co powinien zdradzać królowie. Przyszła żona czy nie, Vadienne była częścią dworu, który, delikatnie mówiąc, nie żywił wobec de Brandtów zbyt pozytywnych uczuć. – Rządzi w domu twardą ręką, ale potrafi być wyrozumiały. Najbardziej zależy mu na tym, żeby nazwisko de Brandtów znów coś w królestwie znaczyło.

– Dlatego wydaje cię za mnie – stwierdziła dziewczyna.

– Tak... między innymi.

– To dobry ruch dla was. – Nachyliła się do niego. Wyczuł od niej woń jaśminu i cytrusów. Ściszyła głos, dbając, by nie usłyszał jej nikt poza Dardanem. – Nie gniewaj się, ale moje ciotki i kuzynki nie są zadowolone. Uważają, że nasz ślub to hańba dla królewskiego rodu. Ale ja się bardzo cieszę, bo tatko na pewno wie, co robi, i pewnie chce im utrzyć nosa.

Chłopak pomyślał, że Vadienne całkiem zgrabnie odnajduje się w polityce, co zresztą trochę go przerażało. Dziewczyna, która w tak młodym wieku doskonale odczytuje dworskie nastroje, może być wyjątkowo niebezpieczna. Jej bystrość mogła przytłaczać, ale Dardanowi imponowała, choć sam w polityce nie wyznawał się tak dobrze.

– A poza tym – kontynuowała Vadienne – podobasz mi się, Dardanie.

Chłopak się zarumienił. Takiego oświadczenia z jej strony spodziewał się jeszcze mniej.

Uczta trwała w najlepsze. Gdy goście zdążyli się już najeść, król gestem ręki uciszył grające na harfach kobiety i zaprosił do wzniesienia kolejnego toastu.

– Wypijmy za moją najmłodszą córkę i jej przyszłego męża, Dardana de Brandta.

Wszyscy wzniesli naczynia i wypili toast wraz z królem. Po większości zaproszonych było jednak widać, że robią to niechętnie. Wymienione wcześniej ciotki i kuzyni władcy nie ukrywali faktu, że nie akceptują dokonanego przez Ruddabarda wyboru, i patrzyli nieprzyjaźnie na Dardana.

Ze znacznie większą akceptacją puchary wzniosła starsza siostra Vadienne, puszczając oko do dziewczyny i kłaniając się lekko jej narzeczonemu. Siedzący przy osobnym stole Galius, od samego początku obserwujący zachowanie chłopaka, z dumą uniósł naczynie i wypił solidny łyk wina.

Dardan i Vadienne byli pochłonięci dyskusją przez długie godziny. Nie zauważyli nawet, gdy lokaje zmuszeni byli pomóc pijanemu królowi udać się do komnat. Z towarzyskiego transu wyrwał ich dopiero Galius.

– Mój panie, czas najwyższy, abyśmy udali się na spoczynek.

Chłopak spojrział na niego z wyrzutem.

– Jakże to? Przecież dopiero usiedliśmy. – Rozejrzał się po sali i stwierdził, że prawie nikogo w niej już nie ma. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio słyszał dźwięki harfy.

– Dziękuję ci za ten przemiły wieczór, Dardanie – powiedziała Vadienne, wstając od stołu.

De Brandt również się podniósł i ucałował jej rękę oraz ukłonił się zdecydowanie niżej, niż nakazywał obyczaj.

– Do zobaczenia wkrótce, moja pani – odpowiedział grzecznie i powiódł za nią tęsknym wzrokiem, aż zniknęła za drzwiami.

– Jak wrażenia? – spytał Galius, gdy szli korytarzem w stronę gościnnych komnat.

Dardan nie raczył odpowiedzieć. Schował ręce do kieszeni i nie pożegnawszy się, zniknął za drzwiami przeznaczonej dla niego sypialni.

\*\*\*

Nadejście wiosny zwiastowały roztopy, przez które konie brodziły po kostki w kałużach, zaś wozy kupieckie grzęzły w błocie na mniej uczęszczanych traktach. Sytuacji nie poprawiał fakt, że tej wiosny do stolicy ciągnęła wyjątkowa liczba karawan i taborów. Na zaproszenie króla jechali możni z najodleglejszych zakątków kraju, by wziąć udział w weselu, które miało odbyć się za miesiąc.

Ślub najmłodszej i najpewniej ostatniej córki Ruddabarda zachęcał także kupców, którzy liczyli na udane interesy; ściągał najemników i wędrownych rycerzy, szukających okazji, by oferować swoje usługi bogatszym od siebie panom. Widok kolorowych chorągwi, powiewających wokół rozstawianych wokół miasta namiotów, przyciągał licznych gapiów na mury miasta. Wśród nich znalazł się także Dardan, który wraz z Kahadenem i Jarmosem korzystali z wolnego czasu, odwiedzając co ciekawsze atrakcje Vorenau.

– Tam, na północnym wzgórzu, to van Torianowie, prawda? – Kahaden wskazał palcem wyjątkowo dużą wioskę namiotów, która powstawała na pobliskim wzniesieniu za murami.

Arystokraci mogli oczywiście liczyć na gościnę w zamku, jednak najczęściej wraz z całą świtą budowali polowe wioski, przypominające obozy wojskowe poza granicami miasta, aby się w nich pomieścić. Był to także sposób na pokazanie innym zamożności. Im większa i lepiej obudowana wioska, tym ród był bardziej zasobny.

Dardan zmrużył oczy i dostrzegł powiewające na wietrze błękitne proporce rodziny van Torianów. Skrzywił się z niesmakiem.

– Oni, nikt inny.

– Pieprzone krezusy. – Kahaden splunął za mur. – Jeszcze ich tu brakowało.

– To najbogatszy ród w królestwie. Nie mogło ich zabraknąć. – Dardan wzruszył ramionami.

– I mówisz to z takim spokojem? – zapytał Jarmos. – Przecież wszyscy wiedzą, że to przez nich de Brandtowie ubożeją z roku na rok. To oni blokują handel



skórami i wypierają was z rynku.

– Teraz już nie będą tacy potężni. – Dardan skrzyżował ręce na piersi i się wyprostował. – Wszystko się zmieni. Odbuduję naszą pozycję, a van Torianów pošlę w diabły.

– Naprawdę myślisz, że król ci na to pozwoli?

– Moja w tym głowa! Muszę być tylko idealnym zięciuniem. Będę miał całe lata na to, by zjednać sobie przychylność starego Ruddabarda. A wy mi w tym pomożecie.

– Ciekawe jak... – zdziwił się Kahaden.

– A co? Nie umiecie zniszczyć komuś opinii? – zaśmiał się młody de Brandt. – Coś wymyślimy, panowie. Teraz czas się zabawić, pókim kawaler.

Objął obu przyjaciół w barkach i poszedł wraz z nimi w stronę karczmy, którą mieli na dziś upatrzoną.

– Vadienne nie ma nic przeciwko, że całe dnie przesiadujesz z nami w knajpach? – zagadnął Jarmos.

– Póki nie jest moją żoną, mogę robić, co chcę! – zachnął się Dardan. – To mądra kobieta. Wie, że muszę się wyszumieć.

– Zaiste, mądra. Ona pewnie też szumi niczym rwący potok – zaśmiał się Kahaden, za co dostał od towarzysza łokciem w bok.

Na trójkę roześmianych przyjaciół wpadł pędzący po bruku młody chłopak. Młodzik pośliznął się na mokrym kamieniu i byłby się wywrócił, lecz Jarmos w porę go złapał.

– Uważaj, jak leziesz, bo ci łapy poprzetrącam! – wydarł się Dardan, ale szybko zniżył głos, gdyż rozpoznał w chłopaku jednego ze służących swojego ojca. – Co tak biegasz po mieście? Ojciec nie dał ci roboty?

– Dał, panie. Mam przekazać wiadomość – odpowiedział zdyszany młodzian, gdy już postawili go na nogi.

Dardan wykonał gest dłonią, jakby chciał strzepać z ramienia chłopaka kurz.

– No... Mów!

– Ojciec woła panicza do siebie. Kazał przekazać, że to pilne.

– Ale, ale! Ja nie mam teraz czasu. Przekaż Urbanowi, że mam pewne obowiązki... przedmażeńskie.

– Proszę wybaczyć, panie.

– Co znowu?

– Pana ojciec kazał powiedzieć, że gdyby się pan opierał, mam powiedzieć, że to w sprawie wesela, i to w najważniejszej. – Ostatnie słowo wymówił głośno i wyraźnie.

Wypowiedź ta wywołała na Dardanie oczekiwane wrażenie. Skinął ręką na towarzyszy i cała trójka ruszyła w stronę kwater zamkowych, gdzie najprawdopodobniej przebywał jego ojciec. Dotarwszy na miejsce, jeszcze w korytarzu usłyszeli krzyki i odgłosy rzuconych o ścianę przedmiotów. Chłopak rozpoznał ton głosu ojca, który coś do kogoś wrzeszczał. Zdziwił się, gdyż znał Urbana jako raczej spokojnego człowieka i dawno już nie widział go w takiej złości. Rozkazał przyjaciółom, by poczekali na niego przed drzwiami, po czym wszedł do komnaty.

Wewnątrz znajdowali się senior rodu de Brandtów i Galius. Ojciec krążył po pomieszczeniu, wyraźnie wściekły.

– Ten stary chuj nas oszukał! – przeklął, zobaczywszy stojącego w drzwiach syna.

– Ojcze, co się stało?

– Ślubu nie będzie.

– Słucham?! – zdziwił się Dardan. – Jakże to nie będzie?

Odpowiedział mu Galius, gdyż Urban znów wpadł w furię i chwyciwszy ze stołu porcelanową misę z owocami, cisnął nią o ścianę. Drobne kawałki rozsypały się po całej posadzce, mieszając się z owocowym miąższem.

– Król właśnie poinformował pana de Brandta, że zamierza wydać swoją najmłodszą córkę, Vadienne, za Junona van Toriana.

Dardana zmroziło. Przez dłuższy czas nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Dobrze słyszałeś, synu – rzekł ojciec, gdy już się nieco uspokoił. Wciąż nie mógł ustać w miejscu i zaczął nerwowo spacerować po obszernej komnacie.

Dardan dalej stał jak wryty.

– Nie mogę w to uwierzyć... – powiedział wreszcie. – Jak to za van Toriana? Przecież byłem jej przyrzeczony. Przygotowania do wesela już trwają!

– Myślisz, że tego nie wiem? Ten spasiony knur dał się przekupić tym świniopasom! Albo namówiły go do tego jego kuzynki. Diabeł jeden wie, co zaszło...

Galius usiłował uporządkować nieco wypowiedź starszego z de Brandtów.

– Król przysłał nam posłańca ledwie godzinę temu...

– Jakiegoś swojego bratanka albo inny pomiot! Nawet nie pofatygował się osobiście – dodał z pogardą Urban i splunął na podłogę.

– W każdym razie posłaniec przekazał wiadomość, że król zmuszony był zmienić zdanie i dla dobra królestwa wydać pannę Vadienne za van Toriana. Prosił, by nie żywić urazy.

– Nie żywić urazy! – zapienił się Urban, jak gdyby po raz pierwszy usłyszał tę informację. – Zawsze uważałem go za głąba, ale żeby być aż tak cynicznym!

– Panie, zalecam spokój.

– Jaki, kurwa, spokój?! – Stary de Brandt omal nie rzucił się na Galiusa.

– Właśnie! Jaki spokój?! – dorzucił swoje Dardan. – Tu trzeba działać. Musimy iść do króla, ojczy. Natychmiast!

– A myślisz, że jaki był mój pierwszy odruch? Chciałem od razu wyjaśnić tę sytuację. Zobaczyć, jak stary Ruddabard mówi mi prosto w twarz, że mnie oszukał. Ten tutaj mnie powstrzymał. – Machnął niedbale ręką w stronę Galiusa.

Oczy Dardana również skierowały się w stronę sługi.

– Musicie, panowie, obaj powstrzymać nerwy. Obawiam się, że w tym stanie nawet nie wpuszczono by was do królewskich komnat.

– Gównu mnie obchodzi nasz stan! Ten zdiadziały warchlak...

– Ojczy, on ma rację – przyznał niechętnie Dardan. – Musimy się uspokoić.

W gniewie niewiele zdiadziamy.

Urban odetchnął z trudem i wreszcie usiadł przy stole. Jego syn zajął miejsce obok.

– Masz rację, Dardanie. – Ojciec schował twarz w dłoniach i przecierał ją, jakby chciał zmyć z niej brud. – Ochłóńmy i zastanówmy się, co czynić. Galiusie, przynieś nam wina.

Sługa posłusznie skinął głową i się oddalił. Wrócił po chwili, trzymając w ręku dzban oraz dwa kielichy. Polał obu mężczyznom i postawił puchary przed nimi. Skorzystali z nich od razu. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, które przerwał w końcu młodszy de Brandt.

– Vadienne – powiedział spokojnie.

Ojciec uniósł brwi z zaciekawieniem.

– Porozmawiam z nią. Ona musi coś wiedzieć.

– Dziewczyna jest pewnie tak samo zaskoczona jak my. – Urban wzruszył ramionami. – Król może nawet jeszcze jej nie powiedział.

– To niemożliwe. – Dardan pokręcił głową. – Ona orientuje się we wszystkim, co dzieje się na dworze. Jest bystrzejsza, niż myślisz.

– Nawet jeśli to prawda, królowna nie będzie miała nic do powiedzenia. Ruddabard podjął już decyzję.

– Porozmawiam z nią. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Dardan zerwał się od stołu. Urban złapał go jednak za rękę.

– Bądź ostrożny. – Spojrzał mu w oczy.

Młodzieniec dostrzegł w nich żal i rezygnację. Dawno już nie widział swojego ojca tak rozgoryczonego i bezradnego.

– Nie zrobię niczego głupiego.

Chwilę później Dardan dziarskim krokiem przemierzał zamkowe korytarze, tłumacząc przyjaciółom, co zaszło.

– To brzmi jak jakaś sztuka teatralna. Jak komedia! – skomentował Kahaden.  
– W dodatku wyjątkowo kiepska – dodał Jarmos. – Co zamierzasz zrobić?  
– Porozmawiam z Vadienne. Ona musi mieć coś do powiedzenia. To przecież ona ma wyjść za mąż.

– Gorzej, jeśli nic już od niej nie zależy.

– Albo – Kahaden ściszył głos – to ona wybrała tego łachudrę van Toriana.

Dardan pokręcił głową. Nie dopuszczał do siebie tej myśli.

– Znamy się już przecież całkiem dobrze. Zdążyliśmy się polubić przez te miesiące. A ten cały Torian? Ona go nawet nie widziała...

– Ale wie, jak zamożny jest jego ród.

– Niemożliwe – nie dawał za wygraną chłopak. – Po prostu w to nie wierzę.

\*\*\*

– Królowny nie ma – powiedziała staruszka, otwierając drzwi i patrząc posępnie na trzech stojących u progu młodzieńców.

– Jak to nie ma?

– Nie słyszał panicz? Nie ma.

– A gdzie jest?

– Na zajęciach z lekcji historii z mistrzem Orentalem.

– Z czego, kurwa? – wyrzucił z siebie Dardan i prędko skarcił się w duchu za brak taktu. – To znaczy... ja przepraszam, miła pani, ale...

– Co za maniery! – oburzyła się służka i zamknęła im drzwi przed nosem.

Dardan kopnął w nie z całej siły, wydzierając się przy tym tak, że całe skrzydło kwater zamkowych musiało go usłyszeć.

– Otwieraj, ty stara raszpło!

Towarzysze musieli odciągnąć go od wrót, gdyż gotów był je lada chwila wyważyć.

– Zostaw. Nie wydzieraj się tak, bo wezwą strażę.

– A niech, kurwa, wezwą.

– Dardan, spokój! – skarcił go Jarmos. – Jeśli ona tam jest, to nie pozwolą ci się z nią spotkać. A jeśli nie... znajdziemy ją.

De Brandt dyszał ciężko. Zgodził się jednak z przyjacielem.

– Zaczniemy może od tych lekcji historii. Wiesz, gdzie zwykle je miewa?

– W południowym skrzydle – wysapał młody de Brandt. – Ale ona nie ma żadnych lekcji historii! Skończyła je tydzień temu.

– Sprawdźmy to – zaproponował Kahaden.

\*\*\*

Królewny Vadienne nie było w południowym skrzydle. Tego dnia nie odbywała się tam zresztą żadna lekcja historii ani lekcje śpiewu, malarstwa, zajęć z ziołolecznictwa, tkactwa, garncarstwa, ani w ogóle żadne inne aktywności, w których dziewczyna mogłaby uczestniczyć. Nie było jej na zamkowym targu, nie znaleźli jej w królewskich kuchniach i jadalniach, ani śladu po Vadienne nie było w zamkowej kaplicy czy w innych mniej lub bardziej oczywistych miejscach. Słowem: królewny nie było nigdzie tam, gdzie Dardan miał dostęp.

– Parszywy chuj z tego Ruddabarda – powiedział młodzieniec na tyle głośno, że przechodzący ulicą mieszkańcy oglądali się nań i przyspieszali kroku. – Ukrył ją. Wie, że chciałbym z nią porozmawiać.

– A co, jeśli to ona nie chce rozmawiać z tobą, Dardanie? – zapytał Jarmos.

– Wykluczone. Nie wierzę, że nie ma mi nic do powiedzenia. Wystarczająco ją poznałem, by to wiedzieć. Ten kutas na pewno więzi ją w jakiejś komnacie. Albo gorzej, zmusza ją, by siedziała z ciotkami.

– Mówisz, że znasz tę pannę – rzekł wyrwany z zamyślenia Kahaden. – Nie sądzisz, że gdyby chciała z tobą rozmawiać, znalazłaby sposób?

– To tylko dziewczyna. Młoda i drobna – oburzył się Dardan.

– Młoda. Drobna. I sprytna – dodał Jarmos.

De Brandt pokręcił głową.

– Jeśli Ruddabard nie chce, bym się z nią spotkał, to dopnie swego.

Siedzieli w milczeniu pod ścianą jednego ze spichlerzy. Po dokładnym przeszukaniu zamku wrócili do miasta, by z dala od króla i jego świty oczyścić umysły, zebrać myśli i przygotować plan działania. Dardan nie zamierzał bowiem zignorować sytuacji, w której się znalazł.

– Jak można być tak zakłamanym? – drażył Jarmos. – Przecież obiecał twojemu ojcu to małżeństwo. Doszli do porozumienia.

– Ponoć wszyscy z rodziny królewskiej byli przeciwni – zauważył Kahaden. – Może stary się ugiął?

– Ruddabard robi, co chce, już to ustaliliśmy. – Dardan był pewny swego. – Kiedy mu na czymś zależy, nie daje się przekonać tym swoim ciotkom i kuzynom, choćby nie wiem, jak naciskali. Vadienne mi to opowiadała.

– A ty nadal myślisz, że słodka Vadienne tak bardzo chciała wyjść za ciebie, że teraz muszą trzymać ją w zamknięciu, żeby nie uciekła od pana van Toriana? – zapytał Kahaden i prędko tego pożałował.

Dardan zerwał się na równe nogi i wymierzył przyjacielowi potężny cios pięścią w twarz. Chłopak z piskiem osunął się na bruk, a po chwili podniósł się powoli, ocierając sączącą się z rozbitego łuku brwiowego krew.

Dardan spojrzał na niego z politowaniem i odwrócił się od nich. Był nabuzowany. Widać po nim było, że kolejna prowokacja skończy się dla prowokującego znacznie gorzej – niezależnie od tego, kim jest. W ciszy oczekiwali na reakcję dowódcy. Ta jednak nie nastąpiła. Zamiast tego usłyszeli bicie dzwonów z pobliskiej wieży strażniczej.

W mieście zaczęło się poruszenie. Przechodnie rozmawiali podniesionymi głosami. Jakaś baba upuściła kosz z bielizną i złapała się za głowę. Ktoś schował się w domu, jeszcze ktoś biegł gdzieś wyraźnie przerażony.

Dardan stał nadal z rękami opartymi o biodra, nie zważając zupełnie na zamęt, jaki zaczął ogarniać okolicę. Z otępienia wyrwał go dopiero patrol gwardii królewskiej, który pewnym krokiem wkroczył na plac, na którym się znajdowali. Sześciu żołnierzy w błyszczących napierśnikach przepasanych pasami tkaniny

w barwach królestwa sprawnym krokiem otoczyło trzech mężczyzn. Ręce trzymali na przypiętych do pasów mieczach.

– Dardanie de Brandt – powiedział donośnym basem dowódca – jesteś aresztowany.

Chłopak uniósł brwi ze zdumienia.

– Co? A to z jakiej racji?

Jarmos i Kahaden momentalnie podnieśli się z ziemi i stanęli obok, wypinając piersi i robiąc butne miny. Po twarzy tego drugiego nadal ściekała stróżka krwi, ale pretensje do swojego dowódcy zdecydował się odłożyć na później. Żołnierze zrobili pół kroku do przodu i mocniej zacisnęli palce na rękojeściach.

– Nie róbcie głupstw. Jesteście nieuzbrojeni.

– Za co? – spytał spokojnie Dardan, uspokajając towarzyszy gestem otwartej dłoni.

– Junon van Torian został zamordowany. Z rozkazu jego królewskiej mości Ruddabarda IV zostaniesz zamknięty w celi aż do procesu sądowego.

– To jakaś komedia... – parsknął de Brandt.

– Pójdiesz dobrowolnie czy mamy cię związać?

\*\*\*

Dardan krążył po ciasnej celi, próbując uspokoić nerwy. Jakiś czas temu zrezygnował z szarpania krat, walenia pięścią w ścianę i wykrzykiwania przekleństw w stronę siedzących w innym pomieszczeniu strażników. Zorientował się, że działania te przyniosły mu jedynie ból z pozdzieranych knykciów i wzmogły suchość w gardle. Spacerował zatem w tę i z powrotem, starając się rozgrzać mięśnie w zimnym lochu.

Usłyszawszy kroki, dopadł do kraty. Serce zabiło mu mocniej w nadziei, że wreszcie ktoś powie mu, co się właściwie wydarzyło, i wyjaśni tę bzdurną pomyłkę.



– Galius? – zapytał zdziwiony chłopak, gdy sylwetka wchodzącego do korytarza mężczyzny zrobiła się na tyle wyraźna, by rozpoznać starego sługę rodu de Brandtów. – Co tu robisz? Jak się tu dostałeś?

– Mniejsza o to, Dardanie. Posłuchaj mnie uważnie, paniczu. – Głos starca był jeszcze poważniejszy niż zwykle.

– Co się stało, Galiusie? Co z ojcem? Co z moimi przyjaciółmi?

– Twoi przyjaciele są na wolności. Strażnicy wypuścili ich od razu po zamknięciu cię w celi.

– A ojciec?

– Twój ojciec... Jest zamknięty w zamku. Czeka go proces.

– Ale jaki proces, do diabła?

– Junon van Torian został zamordowany. Twój ojciec jest głównym podejrzanym!

– Co?! To bez sensu. Ojciec tego nie zrobił!

– Wiem, Dardanie. Wiem, że ani twój ojciec, ani ty nie macie z tym nic wspólnego. Boję się jednak, że król i jego sędziowie nie podzielają mojej wiary w niewinność de Brandtów.

– To jakiś żart. Nie wierzę w to... – Dardan zacisnął palce na kratkach, aż jego kłykcie zbieleły. – Co teraz, Galiusie? Masz jakiś plan, prawda?

– Uspokój się, paniczu. Najważniejsze, żebyś teraz nie robił niczego głupiego.

– A co mogę zrobić?! Siedzę, kurwa mać, w celi! – oburzył się chłopak.

– Sędzia, którego wyznaczono do waszej sprawy... znam go, z dawnych lat. Być może uda mi się z nim porozmawiać. Nie mogę ci jednak niczego obiecać.

– To bez sensu. A co z królem? Musi nas wysłuchać. Dać szansę. Najpierw nas oszukał, a teraz uważa, że to my stoimy za morderstwem?

– Z tego, co wiem, król Ruddabard jest przekonany, że to twój ojciec stoi za morderstwem van Toriana. Co do ciebie nie ma pewności...

– Absurd!

– Obiecuję ci, paniczu, że zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Jestem wierny rodowi de Brandtów i zawsze będę. Proszę cię tylko, żebyś postarał się uspokoić i nie robił niczego nierozważnego.

– Łatwo ci mówić, Galiusie...

– Proszę cię, Dardanie... Nie trać nadziei. Mam w tym mieście jeszcze trochę znajomych. Będę walczył o ciebie.

Dardan odsunął się od krat. Oparł się plecami o ścianę i ukrył twarz w dłoniach.

– Dziękuję, Galiusie. Wiem, że zawsze byłeś nam wierny. Dziękuję za twoją służbę.

– Proszę nie mówić tak, jakby to był już jej koniec, paniczu Dardanie.

Młodzieniec spojrział na starego sługę. W jego oczach dostrzegł szczerą i nagle poczuł sympatię i wdzięczność do tego człowieka. Galius zawsze był przy nim. Pomagał w jego wychowaniu, uczył czytać i pisać, towarzyszył jego rodowi, od kiedy pamiętał.

\*\*\*

– W sprawie zabójstwa Junona van Toriana, w majestacie króla Ruddabarda IV, skazuję Urbana de Brandta na śmierć. Wyrok zostanie wykonany w dniu jutrzejszym w południe – oznajmił sędzia, stukając drewnianym młotkiem o blat stołu.

Po sali podniosła się wrzawa. Z okrzyków uczestników rozprawy dało się wywnioskować, że są zadowoleni z wyroku.

– Wobec braku wystarczających dowodów Dardan de Brandt, w majestacie króla Ruddabarda IV, zostaje skazany na dożywotnią banicję i ma nakaz opuszczenia kraju. Wyrok zostanie wykonany poprzez odprowadzenie Dardana de Brandta przez gwardię królewską na południową granicę bez możliwości spotkania się z kimkolwiek. W razie powrotu skazanego na terytorium królestwa zostanie on skazany na śmierć.

Ponowne stuknięcie młotkiem wywołało kolejną falę poruszenia. Tym razem krzykacze byli wyraźnie oburzeni, domagając się drugiej kary śmierci.

- Razem to zrobili!
- Spiskował z ojcem!
- Diabelski pomiot!
- Oszust i bałamutnik!
- Heretyk!
- Sługa demonów!
- Na szafot z nim!

Dardan zaciskał pięści. Po jego policzkach spływały łzy. Starał się nie patrzeć na ojca, który w milczeniu przyjmował wyrok. Siedział kilka miejsc dalej, otoczony przez miejskich strażników. Gdy ci jednak wreszcie kazali mu wstać i zaczęli wyprowadzać Urbana z sali, młody szlachcic nie wytrzymał. Zerwał się na równe nogi i krzyżąc, rzucił się w stronę seniora rodu.

– Ojcze! – zawołał cały we łzach. – Ojcze, nie!

Strażnicy szybko obezwładnili go i unieruchomili. Łzy spływały po posadzce. Zrozpaczony Dardan patrzył na ojca, który pokornie oddalał się wraz z żołnierzami. Zanim stary de Brandt wyszedł z sali, skierował pełne żalu spojrzenie na syna. W jego oczach były zrezygnowanie i gorzka porażka. Po chwili jednak młodzieniec dostrzegł w nich coś jeszcze. Krótki przeblysł nadziei, którą starał się przekazać synowi. „Bądź silny” – zdawał się mówić ojciec, choć jego wargi nie drgnęły.

Wciąż leżąc na ziemi, Dardan otarł łzy rękawem. Wziął głęboki oddech. Gdy strażnicy zorientowali się, że nieco się uspokoił, rozluźnili uścisk, po czym podnieśli go. Posłuszny już młodzieniec udał się wraz z nimi do celi.

Niespełna godzinę później siedział związany na więziennym wozie, którym miano przewieźć go na granicę. Wtedy to zaczęły docierać do niego fakty. Galius! Galius musiał użyć swoich znajomości i przekonać sędziego, by pozostawił go przy życiu. Wyrok nie brzmiał bowiem sensownie. „Z powodu braku wystarczających

dowodów” – przypomniał sobie Dardan i uśmiechnął się pod nosem. Był to uśmiech pełen goryczy, gdyż młodzieniec zdawał sobie sprawę, że przeciw jego ojcu także nie było żadnych dowodów. Nie mogło być... W duchu podziękował jednak staremu Galiusowi, że choć tyle udało mu się osiągnąć.

Gdy koła wozu turkotały miarowo po bruku, Dardan położył się na deskach pojazdu, kuląc się, gdyż miejsca nie było wystarczająco dużo, by mógł się ułożyć wygodnie. Długo wpatrywał się w księżyc, który prześwitywał przez dziurawe deski prowizorycznej celi podróżnej. Wreszcie zasnął.

## ROZDZIAŁ 2

Jesienne liście opadały z pobliskich drzew, wyścielając żółto-czerwony dywan na drodze do obozu. Namioty rozstawione były w przesłoniętej płaskowyżem dolinie, dzięki czemu wewnątrz było ciszej i cieplej. Świst wiatru nie dokuczał tak bardzo, zaś ognisko płonęło miarowym płomieniem. Część oddziału spała, zbierając siły na zmianę warty; inni, wiedząc, że mieli tego dnia wolne, zajmowali się różnymi czynnościami – od czyszczenia broni i odzienia przez gotowanie posiłków, porządkowanie jakichś szpargałów aż po opróżnianie butelek z miodem.

Dardan siedział na pniu, przy samym niemal ognisku, i z nożem w ręku strugał kawałek drzewca na włócznię. Z zamyślenia wyrwały go kroki. Od strony wąwozu, stanowiącego wejście do obozu, nadchodził, trzymając w dłoniach pochodnię, jeden z jego podkomendnych – Amrat.

– Szefie, jeźdźcy.

– Ilu? Kto? – zapytał, nie przerywając czynności ani nie racząc towarzysza spojrzeniem.

– Trzech. To chyba Jarmos.

– Niech przyjdzie od razu do mnie.

– Tak jest.

Mężczyzna oddalił się, a wraz z nim za zakrętem zniknęło światło pochodni. Dardan skończył strugać włócznię, obejrzał ją dokładnie, przejeżdżając palcami po szorstkim drzewcu. Odłożył broń na bok i ze sterty podobnego kształtu kawałków drewna wziął kolejny. Zaczął ścinać skrawki drewna. Był w połowie roboty, gdy usłyszał parskanie koni i głosy rozmowy. Po chwili u wyjścia z wąwozu pojawił się

Jarmos. Dziarskim krokiem skierował się w stronę Dardana. Odpiął miecz, który położył na ziemi, po czym usiadł przy ognisku, naprzeciw dowódcy.

De Brandt odłożył struganą włócznię, sięgnął za plecy i namacawszy szyjkę butelki, podał towarzyszowi miód.

– Masz.

– Dzięki – odrzekł sucho Jarmos, kręcąc wąsem. – Zimno się, kurwa, robi.

De Brandt nie skomentował i wrócił do strugania drzewca. Cierpliwie czekał na relację towarzysza. Ta nadeszła po dwóch głębszych łykach słodkiego trunku.

– Byliśmy w Truden, Wiązownicy i Kotłach. Gościli nas nawet chętnie. W tych ostatnich tylko... no... Były pewne komplikacje.

– Jakie komplikacje? – spytał Dardan, unosząc brwi.

– Jeden chłop chciał nas kosą przegonić. Mówił, żeśmy mu córkę zbałamucili... – Jarmos się zaśmiał na wspomnienie tego wydarzenia.

– Tak było?

– Gdzież by tam! Kobiety na oczy nie widziałem. A on na nas z pyskiem, że porwali, zgwałcili i zabili jego córuchnę.

Dardan wzruszył ramionami.

– I co z nim?

– Dało mu się trzonkiem od siekiery przez łeb i się uspokoił.

– Zabiliście go?

Jarmos pokręcił głową.

– Żyw. Zanieśli go do znachora, wyjdzie z tego.

– Rozumiem, że po tym zajściu nie byli chętni do współpracy?

Jarmos westchnął. Wziął do ręki butelkę i wypił kolejny solidny łyk trunku.

– No tak jakby... Kazali się nam wynosić.

– Czyli na Kotłach stawiamy krzyżyk. Co z pozostałymi wsiami?

– W Truden obiecali, że dadzą nam nadwyżki swoich zapasów. Mieli dobry rok, więc podzielą się zbożem i miodem.

– Czego chcą w zamian?

– Mają jakiś problem z drobnymi rabusiami. Ponoć ktoś kradnie im kury...

Dardan odłożył ukończoną już włócznię, schował twarz w dłoniach i rozmasował czoło. Wziął głęboki oddech.

– Dobrze. Wyślemy kogoś, żeby się tym zajął.

– Najciekawiej w Więzownicy...

– Zamieniam się w słuch. – De Brandt uniósł brwi w nadziei, że wreszcie usłyszy coś wartego uwagi.

– Początkowo niechętnie, ale zgodzili się dać nam skóry. Całe trzydzieści sztuk, dobry materiał.

– Trzydzieści sztuk... – nie krył uznania Dardan. – Przydałyby nam się. Mielibyśmy zapas na zimę dla całego oddziału. Co musimy zrobić, żeby je dostać?

– I właśnie tutaj jest haczyk... Chcą, żebyśmy rozbili bandę Szarego Lisa.

– Jak to? Rozbić całą bandę grasantów? Za trzydzieści skór? – oburzył się de Brandt.

– Tak samo zareagowałem. Za taki interes powinniśmy dostać kwaterę we wsi na całą zimę. Z wyżywieniem.

– Co im odpowiedziałeś?

– Że muszę rozmówić się z szefem. Nie chciałem brać na siebie tej decyzji.

Dardan przytaknął ze zrozumieniem. Wziął od Jarmosa butelkę miodu i wypił resztę napoju. Gdy skończył, rzucił ją za siebie. Naczynie potoczyło się po ziemi i uderzyło w coś, rozbijając się na kawałki.

– I co myślisz?

Jarmos splunął pod nogi.

– Chyba nie mamy wyjścia, co? Te skóry... Sam wiesz, Dardan. Bez nich połowa oddziału pochoruje się na zimę. Nie wiem, ilu z nas przeżyje. A ten Szary Lis... Coraz częściej słyszę o jego bandzie. Napadają na wioski, kradną zboże. Kto wie, może to oni załatwili córkę tego chłopca z Kotłów?

Dardan milczał, dłubiąc nożem w piasku przed ogniskiem.

– Prędzej czy później Szary Lis będzie problemem – kontynuował Jarmos. – Coraz więcej ludzi do niego dołącza. Ostatnio ponoć przyjął jakichś dezertarów z armii królewskiej.

Młody dowódca podniósł wzrok i spojrzał na przyjaciela pytająco.

– Dezertarów? Od Ruddabarda?

Jarmos przytaknął.

– Ta. Nie wiem, czy króla na oczy widzieli. Pewnie jakieś łajzy ze stancy albo któregoś z miasteczek. Może zamarzyła im się przygoda, docisnęły podatki albo... nie wiem, kurwa, mieli dość żon?

Rozbawiony Dardan prychnął i sięgnął za siebie, gdzie w skrzynce z miodem pitnym ostała się jeszcze jedna butelka. Odkorkował, pociągnął łyk i podał towarzyszowi.

– Wiem tylko, że ci grasanci będą problemem. Prędzej czy później i tak spotkalibyśmy ich na drodze – dodał Jarmos.

– Wiem, druhu. Chciałem dobrać im się do dupy na wiosnę. Myślałem, że przezimujemy, zbierzemy jakichś rekrutów i rozprawimy się z Szarym Lisem, jak tylko odejdą śniegi.

– Rozprawmy się z nim teraz, będziemy mieli skóry od Więzownicy, a pewnie co jeszcze dorzucą, no i łup po bandzie będzie znaczny. Wzbogacimy się. Umocnimy.

– Przeżyjemy... – powiedział Dardan zamyślony.

Jarmos się już nie odezwał. Pijąc wino, wbił wzrok w ognisko.

– Trzeba dorzucić – oznajmił po chwili. Wstał i zniknął gdzieś w ciemności.

Dardan słyszał szelest gałęzi. Jarmos wrócił z pokaźną liczbą suchych patyków i grubszych kawałków drewna, które powoli dorzuczał do ogniska.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć – stwierdził dowódca, patrząc na Jarmosa.

Ten splunął po raz kolejny, wzruszył ramionami i usiadł na swoim miejscu.

– No dalej, Jarmos. Nie graj ze mną. Możesz mówić swobodnie.

Przyjaciel milczał. Wreszcie, wyraźnie niechętnie, zaczął mówić.



– Wiesz, że jesteśmy z tobą z własnej woli. Nikt nas nie zmuszał. Dołączyliśmy do ciebie, bo jesteś naszym dowódcą.

– Wiem, Jarmos, i doceniam to. Do czego zmierzasz? – Spojrzał na towarzysza spod oka.

– Nie zrozum mnie źle... Chcę powiedzieć, że ja i Kahaden jesteśmy twoimi druhami. Byliśmy przy tobie wtedy w stolicy, gotowi rzucić się na aresztujących cię strażników.

– Pamiętam – przytaknął Dardan. – Pamiętam i jestem wam za to wdzięczny. Nadal jednak nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

– Kurwa mać, Dardan! My to my. Byliśmy i będziemy z tobą. Ale co z resztą oddziału? Ponad dwudziestu chłopów. Oni poszli za tobą, bo znali twoje wyczyny z pogranicza. Pojechali za tobą, bo widzieli w tym szansę na lepsze życie, przygodę, zarobek. A co dostają? Siedzą w jakimś zapchlonym rowie i marzną. A zima dopiero przed nimi!

Ostatnie słowa Jarmos wypowiedział głośniej, niż było trzeba. Rozejrzał się prędko, czy jego podniesiony głos nie obudził nikogo w namiotach. Nie mógł być pewien, że nikt ich nie usłyszał. Dardan przyjął to jednak ze spokojem i znów zaczął grzebać nożem w piasku.

– Nie mówię, że nie są lojalni. To dobrzy ludzie, Dardan – ciągnął towarzysz, ciszej niż poprzednio. – Ale spójrz na nich... Taki Waden na przykład. – Wskazał ruchem podbródka siedzącego nieopodal brodatego mężczyznę. – Ma niemałe gospodarstwo, ma co do garnka włożyć. Mógłby tam siedzieć ze swoim rodzeństwem, żłopać gorzałkę. Jeszcze inny. – Ponownie wskazał jednego z żołnierzy. – Tobran. Jego ojciec jest drwalem. Co jesień mają spore zamówienia z portu na budowę statków. Poradziłby sobie. Mogę tak wymieniać, ale widzisz, chodzi o to, że oni są tutaj dla ciebie, Dardan. Ale nikt nie zagwarantuje ci, że nie odejdą, kiedy zrobi się naprawdę ciężko...

– To niech odchodzą – wyrzucił lekko poirytowany Dardan. – Nie potrzebuję tu łajz, które wrócą pod matczyną pierzynę, gdy tylko zrobi się trochę chłodniej.

– Bądź rozsądny. Tu nie chodzi o bycie słabym. Oni muszą mieć motywację! Muszą wiedzieć, że warto siedzieć w tym dole, spać na ziemi, jeść obrzydliwą polewkę i pić rozwodniony miód, że warto trząść dupą z zimna przy ognisku i stać na warcie przez pół nocy, bo gdy stopnieją śniegi, czeka ich nagroda.

– Czego ty ode mnie chcesz? – zapieklił się dowódca. – Mamy iść do Wiązownicy jak po swoje? Zabrać wszystko tym wieśniakom? Konie, żarcie, alkohol? Zgwałcić ich kobiety? To ma być nasza motywacja? Mamy być kolejną szajką, jakich mnóstwo na pograniczu?!

Dardan cisnął nóż w oddalone o kilka metrów drzewo. Ostrze wbiło się w korę. Jarmos pokręcił głową i westchnął zrezygnowany.

– Łeb ci się gotuje, Dardan. Idę spać – oznajmił. – A ty przespaceruj się trochę, dobrze ci to zrobi.

Wstał i ruszył w stronę jednego z namiotów. Dardan, początkowo sceptyczny wobec propozycji towarzysza, postanowił skorzystać z jego rady.

Dwóch stojących na warcie mężczyzn wyprostowało się, widząc idącego od strony obozu dowódcę. Machnął im ręką i zniknął w ciemnościach wąwozu.

Przechadzając się po polanie, de Brandt na własnej skórze odczuł wzmagający się wiatr. Rzeczywiście robiło się coraz chłodniej. Postawił kołnierz kurtki z jeleniej skóry, którą zabrał hersztowi bandy rozbitej kilka tygodni temu. To była naprawdę dobra kurtka. Ciepła i wygodna. Zdał sobie sprawę, że nie każdy członek oddziału jest tak dobrze ubrany. Nie trzeba było wiele czasu, by przyznał sam przed sobą, że Jarmos miał rację. Jeśli oddział miał pozostać spójny i silny, coś musiało się zmienić. Nie mogli w nieskończoność koczować w namiotach pośrodku stepu. Prędzej czy później trzeba będzie pójść w jasno określonym kierunku. Jego rolą pozostawało to, by oddział nie przerodził się w kolejną bandę z nim jako hersztem.

Rozmyślenia te pochłonęły Dardana na tyle, że nie zorientował się nawet, jak bardzo oddalił się od obozu. Przestał dostrzegać łunę bijącą od ogniska, umilkło parskanie koni. Słyszał już tylko świst wiatru i szelest gałęzi. Zaniepokoiło go, że przez chwilę nie orientował się w terenie. Było zupełnie ciemno. Skryte za

chmurami gwiazdy nie dawały żadnego światła. De Brandt przeklął się w duchu za brak przezorności, nie zabrał bowiem ze sobą pochodni.

Nagle z oddali usłyszał nieznany odgłos. Przypominał nieregularne uderzenia o membranę wojskowego bębna, przemieszane ze skrzekiem wydawanym przez dzikie ptactwo, jednak znacznie bardziej intensywne i donośne. Odgłos stawał się coraz cichszy, milkł oddalającym się echem. Dardana przeszły ciarki. Nigdy wcześniej nie słyszał niczego podobnego i trudno było mu sobie wyobrazić, co mogło wydać taki dźwięk.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, odwrócił się i podążył w kierunku, z którego przyszedł, modląc się w duchu, by gdzieś omyłkowo nie skrócić. Wreszcie, nieco po omacku, odnalazł ścieżkę prowadzącą do wąwozu.

\*\*\*

– Vadienne! – krzyczał, patrząc, jak dwie wielkie, zakapturzone postacie wywlekają dziewczynę z jej komnaty.

Królewna krzyczała z przerażenia. Niewzruszeni napastnicy ciągnęli ją wzdłuż korytarza w stronę odległych drzwi, z których buchał ogień. Dardan niemal czuł, jak płomienie przybliżają się, gotowe pochłonąć go w każdej chwili. Nie mógł nic zrobić. Był jakby wmurowany w ścianę, mógł jedynie obserwować scenę z boku. Vadienne szarpała ciałem, próbując się wyrwać, lecz przytrzymujące ją ramiona były zbyt silne. Dwaj mężczyźni zawlekli ją pod ognistą bramę z zamiarem wrzucenia w sam środek piekielnych języków.

– Dardan! – wołała go, błagając o pomoc, ale mimo że ze wszystkich sił próbował wyrwać się z kamiennego muru, nie był w stanie się poruszyć.

Mógł tylko patrzeć.

– Dardan! – Ze snu wyrwał go głos Kahadena. Przyjaciel pochylał się nad nim, zasłaniając swoją sylwetką blask wschodzącego słońca.

Dowódca zerwał się z posłania.

– Zaspaleś. Wszyscy już na nogach.

Młody de Brandt był cały mokry. Gdy złapał oddech i się uspokoił, spojrzął na przyjaciela.

– Wszystko w porządku, brachu? – spytał z niepokojem w głosie Kahaden.

– W porządku. – Dardan wstał i rozprostował kości. – Zbierz wszystkich na placu, czekajcie na rozkazy.

Oznajmiwszy to, Dardan dziarskim krokiem ruszył w stronę balii z wodą, którą ktoś zdążył już napełnić w pobliskim strumieniu. Zamaszystymi ruchami obmył twarz, by jak najszybciej rozbudzić się i doprowadzić do pełnej gotowości. Po chwili dołączył do oddziału.

Dwudziestu pięciu mężczyzn gromadziło się wokół dogasającego paleniska. Stali i rozmawiali między sobą. Gdy jednak zobaczyli dowódcę, zamilkli i zwrócili się w jego stronę.

– Panowie – zaczął Dardan, stanąwszy przed nimi z wypiętą do przodu pierśią. – Ostatnie miesiące były ciężkie. Tułaliśmy się po rowach i łąkach, znosiliśmy niewygody. Byliście wtenczas ze mną i za to macie moją wdzięczność i mój szacunek. – Dowódca zrobił pauzę i rozejrzał się wokół. Z satysfakcją stwierdził, że wszyscy słuchali go z uwagą.

Wciąż widzą we mnie wodza – pomyślał.

– Za wasz trud należy się wam nagroda. Idzie zima, przyjdą śniegi i mróz. Nie będziemy gnić w tej dolinie, jak wcześniej planowaliśmy. Postanowiłem, że przezimujemy w Wiązownicy, gdzie czeka nas dach nad głową i ciepła strawa na co dzień.

Mężczyźni popatrzyli po sobie i z niedowierzaniem zwrócili się ku dowódcy.

– Jakże to, szefie? – spytał Ugnor, jeden ze starszych wojowników. – Przecie Wiązownica nas nie przyjmie... Chyba że wprosimy się siłą. – Rzekłszy to, zaśmiał się.

Kilku towarzyszy mu zawtórowało.

– Cisza – przerwał im Jarmos. – Dowódca nie skończył.

Dardan skłonił mu się z wdzięcznością.

– Zrobimy tak, panowie, żeby nas Wiązownica przyjęła z otwartymi ramionami, a jeszcze winem i kobietami ugościła. Już moja w tym głowa. – Ostatnie słowa wypowiedział głośniejszym głosem, licząc na odpowiedź w postaci aplauzu. Nie pomylił się. Z radością przyjął gromkie okrzyki zadowolenia swoich kompanów. – Kahaden i jego dwójka zostają pilnować obozu. Za cztery dni przyślę kogoś, kto pomoże wam zebrać dobytek i spotkamy się wszyscy w Wiązownicy. Reszta na koń!

Kolejny okrzyk radości rozszedł się po obozie. Mężczyźni zaczęli zbierać potrzebny do drogi dobytek i siodłać konie. Dardan udał się do własnego namiotu, gdzie po chwili dołączyli do niego Jarmos i Kahaden.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział młodszy z przyjaciół. – Ale za to, że nie zabierasz mnie ze sobą, należy ci się łomot...

Dardan uśmiechnął się i położył przyjacielowi dłoń na ramieniu.

– Ktoś zaufany musi tu zostać i pilnować obozu. Gdyby nam się nie udało, musimy mieć gdzie wrócić.

– A może się nie udać? – spytał Jarmos.

– Uda się – odrzekł de Brandt.

\*\*\*

Jeźdźcy spięli konie i puścili się galopem w głąb stepu, gdy tylko teren zrobił się równiejszy. Dudnienie kopyt niosło się po otwartej przestrzeni, strasząc ptaki, które z szelestem zrywały się do lotu z koron drzew okolicznych zagajników. Wiatr uspokoił się nieco i nie dokuczał już tak bardzo, umożliwiając konnym łapanie oddechu podczas szybkiej podróży.

Gdyby na pobliskim wzgórzu przypadkiem znalazł się jakiś malarz, miałby naprawdę piękny obraz do namalowania. Ciągający się jak okiem sięgnąć step, przecięty meandrującym strumykiem, z nielicznym kępami drzew, krzewów, ze sporadycznymi wąwozami, stanowił widok zapierający dech w piersiach. Czyste

tego dnia niebo i oświetlające wszystko słońce dodatkowo potęgowały piękno krajobrazu.

Dwudziestu trzech mężczyzn na koniach ubranych było zdecydowanie za lekko jak na tę porę roku. Jedni mieli na sobie podziurawione przesywanice, inni skórzane kurtki, jeszcze inni jedynie koszule i wzmacniane łuskami kamizelki. Ich oręż stanowiły głównie słabej jakości kordy, puginały i włócznie. Kilku miało przewieszane przez plecy łuki z kołczanami, zaś dowódcy trójek mogli poszczycić się wysłużonymi kałkanami. Nawet niezbyt wprawny obserwator zauważyłby, że w kwestii uzbrojenia oddział nie robił wielkiego wrażenia. Ot, zwykła zgraja uciekinierów, szukająca na pograniczu lepszego życia, w dodatku najwyraźniej w tych poszukiwaniach nieudolna.

Bandy, które zdążyły się już na południowych stepach zadomowić, nosiły się zdecydowanie pełniej i mogły pochwalić się nie tylko porządnym orężem i ciężkim uzbrojeniem, ale i wolnymi końmi, a nawet wozami załadowanymi dobytkiem. Watażka przewodzący takiej hałastrze zazwyczaj wyróżniał się, imponował przepychem, nosząc drogie odzienie, błyszczącą biżuterię bądź też wymyślne dodatki w postaci zatkniętych za obręb czapki czy kapelusza pawich lub nawet strusich piór.

Dardan wyglądał, co tu dużo mówić, jak łachudra, który wyrwał się z rodzinnej wsi i tułał po stepie od wielu miesięcy. Nie było to zresztą dalekie od prawdy, gdyż przewodzony przez de Brandta oddział faktycznie spędził wiele tygodni na pograniczu. Od znanych jego mieszkańcom band grasantów, oprócz wyglądu, różnił się jednak także wykonywanymi zajęciami. Kompania Dardana nie grabiła, nie rabowała wsi, nie napadała na karawany ani w ogóle nie trudniła się procederem uważanym powszechnie za niegodziwy. Zatem z jednej strony sumienie de Brandta było spokojne, z drugiej zaś jego oddział nie budził respektu ani też nie był specjalnie rozpoznawalny, co na pograniczu było dość istotne.

Nie dziwił więc fakt, że pędzący jeźdźcy z oddziału Dardana z młodym paniczem na czele nie zrobili wrażenia na siedzącej w krzakach, zakapturzonej postaci, która obserwowała ich z oddali.

\*\*\*

Do wioski dotarli późnym wieczorem, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi zaś temperatura robiła się coraz niższa i chłód dawał się we znaki. Wiązownica była niewielką wsią położoną nieopodal strumyka, który w tym miejscu powoli zamieniał się w niewielką rzekę. Kilkanaście krytych strzechą chat, ustawionych w niedalekiej odległości od siebie, tworzyło przyjemny, sielankowy widok, uzupełniony rosnącymi gdzieniegdzie wiązami. Chłopi rozpalali pochodnie i z wolna kończyli codzienne obowiązki, znosząc do chałup owoce swojej pracy oraz narzędzia.

Gdy tylko mieszkańcy usłyszeli tętent kopyt, zaczęli pospiesznie kierować się w stronę domostw i barykadować drzwi. Nim jeźdźcy wjechali na teren osady, wszystkie chaty były już zaryglowane od środka. Oddział Dardana zwolnił i konie zaczęły kręcić się wokół głównego placu, rozchlapując błoto pod kopytami.

– Gdzie starszy? – zawołał donośnym głosem dowódca.

Odpowiedziała mu głucha cisza przerywana parskaniem koni.

Dardan zmusił konia, by stanął dęba. Uderzone ostrogami zwierzę zarżało przeraźliwie. Mężczyzna zawołał ponownie.

– Starszy, wyłaź!

Z jednego z domostw dotarły do nich odgłosy przesuwanych mebli i ciche rozmowy.

– Wyłaź, bo wyważymy drzwi! – zagroził Dardan, zirytowany brakiem odpowiedzi. – Macie dziesięć uderzeń serca!

Wiedział, że go słyszą. Siedzący w chacie chłopi zaczęli głośniejsze ze sobą rozmawiać. Dardan nie był w stanie rozpoznać słów, ale ton ich głosu wskazywał na to, że są coraz bardziej przerażeni.

– Raz!

Pauza.

– Dwa!

Znów poruszenie wewnątrz chałupy. Dowódcy oddziału zdawało się, że ktoś podszedł bliżej drzwi.

– Trzy!

– Czego chceta? – rozległo się wreszcie stłumione wołanie zza drzwi.

– Porozmawiać – rzekł Dardan, tym razem ciszej i znacznie spokojniej. – Nikomu nie stanie się krzywda.

Usłyszeli zwalniany mechanizm i drzwi uchyliły się, skrzypiąc. Stanął w nich trzymający widły, brodaty mężczyzna w ubrudzonej koszuli. W oczach miał strach.

– Nareszcie! – powiedział Dardan. – Odłóż, dobry człowieku, te widły. Ja nie mam broni. – Uniósł ręce w pokojowym geście.

Starszy wioski niechętnie odstawił narzędzie, opierając o ścianę, tak by było cały czas w jego zasięgu. Wyprostował się i skrzyżował ręce na piersi.

– Czego chceta? – ponowił pytanie. – My już przecie rozmawiali. – Wskazał brodą na siedzącego na koniu Jarmosa.

– Owszem. Rozmawialiście z moim przybocznym – potwierdził Dardan. – Ale wynik tych rozmów mnie nie zadowala.

Starzec patrzył na niego zmieszany.

– Obiecaliśmy wam skóry w zamian za obronę przed bandą Szarego Lisa. Dorzucimy wam jeszcze miodu, jeno dajcie nam pokój.

– Hojności, panie starszy – stwierdził Dardan. – Wdzięczny jestem. Ale to za mało.

– Jakże za mało?! – nie krył oburzenia chłop. – My biedni... Chcecie ograbić? Toście nie lepsi od tej swołoczy, co napada.

– Ależ panie starszy – rzekł dosadnie de Brandt – nie ma co się pieklić. Nie chcemy was obrabiać. Przychodzimy z propozycją.

– Jaką znowu?

– Pozbędziemy się Szarego Lisa. Pozbędziemy się i innych band, jak będzie trzeba. Ochronimy waszą wioskę przed najazdami, a jak nie ochronimy, to odbijemy, co wam zabiorą. Nikt już wam szkodził nie będzie.



Chłop się zamyślił. Przystąpił z nogi na nogę, wyraźnie zafrasowany.

– Ochronicie?

– Ochronimy, a jakże.

Dardan starał się, by jego głos brzmiał przekonująco.

– A co w zamian chcecie? To wszystko, co nam zbóje zabierają? Ładny mi interes...

– Za pozwoleniem, panie starszy, prezimujemy u was. Dacie nam dach nad głową na czas mrozów, nakarmicie i napoicie cały nasz oddział. W zamian dostaniecie spokój i bezpieczeństwo. I podział łupów każdej rozbitej przez nas szajki.

– Musim się namyślić – odpowiedział chłop po dłuższej chwili milczenia.

– Myślcie, panie starszy, myślcie. Byle nie za długo. Poczekamy tu – zgodził się Dardan.

Mężczyzna skinął głową, po czym chwycił widły i wróciwszy do chaty, zatrzasnął na powrót drzwi.

Dardan zaprosił gestem towarzyszy, którzy podjechali bliżej niego.

– Miejcie się na baczności, w razie gdyby chcieli zrobić coś głupiego. Ale nie straszcie mi tych chłopów.

Kiwnęli głową na znak, że rozumieją. Konie parsknęły. Zrobiło się już całkiem ciemno, chłód zaczął im doskwierać. Z chaty docierały do nich coraz bardziej ożywione rozmowy. Dardan uznał, że to dobry znak i mieszkańcy Więzownicy na poważnie rozważają przyjęcie złożonej im propozycji. Po niespełna dwóch kwadransach drzwi znowu się uchyliły i oprócz starszego wioski z budynku wyszło trzech mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli już w słuźnym wieku i najwyraźniej stanowili coś w rodzaju rady osady.

– Panie zbójco! – krzyknął starszy.

Dardan podjechał bliżej.

– Tylko nie zbójco, panie starszy. Jesteśmy ludźmi honoru.

Mężczyzna pokiwał lekceważąco głową, najwyraźniej nie przywiązując większej wagi do słów de Brandta.

– Uradziliśmy. – Wskazał stojących wraz z nim wieśniaków. – Miejsca jest dość w stodołach i w karczmie, a i zapasów mamy sporo. Pobijcie, panie, Szarego Lisa i trzymajcie inne bandy z dala od Wiązownicy, a ugościmy.

Dardan uśmiechnął się lekko, choć w głębi duszy poczuł niewypowiedzianą ulgę.

– Dobrzy z was ludzie, panie starszy. Nie pożałujecie. Bądźcie w zdrowiu.

Dowódca zagwizdał i jeźdźcy zatoczyli koło i wyjechali ze wsi, rozbryzgując dookoła błoto na głównym placu. Po chwili byli znów na stepie, oddalając się od rosnących dookoła osady więzów.

– To co teraz, panie zbójco? – zapytał z przekąsem Jarmos.

Dardan wyczuł jednak w tym pytaniu satysfakcję towarzysza.

– Teraz – odpowiedział, uśmiechnąwszy się złowieszczo – zapołujemy.

\*\*\*

Wróciwszy do obozu, zgarnęli Kahadena i dwóch jego ludzi. Dardan potrzebował wszystkich swoich towarzyszy. Jeśli mieli skutecznie zapolować na bandę Szarego Lisa, należało objąć poszukiwaniami jak najszerszy teren, a do tego potrzebna była każda para oczu i każdy koń.

Oddział nie miał żadnego punktu zaczepienia. Trzeba było przemierzyć znaczny obszar, zaczynając od Wiązownicy, w której hałastra widziana była ostatnio dwa tygodnie temu. Wtenczas mogli już być po drugiej stronie stepu. Dardan przeczuwał jednak, że dokonawszy rabunku, Szary Lis zaszył się w którejś z opuszczonych posiadłości i hula wraz ze swoimi ludźmi. Wystarczyło tylko natrafić na kogoś, kto ich widział albo słyszał.

Jeźdźcy podzielili się na grupy po pięć osób i każda z grup przeczesywała step w innym kierunku. Dardan rozkazał, aby cały oddział spotkał się po trzech dniach w dolinie, w której leżała Wiązownica.

Tropienie szło dość mozolnie. Piątka, której przewodził de Brandt, sprawdzała każdy zagajnik, każdy rów i wąwóz w poszukiwaniu śladów pozostawionych potencjalnie przez bandę Szarego Lisa. Wreszcie, pod koniec drugiego dnia, po zachodniej stronie rzeczki, meandrującej przez okolicę, znaleźli pozostałości po prowizorycznym obozowisku.

Przeprawiwszy się przez bród, jeden z żołnierzy Dardana, niejaki Kager, zauważył coś w niskiej trawie rosnącej przy brzegu.

– Szefie! – zawołał, zatrzymawszy konia. – Tu coś jest.

Wierzchowiec Dardana podjechał stepem do miejsca, które wskazał podkomendny. Dowódca rozejrzał się i dostrzegł wydeptaną ziemię oraz nienaturalnie usypaną kupkę liści. Zsiadłszy z konia, kucnął i rozgarnął liście. Z satysfakcją uniósł brwi, dojrawszy pozostałości po ognisku. Liście przykrywały usypany z kamieni niewielki krąg, wewnątrz niego zaś popiół i resztki nadpalonych polan.

– Masz dobre oko, Kager.

– Dziękuję, panie.

– Popiół jest jeszcze ciepły. Byli tu najdalej dzień temu – stwierdził de Brandt, strzepując resztki szarego proszku z dłoni. – Przeszukać okolicę! Znaleźć trop! – rozkazał.

Jeźdźcy zsiadli z koni i zaczęli obchodzić dookoła miejsce, w którym znaleźli ślad. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Kager po raz kolejny popisał się sprawnością tropiciela.

– Tutaj! – zawołał, wskazując na brzeg rzeki i błotną kałużę. – Ślad buta. Poszli na zachód.

– Nie mają koni – stwierdził Dardan. – Prędko ich dogonimy.

– Pojechać po resztę oddziału? – zapytał Kager. – Możemy potrzebować posiłków.

– Nie ma takiej potrzeby. Ktokolwiek tu był, wyraźnie przed kimś uciekał. To żaden oddział, góra dwie, trzy osoby. Na koń!

Piątka jeźdźców rozpędziła wierzchowce i pognała na zachód, gdzie prowadziły ślady. Niedługo potem dostrzegli potencjalny cel podróży. Ich oczom na horyzoncie ukazał się las. Dardan nie pamiętał żadnej większej puszczy w tym regionie, wnioskował więc, że był to tylko niewielki zagajnik. Miejsce, w którym niełatwo było się ukryć.

Na skraj lasu dotarli tuż przed zachodem słońca. Teren wyścielały wysuszone jesienne liście, śladów nie dało się już odnaleźć.

– Rozdzielamy się – oznajmił de Brandt. – Dziesięć metrów odstępu każdy. I miejcie się na baczności.

Wolno wjechali do lasu, rozglądając się uważnie i starając się nie narobić hałasu. Panujący półmrok utrudniał obserwację, ale zalesienie było rzadkie – trudno więc gdziekolwiek się ukryć. Dardan był pewien, że jeśli ktoś przebywał w tym zagajniku, to go znajdą.

Poszukiwania szły mozolnie i de Brandt gotów był już uznać, że nie ma tu żywej duszy i będą musieli pędzić dalej przez step w poszukiwaniu nowych tropów. Nagle usłyszeli jednak szelest dochodzący z krzaków rosnących kilka metrów przed nimi.

Dowódca zatrzymał swoich kompanów gestem uniesionej pięści. Dłonie jeźdźców powędrowały natychmiast na rękojeści mieczy. Piątka towarzyszy zaczęła powoli okrążyć krzaki, w których coś się wyraźnie ruszało.

Wtem powietrze przeszył świst pędzącej strzały. Jeden z towarzyszy krzyknął. Jego koń parsknął głośno i stanął dęba, zrzucając siedzącego na nim mężczyznę. Ten głucho uderzył w ziemię pokrytą dywanem liści. Z jego piersi sterczała strzała. Wojownik zaczął jęczeć i zwijać się z bólu. Pozostała czwórka natychmiast dobyła mieczy i popędziła konie w stronę krzaków. Z gąszczu z krzykiem wyskoczyła postać. Odrzuciła łuk i zza pasa wyjęła toporek, którym cisnęła prosto w Dardana. Młodzieniec w ostatniej chwili się uchylił, zaś broń przeleciała mu tuż nad uchem i wbiła się w pobliskie drzewo.

– Brać go! – rozkazał de Brandt i sam zeskoczył z konia z mieczem w ręku.

Gdy zbliżył się do napastnika na odległość uderzenia klingą, stanął jak wryty. Okazało się bowiem, że on był kobietą. Ta chwila zawahania niemal kosztowała go życie, przeciwniczka wprawnym ruchem dobyła miecza i zaatakowała błyskawicznym sztychem. Dardana uratował Kager, który podjechał do walczących. Jego koń kopnął kobietę, wytrącając ostrze z ręki. Jęknęła i zwała się na ziemię. Pozbierała się jednak prędko i już miała rzucić się do ucieczki, ale de Brandt w ostatniej chwili złapał ją za szyję i raz jeszcze sprowadził do parteru. Wiła się i szarpała, lecz silniejszy mężczyzna przygwoździł ją do ziemi.

Gdy kobieta zorientowała się wreszcie w sytuacji i przestała się szamotać, Dardan miał okazję przyjrzeć się schwytej. Miała ciemne, lekko kręcone włosy, pociągłą twarz i piwne oczy. Mimo pełnego nienawiści spojrzenia, jakim go obdarzyła, wydała mu się zaskakująco urodziwa.

– Ilu was jest? – zapytał, przyciskając ją kolanem do ziemi.

Nie odezwała się, patrząc na nich z przerażeniem.

– Gadaj! Ilu jest z tobą? – powtórzył pytanie.

Jego ludzie pozostawali czujni i przeczesywali zarośla w poszukiwaniu potencjalnych towarzyszy schwytej kobiety. Trafiony strzałą wojownik zwijał się z bólu. Kager doskoczył do niego i zaczął go opatrywać.

– Jestem sama – odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia kobieta.

Dardan nie był pewny, czy mówi prawdę. Widział natomiast, że przez cały czas szuka możliwości, jak w sprytny sposób oswobodzić się i uciec. Skinął na jednego z wojowników, który stał najbliżej.

– Daj linę.

Mężczyzna podał mu przyczepiony do juków sznur. Dardan wprawnym ruchem zawiązał kobiecie węzeł na rękach i nogach. Napastniczka szarpała więzami, jednak nie była w stanie się wyswobodzić. Gdy tylko skończył, splunęła mu prosto w twarz.

– Zostaw mnie! – krzyknęła.

Dardan otarł twarz rękawem i z satysfakcją spojrzął na niemogącą się poruszać wojowniczkę.

– Szefie! – Dobiegł go głos jednego z wojowników, który pomagał Kagerowi opatrywać rannego. – Musimy go zabrać do wsi, do znachora!

– Kager, zabierz go na swojego konia i do Wiązownicy! – wydał rozkaz.

Dardan podniósł kobietę z ziemi. Miała skrępowane dłonie i nogi, przez co nie mogła ustać o własnych siłach. Postanowił więc, że zanieś ją na plecach na wolnego konia. Szarpała się przy tym i piszcziała strasznie, próbując związanymi pięściami okładać po plecach niosącego ją mężczyznę. Z marnym skutkiem. Wreszcie przełożył ją przez grzbiet konia. Przywiązawszy ją do siodła, sam dosiadł swojego.

– Nie radzę robić głupstw, bo zginiesz pod kopytami – rzucił jedynie i złapał za lejce obu wierzchowców.

– Prędko, do wsi z rannym! Jeden ze mną, drugi niech ściągnie resztę oddziału.

Posłuchali rozkazów i rozjechali się w swoje strony.

\*\*\*

Mieszkańcy Wiązownicy okazali się całkiem pomocni. Mimo szczerzej niechęci przyjęli wracających żołnierzy Dardana i dość sprawnie udzielili pomocy rannemu. Wioskowy znachor kazał zanieść nieprzytomnego już wojownika do karczmy, gdzie ułożono go na stole. Medyk usunął strzałę, zdezynfekował ranę bimbrem i zaszył.

– Będzie żył – oznajmił.

Usłyszawszy to, Dardan poczuł ulgę.

– Ugośćcie moich ludzi w karczmie, panie starszy – zwrócił się do poznanego już mężczyzny, reprezentującego mieszkańców wsi. – Odwdzięczmy się.

Wyjął z kieszeni sakiewkę z pieniędzmi, którą udało mu się zabrać z królestwa, gdy opuszczał je po pamiętnym posiedzeniu sądu. W sakwie niewiele już zostało, Dardan wysupłał jednak kilka miedzianych monet i wręczył chłopu. Ten z błyskiem

w oku przyjął pieniądze i całkiem ochoczo polecił karczmarzowi wytoczyć beczkę miodu dla zjeżdżających do wsi wojów.

– Teraz czas na ciebie, ślicznotko – powiedział de Brandt w stronę kobiety, która już podczas drogi przestała się wić i wydzierać. Najprawdopodobniej była zmęczona niewygodną podróżą, a do tego głodna i spragniona.

Dardan posadził ją przy jednym ze stołów w wiejskiej karczmie, pod ścianą, daleko od wyjścia, aby nie miała możliwości ucieczki. Rozwiązał jej ręce, nogi zaś pozostawił skrupowane. Poprosił karczmarza, by podał jej skromny posiłek i kubek miodu. Otrzymawszy jedzenie, kobieta nie zwlekała ani chwili. Zaczęła łapczywie pożerać chleb i lichą polewkę, popijając co chwilę miodem. Gdy skończyła, beknęła głośno niczym stary wiarus, i wytarła twarz rękawem.

– Jak cię zwać? – spytał Dardan.

– Nijak – odpowiedziała zadziornie.

– Niech będzie. – De Brandt nie dawał się łatwo wyprowadzić z równowagi. – Jesteś od Szarego Lisa?

Czarnowłosa kobieta zwlekała z odpowiedzią. W końcu uległa. Westchnęła ciężko i się odezwała.

– Znam... Spędziłam z nimi trochę czasu. Ale odeszłam.

– Dlaczego? – zaciekawiał się dowódca.

Wzruszyła ramionami.

– Bo nie chciałam przebywać w towarzystwie takich prostaków? Może przy okazji zaleźli mi za skórę? – odpowiedziała beznamiętnie.

Dardan uniósł brwi. Zaczynał dostrzegać grę, którą prowadziła.

– Nie chcieli podzielić się łupami?

– Może...

– A ty i tak wzięłaś coś, co do nich należało?

Wzruszyła ramionami.

– Gdzie to jest?

– Zgubiłam po drodze.

– Ciekawe. A dokąd uciekałaś?

– Nie wiem. Przed siebie.

– Sama?

– Sama.

– Nie wierzę ci.

– Trudno. – Wyszczrzyła zęby w zawadiackim uśmiechu.

Dardan pomyślał, że gdyby nie maska, którą starała się przybierać kobieta, miałyby całkiem ładny uśmiech.

– Ilu ich było?

– Kogo?

– Tych, z którymi szłaś przez step... Nie wierzę, że byłaś sama, widzieliśmy ślady przy rzece.

– Bzdura! Sama uszłam, mówię.

– Mam ci uwierzyć, że podpadłaś Szaremu Lisowi, uciekłaś mu i nikt ci nie pomógł?

– Ano. Popiły się chłopaki, było łatwiej.

Dardan zmrużył oczy. Zastanawiał się, czy to możliwe, że dziewczynie rzeczywiście nikt nie towarzyszył.

– Gdzie ukryłaś łup?

– W dupie.

– Sprawdzimy później.

– Oho! Czyli będziecie się ze mną zabawiać. Tylko ty czy oni też? – Wskazała brodą na resztę siedzących w karczmie towarzyszy Dardana, którzy choć jedli i pili, bacznie przysłuchiwali się przesłuchaniu. – Może ten stary wieśniak też?

– Zobaczmy – powiedział z przekąsem de Brandt. – Zależy od tego, czy będziesz grzecznie mówić.

– Co byś chciał wiedzieć? Łupu żadnego nie ma... Mówię, że zgubiłam.

– Niech będzie. Zostawmy to na razie. Wiesz, gdzie jest teraz banda Szarego Lisa? Ścigają cię?



– Wątpię. Ja naprawdę niczego im nie zabrałam. Myślą pewnie, że już nie żyję. Że mnie, jak to się mówi, step pożarł.

– Ani trochę ci nie wierzę. – Dardan uśmiechnął się szyderczo. – Ale to nic. Widzę, że masz zwadę z Szarym Lisem. Proponuję ci zatem układ. Doprowadzisz nas do niego, a ja daruję ci wolność.

Czarnowłosa pochyliła się nad stołem, patrząc de Brandtowi głęboko w oczy. Było w tym spojrzeniu coś pociągającego i mężczyźnie trudno było oderwać od niej wzrok.

– Doprowadzę was do niego, ale musisz mi obiecać jedną rzecz.

– Jaką?

– Że będę mogła go zabić. Osobiście.

Dardan myślał dłuższy czas, po czym wyciągnął do kobiety rękę.

– Zgoda.

Uścisnęła jego dłoń, a on musiał przyznać, że sprawiło mu to przyjemność.

\*\*\*

– Kaja.

Dardan spojrział na nią ze zdziwieniem. Jechali kłusem na wschód w stronę bardziej dzikich terenów pogranicza. W okolicy było mniej wiosek i mniej wydeptanych ścieżek. Poruszali się jedynym traktem, który niegdyś łączył Vorenau z najdalej wysuniętą stacją, dziś już opuszczoną. Trakt był zaniedbany i ledwo widoczny, więc konie miały utrudnioną przeprawę. Teren był nierówny i oddział nie mógł poruszać się zbyt szybko.

– Pytałeś mnie o imię. Kaja.

– Dardan – odpowiedział. Zachęcony tym, że wreszcie zdecydowała mu się przedstawić, postanowił wyciągnąć od kobiety nieco więcej informacji.

– Od jak dawna jesteś na pograniczu?

– O, patrzcie go – oburzyła się dziewczyna. – Powiedziałam ci, jak mam na imię, żeby nie było ci niezręcznie, jak będziesz do mnie mówił. Nic więcej ci nie

powiem.

– Jak chcesz... – Wzruszył ramionami. – Ale droga przed nami długa. Przy rozmowie szybciej zleci.

Westchnęła zrezygnowana.

– Niech będzie. Jestem tu wystarczająco długo, żeby nie ufać takim jak ty, paniczkom ze szlacheckich rodów.

– Skąd pewność, że jestem ze szlacheckiego rodu?

Kaja parsknęła.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje, chłopcze. Znam się na ludziach. Ty, dajmy na to, udajesz twardziela, ale miękka z ciebie faja. A do tego zostałeś wygnany. Tam, skąd pochodzisz, najpewniej czeka cię stryczek.

Dardan był zaskoczony trafnością diagnozy kobiety. Początkowo miał ją za nieokrzesaną dzikuskę, coraz bardziej przekonywał się jednak, że ma do czynienia z kimś zgoła innym. Już sam sposób jazdy na koniu Kai dawał do zrozumienia, że nie wychowała się na stepie. Musiała odbierać w tej materii jakieś nauki w przeszłości.

– Co jeszcze o mnie wiesz? A raczej, co ci się zdaje, że wiesz? – sprowokował ją. Był coraz bardziej ciekawy tej postaci.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

– Masz w sobie żal. Tęsknisz za kimś lub za czymś. Za czymś, co utraciłeś albo co mogłeś mieć. Może ktoś załazł ci za skórę w królestwie. Może nie chodziłeś grzecznie do kościoła albo obraziłeś jakiegoś szlachciurę z wyższego stanu...

Zasepił się. Miała trochę racji, trudno było się z tym nie zgodzić.

– W dodatku – kontynuowała – nie zdecydowałeś jeszcze, kim chcesz być. Masz ambicję, by zbudować pozycję tutaj, na pograniczu. Widać to. Gonisz za jakąś bandą, która w niczym ci nie zawiniła. I po co? Żeby pomóc wieśniakom z Wiązownicy? Nie masz stałego obozu, a ty i twoi ludzie wyglądacie jak stado żebraków, którym ktoś dał do ręki pałki i kazał się bić o okruchy chleba. Marnie to wygląda, panie Dardanie.

Chciał odciąć się jej jakąś błyskotliwą ripostą, jednak nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Przerzął go fakt, że dziewczyna niemal idealnie go rozczytała, i to po zaledwie dwóch dniach znajomości. Jakiś czas jechali w milczeniu. Dardan obejrzał się i zorientował, że Jarmos i Kahaden jadą kilka kroków za nimi. Musieli słyszeć całą rozmowę.

– Ty, zdaje się, też nie jesteś tym, za kogo się podajesz – zaczął. – Także przed kimś lub przed czymś się ukrywasz i nie sądzę, by był to Szary Lis.

– Za dużo zmyślasz – zaśmiała się Kaja, choć Dardan dałby sobie rękę uciąć, że wyczuł w jej głosie lekkie zdenerwowanie. Czyżby trafił w czuły punkt? – Wiesz, Dardanie... Ludzie, którzy w spokoju przesiadują w swoich domach, mają co do garnka włożyć i czym zwilżyć usta, raczej nie jadą na pogranicze. Każdy tutaj przed czymś ucieka, nietrudno to zgadnąć.

– To prawda – zgodził się de Brandt. – Ale ty, jak mówisz, jesteś tu już od dłuższego czasu. Cały czas w bandzie Lisa?

Pokręciła głową.

– To świeża sprawa – odparła i nie odezwała się więcej.

– Widzę, że za wiele mi nie powiesz.

– Bystryś...

\*\*\*

Na drugi dzień stanęli u stóp zalesionego wzgórza, od którego zaczynało się niewysokie pasmo górskie. Dardan nie przypominał sobie nazwy tej okolicy, choć bywał tutaj w przeszłości. Teren był prawie niezamieszkały, zaś w lasach grasowało wiele dzikich zwierząt, przez co mieszkańcy pogranicza rzadko się tutaj zapuszczali. Była to za to idealna kryjówka dla wszelkiej maści grasantów i zbiegów.

– To tutaj – powiedziała Kaja. – U szczytu tej góry znajduje się stara myśliwska chata. To tam zmierzaliśmy z grupą Lisa, zanim uciekłam.

Dardan pokiwał głową. Oddalił się od niej i zawołał do siebie Jarmosa i Kahadena.

– Nie ufałbym jej – powiedział pierwszy z towarzyszy. – Może wciągnąć nas w pułapkę.

– Może – zgodził się Dardan. – Ja też jej nie ufam. Dlatego poczekamy do nocy. Potem podzielimy się na trzy grupy. Ty zostaniesz tutaj z piątką ludzi, pilnować koni. Kahaden wyruszy wcześniej wraz z resztą i okrąży chatę szerokim łukiem. Będzie w odwodzie po drugiej stronie wzgórza. Ja pójdę od frontu, przez las. Gdyby wcześniej mnie zauważył, Lis pomyśli, że ma przewagę. Wtedy uderzymy na niego z dwóch stron.

– A co, jeśli naprawdę ma przewagę? – zauważył Kahaden. – Jeśli źle nas poinformowała, może tam być całkiem spory oddział.

– Biorę to pod uwagę – przyznał dowódca. – Ale będzie noc. Weźmiemy ich z zaskoczenia. Po cichu.

– Plan może i dobry – przyznał Jarmos. – Tyle że nie podoba mi się ta dziwka. Coś mi się widzi, że za łatwo przyszło ci przekonanie jej, żeby nam pomogła.

– Ma na imię Kaja – poprawił go Dardan. – I z tego, co mi wiadomo, nie jest dziwką.

Jarmos zmarszczył brwi.

– Ty tu rządzisz – przyznał – ale miej się na baczności. Trzymaj ją krótko.

– Zamierzam.

Przywiązali konie w pobliskim zagajniku. Kahaden wraz z kilkoma ludźmi wyruszył wzdłuż wzgórza znacznie wcześniej. Gdy tylko słońce zaczęło zachodzić i step skąpał się w półmroku, Dardan, Kaja oraz reszta jego ludzi ruszyli w las. Póki wzrok pozwalał, szli dość szybko, później jednak musieli poruszać się po omacku. Wskazówki przekazane przez kobietę okazały się przydatne i udało im się dotrzeć w pobliże zabudowań, nim zapadła zupełna ciemność.

W głębi lasu znajdowała się niewielka chata. W środku było ciemno, jednak przed budynkiem tliło się dogasające ognisko, zaś do pobliskich drzew

przywiązane były konie. Dardan naliczył dziesięć wierzchowców, ale zmrok uniemożliwił mu dokładny osąd.

– Żadnych straży? – zapytał szeptem kucającą obok Kaję.

Oboje przyglądali się chacie zza gęstych zarośli.

– Popili się – oznajmiła dziewczyna. – Jednak bądźcie czujni. Ktoś może być przy ognisku.

Powoli zaczęli zbliżać się do obozowiska, okrążając je ostrożnymi krokami. Starali się poruszać najciszej, jak potrafili. Dardan nie chciał kusić losu. Wreszcie znaleźli się w odległości umożliwiającej dokładne przyjrzenie się okolicy leśniczówki. Słabe światło dogasającego ogniska pozwoliło im dokładnie zorientować się w sytuacji. Wychodziło na to, że wokół chaty rzeczywiście nikogo nie było.

De Brandt uznał, że nie ma sensu zwlekać. Mając nadzieję, że Kahaden ze swoją grupą są już po drugiej stronie zabudowań, zagwizdał. Z oddali odpowiedział mu gwizd. Był to wystarczający sygnał do ataku. Członkowie oddziału ruszyli na chatę. Dardan pierwszy dobiegł do drzwi i wyważył je potężnym kopnięciem. Z mieczem w ręku wparował do środka. Prędko rozejrzał się po wnętrzu i z przerażeniem stwierdził, że w chałupie nikogo nie było.

– Pożalujesz tego – wycedził groźnie w kierunku Kai, jednak w tym samym momencie strzała świsnęła mu koło ucha i wbiła się w futrynę. – Gotuj! – krzyknął i jego ludzie natychmiast odwrócili się plecami do budynku.

Z zarośli zaczęły wyskakiwać postacie uzbrojone w cepy i krótkie miecze. Zaatakowali z krzykiem. W mizernym świetle dogasającego ogniska niewiele było widać, przez co walka była utrudniona. Element zaskoczenia zawiódł i oddział Dardana musiał natychmiast przejść do obrony. Trudno było również ocenić, ilu napastników liczyli sobie atakujący, gdyż ci poruszali się wyjątkowo szybko i co chwilę zza krzaków wychodzili kolejni.

De Brandt zamachnął się mieczem i odbił spadający na jego głowę cios, uchylając się jednocześnie. Wywinął szybki młynek i wbił żelazo pod żebra

grasanta. Ten jęknął i zwalił się na ziemię. Jego towarzysze pojedynkowali się już z kolejnymi członkami bandy. Szczęk niósł się po polanie. Kaja, uzbrojona jedynie w nóż, który otrzymała od Dardana tuż przed atakiem, radziła sobie wyjątkowo dobrze. Kobieta była zwinna niczym kocica i z powodzeniem uskakiwała przed kolejnymi ciosami, wykonując wprawne cięcia i pchnięcia.

Dowódca właśnie rozprawiał się z kolejnym napastnikiem, gdy ktoś skoczył na niego zza pleców. Widząc to, Kaja wpadła na mężczyznę i razem zwalili się na ziemię, tym samym unikając ciosu ciężkim toporem.

– Są w środku!

Z chaty wyskoczyło trzech kolejnych bandytów. Dardan skarcił się za to, że nie dostrzegł nikogo wewnątrz. Musieli być dobrze zakamuflowani, co zresztą nie było trudne przy panujących wszędzie wokół ciemnościach.

Nowi napastnicy mieli przewagę, wprawnie cieli toporami, raniąc kolejnych podkomendnych Dardana. Z pomocą przyszedł jednak Kahaden, który przytomnie zorientował się w sytuacji. Młodzieniec niezwykle umiejętnie władał mieczem, blokując kolejne ataki i lawirując pomiędzy większymi od siebie wojownikami. Sam położył dwóch, a de Brandt dopełnił dzieła.

– Skurwysyn ucieka! – krzyknęła nagle Kaja, wskazując znikającą w gęstwinie postać.

Nie czekając ani chwili, rzuciła się w pogoń.

– Zostańcie tu, upewnijcie się, że nie ma ich więcej – rozkazał Kahadenowi Dardan, po czym puścił się biegiem za kobietą.

Przedzierała się przez coraz gęstsze zarośla, co w połączeniu z panującymi wokół ciemnościami niemal uniemożliwiało skuteczną pogoń. Wyraźnie słyszeli, jak szelest liści przed nimi cichnie, zaś goniona postać oddala się. Kaja zdecydowała się na desperacki krok i wprawnym ruchem cisnęła mocno przed siebie nóż.

Dobiegł ich jęk i odgłos zwalającego się na ziemię ciała. Doskoczyli do mężczyzny, który z nożem w plecach wił się i skomlał.

– Zostaw mnie, czarownico! – jęczał mężczyzna zwany Szarym Lisem. – Co ja ci zrobiłem?

– Urodziłeś się – odparła i wyszarpała ostrze z jego pleców. Krew trysnęła jej na twarz.

Lis wydał z siebie przeraźliwy pisk. Dardan chwycił ją za rękę w ostatniej chwili, gdy kobieta zamierzała zadać śmiertelny cios.

– Puść mnie – syknęła i zaczęła się szamotać.

Dardan był zaskoczony siłą i szybkością, z jaką się poruszała. Kaja błyskawicznie wywinęła mu się i kopnęła na tyle mocno, że runął na plecy. Nie zwlekała długo i nim de Brandt zdążył się podnieść, wbiła nóż głęboko w szyję herszta bandy grasantów. Mężczyzna zagulgotał, jego ciało ogarnęły konwulsje. Umarł, nim dowódca zareagował.

Kaja klęczała nad zabitym, dysząc ciężko. Cała walka najwyraźniej też ją osłabiła. Wpatrywała się beznamiętnie w truchło mężczyzny. Podniosła głowę, dopiero gdy poczuła zimne ostrze na szyi.

– Odrzuć nóż.

Posłusznie wykonała polecenie, co zaskoczyło Dardana.

– Wstań.

Wstała. Nie stawiała oporu, gdy popchnął ją przed siebie. Przytykając miecz do pleców, prowadził kobietę w stronę zabudowań. Droga powrotna zajęła im znacznie dłużej niż pościg za Szarym Lisem. Dardan przez chwilę obawiał się, że się zgubią, jednak Kaja zdawała się iść prosto w stronę chaty, jakby doskonale знаła drogę.

Gdy dotarli na miejsce, zastali liżących rany Kahadena z oddziałem.

– Straty? – zapytał Dardan.

– Jeden – zasmucił się przyjaciel. – Gnopp... dostał toporem.

Dowódca wziął głęboki oddech.

– Dobry był z niego druh. Pochowamy go, jak należy. Zabierzesz ciało. Co z resztą?

- Trzech rannych. Wyliżą się, ale musimy ich jak najszybciej dowieźć do wsi.
- Wrócę z ludźmi do koni i ruszymy. Dla ciebie mam zadanie.

Nachylił się w stronę Kahadena i wyszeptał mu coś do ucha. Następnie rozkazał ludziom pomóc rannym zejść w dół wzgórza, gdzie czekał na nich Jarmos. Sam zaś związał Kai dłonie. Dziewczyna nie wносиła sprzeciwu. Właściwie nie zdradzała zupełnie żadnych emocji. Od czasu zabicia herszta bandy nie odezwała się ani słowem i posłusznie wykonywała wszystkie polecenia Dardana.

\*\*\*

Blask księżyca odbijany w strumieniu, do którego dotarli po godzinie wolnego stępu, ułatwił im nieco drogę. Podróż nocą przez step była niezwykle trudna i męcząca – tak dla ludzi, jak i przede wszystkim dla koni, które musiały uważnie stawiać każdy krok. Dlatego, mimo że im się spieszyło, Dardan nie popędzał oddziału. Nie chciał stracić już nikogo tej nocy.

Konia, na którym jechała Kaja, trzymał na lejcach blisko siebie. Obojętność kobiety zastanawiała go i przerażała zarazem. Nie sprawiała wrażenia, jakby miała ochotę uciekać, a mimo to de Brandt wiedział już, że można się po niej spodziewać właściwie wszystkiego.

Podróż dłużyła się niemiłosiernie. Wojownicy byli zmęczeni. Pilnowanie rannych, zajmowanie się końmi i czuwanie nad tym, żeby nie zboczyć z drogi, przypadło grupie Jarmosa, która zachowała tej nocy najwięcej sił. Oddział był jednak dobrze zorganizowany i mimo trudów do znajomej, porośniętej wiazami doliny dotarli szybciej, niż przypuszczali.

Dotarłszy do Wiązownicy, Dardan rozkazał natychmiast zanieść rannych do znachora. Był wczesny ranek i szczęśliwie miejscowy cyrulik był już na nogach. Dowódca odprawił swoich podkomendnych i po raz kolejny poprosił starszego wioski o gościnę.

– Z czym przyjeżdżacie, panie Dardanie? – spytał chłop. – Udało się wam dopaść tego łachudrę?



– Udało – przyznał de Brandt. – Lada chwila będziecie mieli dowód. Teraz liczę, że wywiążecie się z umowy.

W tym momencie do wioski dotarł ostatni jeździec. Zatrzymał konia tuż obok rozmawiających mężczyzn. Kahaden zeskoczył z grzbietu i odpiął z juków sporej wielkości worek. Rozwiązał zawiniątko i pokazał zawartość torby starszemu. Chłop skrzywił się na widok zakrwawionej głowy.

– Ten? – spytał Kahaden.

– Ten – potwierdził chłop, po czym odwrócił się na pięcie i zwymiotował. Gdy skończył, otarł twarz rękawem i ruchem ręki wskazał na karczmę. – Gościna jest wasza. Dotrzymaliście słowa i ja dotrzymam swego.

– Dziękuję, panie starszy. – Dardan się uklonił. – Nie pożałujecie. Będziemy bronić tej wsi przed takimi jak ten tutaj. – Wskazał głową na worek. – Dobra robota, przyjacielu – zwrócił się do Kahadena i poklepał go po ramieniu. – Idź no do chłopaków. Zasłużyliście na odpoczynek. Przygotujcie mi co do picia, zaraz do was dołączę.

Po chwili na głównym placu chłopak został sam z Kają. Dardan wyjął nóż i rozciął więzy, które krępowały jej ręce. Wciąż była obojętna i przytępiona, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół niej.

– Wolna jesteś – powiedział, zdejmując resztki sznura z jej dłoni. – Nie wiem, kim jesteś ani czym się zajmujesz. Okłamałaś mnie, to pewne, ale dotrzymałaś obietnicy. Idź więc swoją drogą.

Spojrzała mu w oczy. Po raz pierwszy od wielu godzin patrzyła na niego całkiem przytomnie, jak gdyby nagle wybudziła się z głębokiego snu.

– Sęk w tym, że... – odezwała się po chwili namysłu. – Nie mam dokąd pójść.

## ROZDZIAŁ 3

Wiązownica była dobrze przygotowana do zimy i gdy spadły pierwsze śniegi, wszyscy poczuli satysfakcję z dobrze wykonanej pracy, a nawet ucieszyli się z nadejścia mrozów. Zgromadzono pokaźne zapasy żywności, ciepłych ubrań oraz drwa na opał. Prace, które zwykle kosztowały chłopów mnóstwo wysiłku, tej jesieni przyszły im znacznie łatwiej za sprawą pomocy oddziału Dardana. Rąbanie drewna nie stanowiło większego problemu dla silnych, zaprawionych w bojach mężczyzn, a i z polowaniem radzili sobie całkiem dobrze. Mimo iż zapasów potrzeba było teraz znacznie więcej niż zwykle, bo liczebność gęb do wykarmienia powiększyła się niemal dwukrotnie, zgromadzenie potrzebnych dóbr nie przysporzyło trudności. Nawet beczek z przeróżnymi trunkami pojawiło się znacznie więcej, gdyż ludzie Dardana znaleźli niemały zapas miodu i wódki, zgromadzony w łowieckiej chatce przez nieistniejącą już szajkę Szarego Lisa.

Wiązowniczanie szybko zaakceptowali nowych towarzyszy i większość z nich, ze starszym wioski na czele, obdarzyła ich szacunkiem i zaufaniem. Początkowe wątpliwości szybko zeszły na dalszy plan, gdy okazało się, że wojownicy ani nikogo nie gwałcą, ani nie biorą tego, co nie swoje, a jedyne problemy, jakie stwarzają, to głośne i huczne pijatyki, które od czasu do czasu kończyły się jednym czy drugim złamanym nosem.

Tę cenę mieszkańcy osady byli jednak w stanie ponieść, gdyż po raz pierwszy od bardzo dawna czuli się w swoich domach bezpiecznie. Odczuwali spokój, który tak rzadko spotykał wieśniaków z pogranicza. Pewność, że nawet jeśli jakaś banda obierze sobie za cel ich domostwa, to wreszcie będzie miał ich kto obronić. Wreszcie nie musieli obawiać się o swój dobytek ani o cnotę żon i córek. No chyba

że te z własnej woli decydowały się rezygnować z niej na rzecz dziarskich wojowników, co zresztą zdarzało się wcale często.

Oprócz kilku zwad spowodowanych drobnymi incydentami relacje łączące wojów z wieśniakami były naprawdę dobre. Dardan, przy pomocy swoich najbliższych towarzyszy – Jarmosa i Kahadena – czuwał, by żołnierze nie rozbestwili się zanadto, powściągając, kiedy trzeba, zapędy niektórych. Z kolei starszy wioski, jeśli zachodziła taka potrzeba, przypominał swoim sąsiadom, że oddział jest tutaj po to, aby mogli czuć się bezpiecznie, i że pomaga im w wielu codziennych pracach, które wykonują.

Zasadniczo więc obu przebywającym w Więzownicy grupom wiodło się coraz lepiej. Podkomendni Dardana mieli zatem pełne brzuchy i dach nad głową. Spali bowiem, jak było to przyrzeczone, w karczmie, na przemeblowanych stodołach, zaś sam dowódca, Jarmos i Kahaden otrzymali nawet miejsca w domu starszego, którego chałupa była największa i miejsca w niej było dość.

Największy problem wieśniacy mieli jednak z Kają. Kobieta nie wzbudzała szacunku niemal u nikogo. Zarówno mieszkańcy wsi, jak i członkowie oddziału patrzyli na nią krzywo, najgorzej zaś traktował ją Ugnor, który szczególnie zapamiętał sobie strzałę, którą go przeszła w lesie. Dardan musiał pilnować, by ta dwójka raczej nie miała ze sobą zbyt wiele do czynienia.

Kaja została w Więzownicy na zimę na rozkaz Dardana. Nie wiedział jeszcze, co zamierza z nią zrobić, jednak z nie do końca zrozumiałych sobie powodów nie potrafił jej odmówić, gdy poprosiła go o pozwolenie na przezimowanie wraz z nimi. Ilekroć próbował z nią rozmawiać na temat jej przeszłości oraz tego, co właściwie robi na pograniczu, tylekroć zbywała go jakimś tanim kłamstwem albo zmieniała temat. Dardan miał zatem mieszane uczucia wobec niej. Z jednej strony docenił, że pomogła mu odnaleźć Szarego Lisa, wzięła czynny udział w walce, a nawet uratowała życie, z drugiej jednak jej motywacja do zabicia przywódcy bandy oraz relacja z nim pozostawały tajemnicą.

Nad kobietą zlitowała się wreszcie jedna z mieszkanki Więzownicy. Starsza pani Ruta, dostrzegając zagubienie Kai oraz to, jak traktowała ją większość

członków oddziału, zaoferowała jej nocleg we własnym domu, który zajmowała jedynie z mężem. Ku zaskoczeniu Dardana Kaja ochocho przyjęła zaproszenie i z pokorą pomagała życzliwym chłopom we wszystkich domowych pracach. Widząc, że nie sprawia problemów, a wręcz ich unika, schodząc z drogi jego podkomendnym, de Brandt postanowił wreszcie podjąć próbę zbudowania zaufania pomiędzy nimi.

Pewnego zimowego dnia, gdy step pokryty był już pokaźną warstwą śniegu, zaś zwyczajowe zamiecie uniemożliwiające właściwie podróżowanie po pograniczu jeszcze nie nadeszły, Dardan poprosił Kaję, by towarzyszyła mu w polowaniu.

– Na co chcesz polować? Jest zima.

– Jelenie, sarny. – De Brandt wzruszył ramionami. – Żerują w pobliskim lesie. Starszy powiedział mi, że można na nie natrafić, jeśli się odpowiednio długo poczeka.

– A dlaczego akurat ja? – spytała podejrzliwie.

– Dobrze tropisz. Bądź gotowa o poranku – powiedział Dardan i odszedł, nie dając dziewczynie możliwości wyrażenia sprzeciwu.

Gdy wczesnym rankiem czekał na placu pośrodku wsi i siodłał konia, gotując się do wyjazdu, nie spodziewał się, że Kaja się pojawi. Tym większa była jego satysfakcja, gdy zobaczył, że drzwi jednej z sąsiednich chat uchylają się i wychodzi z nich ubrana w ciepłe skóry kobieta z łukiem przewieszonym przez plecy.

Bez słowa podeszła do jednego z wolnych koni, wprawnymi ruchami osiodłała go i przygotowała juki.

Niedługo potem kroczyli z wolna przez zaśnieżony step, zbliżając się do majaczącego na horyzoncie lasu. Konie parskały z zimna, wypuszczając z chrap kłęby pary. Krajobraz, choć surowy, nie przestawał zachwycać Dardana. Mężczyzna podziwiał otaczający ich biały ocean, z którego raz po raz wystawały pojedyncze drzewa lub pomniejsze zagajniki. Ptaki, które nie odleciały tej zimy na południe, co jakiś czas zrywały się do lotu i ze skrzekiem przelatowały wysoko nad

ich głowami. Promienie wschodzącego słońca odbijały się jaskrawo na śniegu, który chrobotał pod kopytami wierzchowców.

Gdy dotarli do lasu, Dardan i Kaja przywiązali zwierzęta do drzew i przykryli derkami, żeby zapewnić im choć trochę ciepła. Wyposażeni w łuki i pełne strzał kołczany ruszyli w głąb lasu. De Brandt po raz kolejny przekonał się o przydatności Kai, gdy jako pierwsza dostrzegła pomiędzy drzewami ślady zwierzęcia. Kucnęła przy nich i badała ich kształt i głębokość.

– Miałeś rację – powiedziała w końcu. – Sarny. Matka i młode. Były tu jeszcze w nocy.

– Jestem pod wrażeniem – skomentował szczerze Dardan.

– I słusznie. Jestem w tym dobra – dodała z przekonaniem, które zaskakiwało i jednocześnie budziło podziw.

Zastanawiał się, ile jeszcze talentów skrywa ta postać i czym będzie w stanie go zaskoczyć. Najbardziej jednak dręczyło go pytanie, czy można jej było zaufać.

– Teraz cicho – wyrwała go z rozmyślań. – Trzymaj się nisko i idź za mną. Ani słowa.

Dardan posłusznie wykonał jej polecenie, co zresztą po raz kolejny go zadziwiło. Powoli podążali po ledwo widocznych śladach zwierzyny. Kaja przygotowała łuk i nałożyła nań strzałę. Wreszcie kazała mu się zatrzymać. Siedzieli w ciszy wśród zarośli i czekali w milczeniu. Nagle kobieta wycelowała łuk i wypuściła strzałę, nim de Brandt zdążył się zorientować, gdzie właściwie jest cel. Sarna upadła.

Już chciał pochwalić umiejętności Kai, lecz ta nagle zerwała się na równe nogi, podniosła do góry łuk i z godną podziwu zręcznością wypuściła strzałę, trafiając kolejne zwierzę. Mężczyzna patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył.

– Dwie wystarczą? – zapytała, sprawiając wrażenie, jakby nic się nie stało.

Wciąż zdumiony dowódca pokiwał głową.

– Zamierzasz mi pomóc czy będziesz tak sterczał jak słup?

Otrząsnął się z letargu i poszedł za nią. Gdy ładowali zabite sarny na konie i przywiązywali do juków, Dardan rzekł.

– Dosyć tego, Kaju.

Spojrzała na niego pytająco.

– Nie pociągniemy tego dłużej. Musisz mi opowiedzieć, kim jesteś i co tu właściwie robisz... Dlaczego spędzasz zimę akurat z nami, zamiast ruszyć w swoją stronę?

Milczała długo, zanim zdecydowała się odpowiedzieć.

– Powiem ci. Powiem ci wszystko, Dardanie, ale jeszcze nie teraz. – Wsiadła na koń i ruszyła w stronę wsi.

Mężczyzna westchnął, ale podążył za nią.

\*\*\*

Przez całą zimę Dardan i Kaja wielokrotnie wybierali się razem na polowania, za każdym razem przywożąc do Więzownicy owoce swych łowów. Mieszkańcy byli bardzo zadowoleni z faktu, że ich zapasy były ciągle uzupełniane o świeże mięso, dzięki czemu przetrwanie chłodu było o wiele bardziej znośne niż w poprzednich latach, i to nawet pomimo większej liczby osób do wykarmienia.

Dardan miał także własny cel w tych polowaniach. Z każdą kolejną wyprawą budował zaufanie Kai, ale i sam powoli przekonywał się do kobiety. Ta zresztą uczyła go przydatnych technik tropienia i polowania, co de Brandtowi wychodziło na dobre.

Podczas którejś z wypraw, gdy temperatura nieco się już podniosła, zaś śniegi zaczęły topnieć, zwiastując koniec zimy, Dardan zdecydował, że tym razem nie będą polować. Gdy dotarli na jedno ze stanowisk łowieckich – polanę na niewielkim wzgórzu w lesie – zsiadł z konia i zaczął przygotowywać miejsce pod ognisko.

– Co robisz? – zapytała Kaja ze zdziwieniem.

– Dzisiaj nie będziemy polować – odparł spokojnie.

– A niby co będziemy robić? – spytała zadziornie, krzyżując ręce na piersi.

– Rozmawiać.

– Dardan, posłuchaj...

– Kaja – przerwał jej – właśnie to mam zamiar zrobić. Będę dzisiaj słucał. A ty będziesz opowiadać. Usiądziemy przy ognisku i napijemy się miodu. Zabrałem butelkę.

Nie czekając na jej odpowiedź, oddalił się, by przynieść gałęzie na rozpałkę. Chwilę później rzeczywiście siedzieli przy ognisku. Kaja wreszcie zdecydowała się pomóc. Odśnieżyła zwalone drzewo i ułożyła na nim skóry, które Dardan specjalnie w tym celu zabrał ze sobą. Usiedli blisko płomieni. De Brandt podał kobiecie bukłak z miodem i czekał.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Niech ci będzie. Co chcesz wiedzieć?

– Co tak naprawdę robiłaś w tym zagajniku, w którym cię znaleźliśmy?

– Ukrywałam się.

– Przed bandą Lisa?

Pokiwała głową.

– Tak. Chciałam dopaść ich w Wiązownicy, ale mi się nie udało. Napadli mnie i zabrali dobytek. Uciekłam.

– Chciałaś ich dopaść? Sama?

– Owszem.

– Dlaczego?

Przez pewien czas patrzyła mu w oczy, jakby chciała ocenić, czy warto się przed nim otworzyć. Ocena musiała wypaść dla niego korzystnie, gdyż wreszcie Kaja zdecydowała się streścić mu całą historię.

– Tropiłam bandę Szarego Lisa, bo chciałam go zabić. Od samego początku to był mój cel. Tak, dobrze słyszysz, Dardanie, chciałam zabić tego skurwysyna i wszystkich jemu podobnych. Tym właśnie zajmuję się na pograniczu. Tropię i zabijam hersztów grasantów. W pojedynkę rozbijam bandy, które robią w tym

dzikim kraju, co chcą. Gwałcą, rabują i mordują zwykłych ludzi, którzy próbują w tych trudnych warunkach ułożyć sobie życie...

Dardan nie odzywał się, czekając cierpliwie, aż kobieta kontynuuje historię.

– Spytasz pewnie, dlaczego to robię... Dlaczego akurat ja? Czasem sama się zastanawiam. Przecież takich jak ja, skrzywdzonych przez los dziewczyn, jest mnóstwo. Wszak nie ja jedna straciłam wszystko, gdy do mojego domu przysłała banda. Tak, dobrze słyszysz. Przyjechali w sile kilkunastu mężczyzn. Brudnych, śmierdzących, z zawszonymi brodami. Mieli topory i pochodnie. Gdy już zabili mi ojca i braci, zabawili się z moją matką i ją też zabili, splądrowali cały dom. Wszystko, co tylko mieliśmy wartościowego, zabrali, po czym podłożyli ogień. Udało mi się przeżyć. Byłam małą, przerażoną dziewczynką, więc schowałam się w składziku z narzędziami i patrzyłam na wszystko przez dziury w deskach. Stałam jak sparaliżowana. Zobaczyłam śmierć rodziny i nic nie byłam w stanie zrobić. Widzę po tobie, że mi współczujesz...

Dardan powoli pokiwał głową. Pozwalał jej mówić. Był gotowy usłyszeć wszystko, a z każdym kolejnym słowem nabierał coraz większej sympatii do tej kobiety.

– To miłe, ale też bądźmy poważni. Takich historii wydarzają się setki. Rok w rok na południu dzieją się rzeczy, których cywilizowany świat nie chce oglądać. Pomniejsze szlacheckie rody giną bezpowrotnie w wyniku różnego rodzaju awantur, a potężniejszym rodom jest to na rękę. Vorenau ma to gdzieś. Pewnie dlatego nikt mnie nie szukał. Król utrzymuje ten teren w swych granicach, jak sam pewnie wiesz, tylko po to, by oddzielić się od nieznanych ludów zamieszkujących dalekie południe. Także po to, by wszelkiego rodzaju szumowiny mogły tutaj prowadzić swoje awanturnicze życie i nie nękać reszty królestwa... Żeby żadni wichrzyciele nie próbowali zakłócić spokoju, zaprowadzać swojej religii albo innych niewygodnych poglądów. Brutalna polityka, choć trzeba przyznać, że całkiem skuteczna.

De Brandt w duchu przyznał jej rację, choć nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Sam przecież wielokrotnie jeździł na pogranicze z misjami patrolowymi



i nieraz zdarzało mu się rozbić pojedyncze grupy grasantów. Nie przychodziło mu jednak do głowy, że przecież nie sposób opanować całego pogranicza i utrzymać w nim taki sam poziom praworządności jak w centrum królestwa. Jednocześnie im bliżej stolicy, tym bandytów było mniej. Wszyscy grasowali właśnie na południu. Milczał jednak, pozwalając kobiecie mówić dalej.

– Większość dzieciaków, które przeżyły to, co ja, nic z tym nie robi. Trudno się im dziwić. Najczęściej trafiają do jakichś przytułków, czasem ktoś im pomaga i cóż... żyją dalej. Ja jednak nie chciałam skończyć jak one. Nie chciałam wylądować na ulicy albo w jakimś burdelu w Vorenau. Zresztą nie od razu dotarło do mnie, że mogę zrobić ze swoim życiem coś, co nadałoby mu sens. Tułałam się po stepie przez bardzo długi czas. Chodziłam od wioski do wioski, żebrząc o jedzenie. Z różnym skutkiem, bo wszędzie była bieda... Chłopi byli dla mnie na ogół dobrzy. Dostawałam coś do zjedzenia, czasem ktoś mnie przenocował. Nigdzie jednak nie chciałam zostać na dłużej, choć oferowano mi dach nad głową. Czułam, że muszę być silna.

Przerwała na moment, a Dardan odniósł wrażenie, że pod powiekami dostrzega łzę. Po chwili jednak stwierdził, że musiało mu się przywidzieć.

– Przez rok czy dwa uczyłam się wszystkiego, co przydatne w dziczy. Tropienia, polowania, obozowania. Wreszcie... także zabijania. Tak, Dardanie. Musiałam zabijać, żeby przeżyć. Po raz pierwszy była to obrona przed jakimś zwyrodniałym bandytą, który chciał się do mnie dobrać, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Potem zaś... No cóż. Obrałam ścieżkę, którą podążam do dziś. Zdecydowałam, że jeśli mogę jakoś przysłużyć się ludziom, którzy tak jak ja ucierpieli z rąk grasujących po pograniczu bandytów, zrobię to. Zaczęłam polować. Na pojedynczych grasantów, na ich grupy, wreszcie na samych hersztów. Robiąc to, uczyłam się. Z każdą kolejną wyprawą, z każdym nożem wbitym w szyję jakiegoś śmierdzącego zbira stawałam się w tym coraz lepsza. Nabrałam przekonania, że naprawdę mogę coś zmienić. Że być może jeden martwy grasant więcej to kilkoro dzieci, które nie tracą swoich rodziców.

Znów przerwała. Łapczywie napiła się miodu i wyciągnęła ręce do ogniska, by się ogrzać. Mróz zaczął doskwierać coraz bardziej. Dardan nie poganiał kobiety. Siedział, sprawiając wrażenie spokojnego, choć w głębi targały nim emocje. Opowieść Kai szokowała go, ale im dłużej jej słuchał, tym bardziej czuł, że jej wierzy. Poczuł z nią silniejszą więź. Czy nie to samo było jego celem, gdy jeździł z oddziałem na południe, gdy jeszcze służył królowi? Gorąco pragnął w to wierzyć, mimo iż miał świadomość, że prawda była inna, a większość jego rajdów była powodowana raczej potrzebą adrenaliny, chęcią przeżycia przygody.

– Walczyłam samotnie przez długie lata – kontynuowała po chwili Kaja. – Czasem odpoczywałam we wsiach, czasem przesiadywałam w obozach na dzikim stepie, zbierając siły na kolejne cele. Grasantów nigdy nie brakowało. Podczas jednej z moich wypraw poznałam ciebie.

Dardan uniósł brwi ze zdziwienia.

– Tak, Dardanie, widziałam cię rok temu. Najechałeś i rozbiłeś bandę Rozgrzanej Pięści. Uprzedziłeś mnie wtedy.

– Byłaś tam? – De Brandt błyskawicznie przypomniał sobie ostatni rajd, który odbył tuż przed tragicznymi wydarzeniami w Vorenau. – Gdzie?

– W ukryciu. Miałam zamiar zabić go w nocy. Po cichu. Wtedy jednak przyjechaliście wy i urządziliście rzeź jemu i jego grupie. Byłam pod wrażeniem. Nie zostawiliście nikogo przy życiu. Widywałam już takie obrazki. Zwady pomiędzy bandami to rzecz naturalna. Jednak wy byliście inni. Przyjechaliście, zabiliście i odjechaliście. Żadnych łupów. Żadnego pastwienia się nad jeńcami. Żadnego zbędnego okrucieństwa. To wyglądało jak dobrze przygotowana operacja.

Dardan podrapał się po głowie i odparł nieco zmieszany.

– Jak teraz o tym myślę, to chyba po prostu mieliśmy szczęście...

– Szczęście czy nie... Byliście skuteczni. Zaimponowało mi to. Pomyślałam wtedy, że jest więcej takich jak ja, którzy walczą z okrucieństwem i brutalnością band na pograniczu, dając nadzieję zwykłym ludziom. Przyszła mi wtedy do głowy myśl, żeby do was dołączyć. W owym czasie nie byłam jednak na to gotowa.

Odjechaliście, a ja wróciłam do swoich zdań, tropiąc kolejnych bandytów. Resztę historii już znasz. Znaleźliście mnie, gdy powinęła mi się noga, Szary Lis mnie zaskoczył i pokonał. A ty, Dardanie, pomogłeś mi dokonać zemsty.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu?

Wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

– Nie byłam pewna. Chciałam wierzyć, że nie jesteście kolejną bandą, która walczy o wpływy. Ale wasze działania tutaj, w Więzownicy, pozwalają mi uwierzyć, że właściwie oceniłam was... ciebie za pierwszym razem.

– Miło mi to słyszeć – odparł Dardan i westchnął – ale muszę cię zmartwić.

Tym razem to ona podniosła głowę, zdradzając zdziwienie.

– Żaden ze mnie bojownik o lepszy świat. Jestem byłym żołnierzem, byłym szlachcicem, którego pozbawiono majątku i czci. Przyjechałem tutaj, bo znam pogranicze, znam step. Umiem jeździć konno i wymachiwać ostrzem. Nic więcej. Przykro mi, jeśli zobaczyłaś we mnie bohatera, którym nie jestem.

Milczeli dłuższy czas. Kaja nie podejmowała już rozmowy. Zanim zaczęło zmierzchać, Dardan postanowił, że czas wracać do wioski. Zebrali się i ruszyli w stronę Więzownicy. W połowie drogi de Brandt zdecydował się przerwać milczenie.

– Gdy śniegi ustąpią, wyruszymy w dalszą drogę. Jeśli chcesz, możesz jechać z nami. Ale nie obiecuj sobie krucjaty przeciwko złu. Będziemy walczyć, ale o własne przetrwanie. Jedź z nami albo nie. Twoja wola.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Dardan był pewien, że dostrzegł zawód w wyrazie jej twarzy. W głębi serca był na siebie zły. Czuł, że powinien zareagować inaczej i dać dziewczynie nadzieję. Nie potrafił jednak wydusić z siebie już ani słowa.

\*\*\*

Śniegi z wolna topniały i świat budził się do życia z zimowego snu. Jak co roku o tej porze rozkwitała roślinność, podnosiła się zmarznięta trawa, a zamarznęte

strumyki ponownie rozpoczynały niekończącą się wodną wędrówkę. Tegoroczna wiosna była jednak inna niż wszystkie. Mieszkańcy Wiązownicy przetrwali zimę w dużo lepszym stanie niż kiedykolwiek. Ani przez chwilę nie zabrakło im jedzenia, ciepłych ubrań, rąk do pracy ani też nie byli przez nikogo atakowani. Obecność oddziału Dardana wyszła wszystkim na dobre i pod koniec mrozów wszyscy czuli się zżyci i zintegrowani. Społeczność wytworzyła z żołnierzami specyficzną więź, której podwaliną były wspólne korzyści i współpraca. Gdy jednak zaczęło robić się cieplej, dawało się wyczuć pewne napięcie spowodowane nieuchronną perspektywą wyjazdu żołnierzy z osady.

Podczas jednego z cieplejszych poranków Dardan wyszedł na plac i korzystając z pogody, umył się wodą zgromadzoną w baniach.

– Roztopy. – Głos Jarmosa zastał dowódcę wylewającego sobie wodę na głowę. Towarzysz podał mu wełnianą tkaninę do wytarcia. – Niedługo trakty będą przejezdne.

De Brandt ubierał się powoli i w milczeniu. Wiedział doskonale co za chwilę usłyszy.

– Musimy coś postanowić – powiedział Jarmos, podkreślając węża.

– Wiem. – Dardan machnął ręką. – Wiem przecież, że musimy...

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, gdy nagle na jego twarzy zagościło skupienie. Wyteżył wzrok. Dardan także spojrzał w tym kierunku. Na horyzoncie, jakieś kilkaset metrów od wsi, zauważyli samotnego jeźdźca.

– Zawołaj Kahadena. I Kaję.

– Ją? – zdziwił się Jarmos.

– Tak. Wykonać. – Dardan był stanowczy.

Narzuciwszy na siebie kurtkę, ruszył w kierunku rogatek osady, by wyjść naprzeciw samotnemu jeźdźcowi. Nie miał przy sobie broni.

Im bliżej wsi znajdował się koń, tym wyraźniej było widać, że siedzący na nim jeździec ledwo trzyma się w siodle. Gdy tylko zwierzę zbliżyło się do zabudowań, Dardan schwytał je za uzdę i uspokoił. Kahaden i Jarmos przybyli z pomocą i zdjęli

półprzytomnego mężczyznę. Dosiadający konia człowiek miał strzałę wbitą w pierś i koszulę całą we krwi.

Położyli go na plecach. Kaja doskoczyła doń i natychmiast wyciągnęła strzałę, błyskawicznie przykładając szmatę do rany.

– Medyka! Prędko! – krzyknęła.

Kahaden pobiegł po wioskowego znachora. Mężczyzna pluł krwią i widać było, że uchodzi z niego życie.

– Kto cię postrzelił? – zapytał Dardan, kucając przy rannym.

– Nadchodzą... Zabiją wszystkich... Uciekajcie – wybełkotał ostatkiem sił i wyzionął ducha.

## ROZDZIAŁ 4

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – powiedziała Kaja, obracając w rękach strzałę.

Pocisk miał specyficzne zdobienia na drzewcu i charakterystycznie zakrzywiony grot, skonstruowany wyraźnie w taki sposób, aby zadawał jak największe obrażenia temu, w czyje ciało się wbije.

– Ani ja – dodał Jarmos. – W królewskim wojsku nikt nie używa takich strzał. Nie słyszałem też o podobnych w wojskach sąsiednich krain.

Dardan z zaciekawieniem przyglądał się strzale.

– W takim razie to nie grasanci. Nie ma na całym pograniczu bandy, która wytwarzałyby takie strzały.

– To się kupy nie trzyma – stwierdził Kahaden. – Komu na południowych stepach chciałoby się włożyć tyle trudu w wykonanie tak precyzyjnego pocisku, tylko po to, by zabić jakiegoś wieśniaka?

– Dobre pytanie. – Dardan się zasepił. – Ten biedny chłop nie wyglądał ani na grasanta, ani na żołnierza. Ot, zwykły pacholek, może z pobliskiej smolarni.

– Uciekał przed czymś – skonstatował Jarmos. – Chyba nie był sam. Mówił, że wszystkich zabiją. Musi ich być więcej.

– Ludzie na pograniczu przyzwyczajeni są do łupieżczych najazdów – zauważyła Kaja. – Ten miał w oczach strach, jakiego jeszcze nie widziałam.

– Dość gadania – przerwał de Brandt. – Kahaden i Kaja, szykować konie. Jarmos zostanie we wsi z oddziałem.

– Ale... – zaprotestował podkomendny.

– Zostaniesz bronić wsi. Nasza trójka pojedzie na wschód, skąd przyjechał jeździec. Może uda nam się czegoś dowiedzieć.

Dardan szybko przekazał wieści starszemu wsi. Chłop wyglądał na zmartwionego, ale ucieszył się, że oddział zostaje, by w razie czego obronić mieszkańców przed nieznanym zagrożeniem. Niedługo potem troje konnych wyjechało z osady w stronę wzbijającego się ku górze słońca.

Zdolności tropienia Kai były niepodważalne, ale nawet bez nich grupa bez problemu była w stanie podążać śladem zabitego konnego. Jechał traktem, na którym wciąż leżały resztki śniegu, dodatkowo drogę znaczyły krople krwi i końskie podkowy odbite w błocie. W południe dotarli do niewielkiego lasu, w którym znajdowały się chaty smolarzy. To, co tam zastali, zaskoczyło ich ponad miarę.

Okolice była bowiem miejscem kaźni. Wszędzie wokół leżały bestialsko rozszarpane ciała. Ziemia spływała krwią.

Kahaden nagle zatrzymał konia, który zarżał niespokojnie i stanął dęba. Na widok przywiązanych do drzewa dzieci z poderżniętymi gardłami zakrył twarz rękawem, powstrzymując wymioty.

Dardan z przerażeniem patrzył na kobiety z wyprutymi flakami i pourywanymi kończynami przybitymi do ścian chaty smolarzy. Wszędzie dookoła leżały ciała splugawione w niespotykany dotąd mężczyźni sposób.

– Kto mógł coś takiego zrobić? – spytała Kaja.

Dardan spostrzegł, że dziewczyna także jest w szoku.

– Znasz jakąś bandę grasantów, która tak działa?

Zaprzeczyła.

– Bywają okrutni. Gwałcą, palą. Ale to... Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Kahaden wreszcie zsiadł z konia i zwymiotował pod najbliższym drzewem.

– Mężczyźni, kobiety, dzieci... – zauważył de Brandt. – Wszyscy potraktowani w ten sam sposób. Nikogo nie wzięto do niewoli.

– Wydaje się też, że nic nie zginęło. – Kaja wskazała na stojące nieopodal beczki ze smołą. – Mogliby to wymienić na spore zapasy...

– Wychodzi na to, że po prostu tu przyszli i zabili tych wszystkich ludzi.

– Zemsta? – Kaja spojrzała pytająco na dowódcę.

De Brandt wzruszył ramionami.

– Na smolarzach? Nawet jeśli któryś zawinił jakiemuś watażce, to jaki byłby sens w tak bestialskiej rzezi?

– Rozejrzę się dookoła. Może znajdę jakiś trop.

Dardan kiwnął głową. Sam zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa. Zwierzę było niespokojne i cały czas parskalo, przebierając nogami. Dowódca udał się do chaty.

Skrzywił się, przechodząc obok przybitych do ścian chałupy ludzkich ciał. Wewnątrz zastał dokładnie to, czego się spodziewał, czyli kolejne ciała. Jego uwagę przykuło siedzące w kącie truchło kobiety, która przed śmiercią musiała ścisnąć w ramionach dziecko. Małe ciało było przepołowione i leżało u jej stóp.

Mężczyźnie trudno było na to patrzeć. Brał udział w rozmaitych walkach. Widział śmierć, sam zresztą wielokrotnie zadawał ją w polu. Takiej brutalności jednak nie był świadkiem nigdy wcześniej.

Nagle Dardan usłyszał stłumiony odgłos, coś jakby szmer. Zamarł i wyteżył słuch. Jego dłoń odruchowo powędrowała na rękojeść miecza. Podążając za hałasem, de Brandt skierował się do pomieszczeń w głębi chaty. Zdawało mu się, że odgłosy dochodzą spod podłogi. Przykucnął i rozejrzał się uważnie, macając dłońmi drewniane podłogę. Zgodnie z przypuszczeniem odnalazł żelazny zawias i pociągnął.

Przywitał go krzyk. Dardan wytrzeszczył oczy ze zdumienia. W maleńkiej piwnicy siedziała kobieta z dwójką dzieci. Byli przerażeni, trzęśli się ze strachu. Matka tuliła dwie małe główki do piersi, jakby chcąc uchronić je przed mężczyzną.

– Wszystko w porządku – powiedział Dardan, siląc się na spokojny ton. – Nic wam już nie grozi. Możecie wyjść.



Siedzący pod nim nadal dygotali i ani myśleli wychodzić.

– Niech to szlag! – mruknął pod nosem, po czym wstał i cofnął się do wyjścia. – Kaja! – zawołał. Po chwili dziewczyna wbiegła do chaty. – Potrzebuję twojej pomocy. – Wskazał ręką sąsiednie pomieszczenie i otwarty włącz.

Po długich namowach wojownicze udało się przekonać kobietę do wyjścia z ukrycia. Dardan czekał już na zewnątrz z Kahadenem.

Kobieta niechętnie dała się wciągnąć na konia, na którym siedziała Kaja. Dwaj mężczyźni wzięli do siebie po jednym dziecku i powoli, żeby nie straszyć biedaków, ruszyli w stronę wsi. Zasłaniali młodzieńcom oczy, żeby ci nie rozglądali się zanadto.

Opuściwszy miejsce kaźni, zwolnili, pozwalając przeciążonym koniom odpocząć od szybszego biegu. Dardan podjechał bliżej Kai.

– Co tam się stało? – spytał roztrzęsionej kobiety, która powoli zaczynała rozumieć, że ze strony tej trójki nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

– Nie wiem, panie. My nic niewinni. Przyszli znikąd. Cała chmara. Ogoleni na łyso, czarni na twarzy i na rękach. Zaczęli mordować. My z dziećmi schowały się w piwnicy. Inni nie zdążyli. – Skończywszy wypowiedź, wieśniaczka wpadła w histerię i zaczęła szlochać.

Kaja, próbując ją uspokoić, posłała Dardanowi wymowne spojrzenie.

\*\*\*

Mieszkańcy Wiązownicy chętnie zaopiekowali się przywiezioną przez Dardana kobietą i jej dziećmi. Poszkodowani mogli wreszcie odpocząć i zaznać trochę spokoju, jednak w całej wsi nastroje były napięte. Chłopi żywo dyskutowali o tym, kto i dlaczego mógł napaść na smolarzy i wymordować ich w wyjątkowo brutalny sposób.

Nazajutrz de Brandt wraz ze swoimi najbliższymi podkomendnymi oraz Kają spotkali się ze starszym wioski.

– Panie Dardanie, co się stało tym ludziom? U nas już chłopcy mówią, że jakie siły piekielne na pogranicze weszły. Potwory zgoła!

– Co ty opowiadasz, Maradd – powiedział uspokajającym tonem de Brandt. – Jakie znowu potwory? Ot, grasanty, tylko jakieś takie bardziej pomysłowe. Przebierają się, robią wymyślne strzały... Ale to nadal bandyci.

– Wyjątkowo okrutni bandyci – dodał Kahaden. – Widziałeś przecież to, co ja. Który herszt robiłby coś takiego?

– Ludzka brutalność nie zna granic – odezwał się filozoficznie Jarmos. – Mógł wreszcie pojawić się taki, któremu nie wystarcza plądrowanie wiosek i bałamucenie kobiet.

Kaja spojrzała na niego gniewnie. Maradd nie wyglądał jednak na przekonanego.

– A jak przyjdą i nas wymordować? Wy pewno zaraz wyjedziecie. Jak się oprzemy takim gwałtownikom?

Dardan milczał przez chwilę, rozważając, jakiej odpowiedzi powinien udzielić chłopu.

– Nie musicie się obawiać – rzekł wreszcie. – Wiele dla nas zrobiliście i jesteśmy wam winni ochronę.

Maradd uspokoił się nieco.

– Dziękuję, panie Dardanie. Jak sobie myślę o tym, coście mówili o tej rzezi w lesie... to aż mi w gardle staje.

De Brandt poklepał go po ramieniu, po czym chwycił ze stołu nadgryzioną bułkę i pożegnał chłopca gestem dłoni. Wyszli na zewnątrz.

– Ta banda może tu nigdy nie wrócić – zauważył Jarmos.

– To prawda – zgodził się dowódca.

– Chyba tak tego nie zostawisz? – zapytał podekscytowany Kahaden. – Widziałeś truchła w lesie. Musimy ich dopaść!

Dowódca położył mu rękę na ramieniu i spojrzał w oczy.

– Całego świata nie zbawimy. – Odwrócił się w stronę Kai i Jarmosa. – Ale Więzownica będzie bezpieczna. Dowiemy się, co to za ludzie i jakie mają plany. Jutro rano wezmę pół oddziału i ruszę ich tropem.

– Pojadę z tobą – zgłosiła się ochoczo Kaja.

\*\*\*

Kolejnego dnia Dardan i Kaja wraz z dziesięcioma jeźdźcami ruszyli tropem tajemniczych bandytów. Tym razem odnalezienie go nie przyszło kobiecie łatwo. Okazało się, że ktokolwiek dokonał masakry w chacie smolarzy, opuścił ją po cichu i zacierając ślady. Fakt ten zmartwił de Brandta, ponieważ wiele wskazywało na to, że mają do czynienia z niezwykle groźnym przeciwnikiem. Niemniej udało się odnaleźć pewne wskazówki, które skierowały oddział na północ.

Niedługo po tym jak wyjechali na otwarty step, na horyzoncie dostrzegli poruszającą się grupę ludzi. Byli daleko, jednak już z tego miejsca można było stwierdzić, że byli tam zarówno konni, jak i piesi. Łącznie jakieś kilkanaście osób.

– Szyk zwarty! Broń w gotowości – rozkazał Dardan.

Konie złączyły się i oddział dziarskim kłusem ruszył w stronę zauważonej grupy. Teren w tym miejscu sprzyjał konnicy, podłoże było równe i trawiaste. Skróciwszy dystans, zauważyli, że byli to głównie zwykli, nieuzbrojeni ludzie. Wśród nich było także czterech jeźdźców noszących jednolite, lekkie zbroje w dobrze znanych Dardanowi barwach. Srebrne lilie na czerwonym tle zdobiły ich napierśniki. Żołnierze króla Ruddabarda.

– Otoczyć ich! – wydał rozkaz.

Dwunastu konnych sprawnie zmieniło szyk, oddalając się od siebie. Po krótkiej chwili otoczyli grupę w luźnych odstępach, z wolna zacieśniając krąg. Nie zbliżali się jednak na odległość umożliwiającą bezpośrednie starcie. Nie wyciągnęli także mieczy, choć mieli je w pogotowiu.

Wśród chłopów, między którymi znajdowały się również kobiety i dzieci, zapanował chaos. Bardziej bezbronni zaczęli drżeć ze strachu i płakać, mężczyźni

w popłochu szukali zaś czegoś, co mogło posłużyć za zaimprovizowaną broń. Przytomnie zareagowali żołnierze królewscy, którzy nie dobyli broni i próbowali uspokoić cywili. Jeden z nich, najpewniej dowódca, wystąpił przed zbitą grupę przestraszonych ludzi i zwrócił się w stronę oddziału.

– Kto wy? Czego chcecie?

Dardan wyłamał się z ruchomego okręgu konnych i podjechał bliżej żołnierza.

– Jestem Dardan de Brandt. Wygnaniec. Niegdyś w służbie twojego króla Ruddabarda IV. – Chociaż mężczyzna przeklinał w duchu wszystko, co miało związek z osobą władcy Vorenau, wypowiedział te słowa z dumą, świadomy, że nie należy wypierać się swojej przeszłości i dziedzictwa.

Reakcja żołnierza go zaskoczyła. Zrobił wprawdzie wielkie oczy ze zdziwienia, ale wyraz jego twarzy nie zdradzał wrogości.

– Na Moc Stworzenia! – odpowiedział wojak. – To wy nie grasanci?

– Już powiedziałem. Jestem dziedzicem rodu de Brandtów. Twój pan może uważać mnie, za kogo chce, ale żadnym bandytą nie jestem!

Dardanowi nie umknął wzrok Kai, która spojrzała na niego z oddali i uśmiechnęła się pod nosem. Mężczyźnie przemknęła przez głowę myśl, że być może właśnie zaimponował jej bardziej, niż miał to w zamiarze.

– Mówcie prędko – powiedział władczo. – Kim jesteście i co tu robicie?

– Jestem Tymon Hłaz. Dziesiątnik straży pogranicza.

– Dziesiątnik? – De Brandt zmrużył oczy. – Gdzie więc twój oddział?

– Wybity, panie. Jak i cała stаницa. Wszyscy nie żyją poza tymi tutaj. – Jeździec wskazał ręką kulących się ze strachu wieśniaków.

– Przez kogo wybity? Kto ośmieliłby się zaatakować stanicę? – zdziwił się Dardan.

W dawnym życiu nierzadko bywał w stanicach, stanowiących nieliczne, choć dobrze uzbrojone fortece na granicy królestwa. Nie były to wprawdzie potężne zamki równe tym, które budowano w głębi państwa, ale dobrze bronione garnizony,

na które grasanci nigdy się nie zapuszczali. Panował tam zawsze względny spokój. Głównie z tego powodu zresztą Dardan raczej je omijał.

– Południowcy. Całe hordy. Łysi, w tatuażach. Twarze czarne od farby. Widywałem takich czasem na targu w stolicy, ale nigdy w takiej liczbie. Hordy ich były. Wzięli stanicę szturmem, zaczęli mordować, jak leci. Cudem udało nam się uciec...

Spojrzenia Dardana i Kai się spotkały. Rozumieli się bez słów. De Brandt nakazał swojemu oddziałowi zluzowanie bojowego szyku. Jeźdźcy przestali formować koło i oddalili się nieco od stojących pośrodku uciekinierów.

– Dokąd zmierzacie? – spytał dowódca.

– Gdziekolwiek, panie. Byle dalej od tych potworów.

– Pojedziecie z nami. Stoimy we wsi Wiązownica. Tam jest bezpiecznie.

– Wiązownica? – spytał z zaciekawieniem Tymon Hłaz. – Znam tę wieś. Często ją bandy łupiły.

– Wiele się zmieniło. – Dardan uśmiechnął się pod nosem. – Teraz osada jest pod moją opieką. Dostaniecie jedzenie i dach nad głową. Potem się zobaczy.

Żołnierze dali się przekonać. Zresztą widać było, że nie mają wyjścia. Wraz z uchodźcami ze stancy podążyli więc za oddziałem de Brandta na południe.

\*\*\*

Oczy starszego wioski Maradda niemal wyskoczyły z orbit, gdy zobaczył kolejną grupę ludzi zmierzającą do jego osady. Osady, która od początku zimy pękała w szwach i której liczebność zwiększyła się już niemal dwukrotnie. Mieszkańców Wiązownicy czekały najwyraźniej kolejne wyzwania.

– Musimy im pomóc – powiedział Dardan, zsiadając z konia. – Nakarm ich, daj miodu.

– Panie Dardanie, nie mamy już miejsca dla tylu ludzi! – wyjęczał Maradd.

– Dla nas też nie mieliście – odparł zgryźliwie de Brandt, ale zreflektował się szybko i zmienił ton głosu na znacznie bardziej przyjazny. – Maradd, proszę. Coś

niedobrego się tu dzieje. Ci ludzie uciekli przed tymi samymi bandytami, którzy napadli na smolarzy.

Chłop pokiwał głową ze zrozumieniem. Początkowo niezbyt chętnie, w końcu jednak zaprosił uchodźców do karczmy.

\*\*\*

– Panie dziesiątniku – powiedział Dardan, gdy mężczyzna skończył posiłek i wypił cały kubał miodu, który przyniosła mu żona Maradda. Wraz z Kahadenem, Jarmosem i Kają siedzieli w domu starszego wioski i czekali, aż królewski żołnierz nasyci się i odpocznie. – Chyba najwyższy czas wyjaśnić sobie kilka spraw.

Wojak pokiwał głową, ocierając rękawem resztki jedzenia i krople miodu spływające mu po brodzie.

– Zgoda, panie de Brandt. Musimy pogadać.

– Opowiedz zatem wszystko, co wydarzyło się w stancy.

Tymon Hłaz poprosił o dolewkę miodu. Żona Maradda niechętnie postawiła przed nim pełny dzban, z którego dziesiątnik nalał sobie łapczywie, rozlewając przy tym nieco trunku. Wszyscy patrzyli z zażenowaniem, jak żołnierz ociąga się, nim zacznie mówić.

– Dalej, panie dziesiątniku. Nie każ nam się denerwować – ponaglił go Jarmos.

– Jużci! Nie myślcie sobie, że się uchylam od odpowiedzi, jeno... ta podróż... wysuszyła mi gardło.

– Mów wreszcie! – Dardan uderzył pięścią w stół i Tymon niemal podskoczył na krześle.

– Tak, tak! Już mówię. No... Siedzieliśmy sobie w stancy, jak zawsze. Nic takiego się nie działo. Piliśmy, jedliśmy, ktoś śpiewał, ktoś chędożył. Ot, zwykłe popołudnie na pograniczu.

Dardan skrzywił się i spojrzał na strażnika z niesmakiem. Przypomniał sobie natychmiast, dlaczego gardził takimi jak on i nie omieszkał podzielić się swoją opinią z resztą.

– Siedzicie i pijecie... a po stepie grasuje hałastra, która gwałci i rabuje. Pali wieś. A wam do głowy nawet nie przyszło, by zwiadowców wysłać, żeby przepatrzyli okolicę?

– Panie de Brandt! – zachnął się Tymon, wyraźnie oburzony słowami Dardana. – Co pan! Obowiązki swoje zawsze spełniamy należycie. Zwykle przecież nic się nie dzieje na pograniczu.

– Nic się nie dzieje? Nic się nie dzieje, kurwa?! Patrzcie go! – Kaja nie wytrzymała i podniosła się ze stołka.

Kahaden i Jarmos musieli siłą usadzić ją z powrotem, bo gotowa była rzucić się Tymonowi do gardła.

– Bandy grasują, jak chcą – kontynuowała kobieta, gdy już się odrobinę uspokoiła. – Każda wieś w strachu żyje. Każdy chłop boi się co lato, czy jego żona i córki dożyją jesieni, czy będzie miał co do gara włożyć, gdy zima przyjdzie. Watażkowie pławią się w luksusach i napełniają brzuszyska kosztem uczciwych ludzi, a wy w stancy tylko siedzicie. Pogranicze ich, tych hersztów właśnie, nie wasze. Nie waszego króla. – Wstała od stołu, splunęła nań, tuż przed opróżnioną przez Tymona miską, i wyszła.

Nikt nie próbował jej powstrzymać.

– Nerwowa ta wasza wojowniczką, oj nerwowa. – Tymon pokręcił głową, choć widać było, że jest trochę speszony.

– Prawdę mówi. – Dardan wyprostował się i skrzyżował ręce na piersi. – Gówna warta jest wasza straż. Ruddabard nie ma żadnej władzy nad pograniczem, a wy palcem nie kiwnęliście, żeby zwykłym ludziom choć trochę żywot ułatwić.

– A do tego jeszcze pozwalacie, żeby jakieś szaleńcze watahy mordowały wszystkich, jak leci – dodał Jarmos.

– Dość już, panowie – rzekł Tymon, uśmiechając się lekko, i zwrócił się do Dardana. – Sam pan dobrze wiesz, panie de Brandt, jak to jest. Nas tu garstka. Król uzupełnień nie przysyła. Jakże mamy porządek utrzymywać w trzy dziesiątki?

Stanic jest ledwie kilka wzdłuż całej granicy. Razem straży może pół tysiąca ludzi. Co nam czynić na tak wielkim terenie?

– A choćby tyle, żeby w porę wieśniaków ostrzec przed zagrożeniem – zauważył Kahaden. – A wyście nawet samych siebie ostrzec nie potrafili.

Tymon spuścił głowę. Nie odpowiedział na ten zarzut i w milczeniu wpatrywał się w stół.

– Wystarczy – odezwał się w końcu Dardan. – Wszyscy wiemy, jak się sprawy mają od lat. Jedynymi, którzy grasantów po stepie ścigali, byliśmy my.

– A to prawda – odparł cicho Tymon. – Co myślicie, panie Dardanie, że my nie wiemy, jak było? Wasz oddział znany był tutaj, na pograniczu. Wszyscy wiedzieli, że jak de Brandt na step wyrusza, wróci z głową jakiegoś watażki. Że będzie choć trochę bezpieczniej.

Dardan nie podjął tematu. Nie miał najmniejszej ochoty wracać pamięcią do czasów, gdy służył Ruddabardowi. Nie miał także zamiaru wdawać się w dyskusję z królewskim dziesiętnikiem na temat tego, dlaczego od roku jego oddział nie pełni służby pod królewskim sztandarem.

– Mówże w końcu, co się wydarzyło.

Tymon Hłaz upił kolejny łyk miodu, tym razem jednak nie tak łapczywie, po czym zaczął mówić.

– Jak rzekłem: byliśmy w stancy. Zwiad był, owszem, ale nie zdążył nas przed niczym ostrzec. Najpewniej dopadli ich w drodze. Nagle wartownicy podnieśli raban. Atak! Atak! Krzyczeli złęknieni jak dzieci. Podniosła się wrzawa, cywile zaczęli panikować. Zebraliśmy się prędko, kto zdążył, założył napierśnik, kto nie, chwycił tylko za broń, co była pod ręką. Spadły na nas strzały. Kto stał na dziedzińcu, padł od razu. Strzały mieli jakieś dziwne, zdobione. Groty szerokie. Nigdy takich nie widziałem. Ledwie się zorientowaliśmy, co się dzieje, pociski poleciały znowu. Pruli tymi strzałami jak szaleńcy jacyś. Ale dobrze wyszkoleni. Pomyślałem wtedy od razu, że nie ma przecież takich bandytów w okolicy, co by umieli tak szybko posłać tyle strzał na garnizon wojskowy. Zaraz też okazało się,



że napastników było wielu. Setka, może dwie. Robiło się ciemno, trudno było to ocenić.

Dardan słuchał z coraz większym zdziwieniem. Tak dużej grupy już dawno nie widziano w tych okolicach.

– Zanim zwarliśmy szyk, ustawiliśmy tarcze, podeszli pod mury – kontynuował Hłaz. – Zaczęli rzucać pochodnie, ogień szybko zajął strzechy wewnątrz stancy. Ludzie panikowali, zaczęli uciekać, ale nie było dokąd. Podeszliśmy pod bramę, w którą walili już czymś ciężkim, jakby taranem. Taranem! Rozumiecie? Kto tutaj, na południu, miałby taran? Skąd? Walili, jak się okazało, w dwie bramy z trzech. Wtedy rotmistrz, co nami dowodził, kazał wziąć cywilów i uchodzić z twierdzy. Padło na mnie i tych moich żołnierzy, coście ich ze mną widzieli. Udało nam się wyprowadzić ludzi i ruszyć przed siebie. Uciekaliśmy, ile sił w nogach. Zdążyliśmy tylko zobaczyć, jak stanica płonie, jak wdzierają się przez bramę. Słyszeliśmy krzyki, szczęk stali. Potem tylko dym i pożogę. Wybili tam wszystkich do cna, to pewne. Nam się udało, szliśmy dwa dni, głodni, wycieńczeni, aż nas znaleźliście.

Zapadła cisza. Siedzący w izbie mężczyźni z niedowierzaniem słuchali opowieści dziesiętnika. Dwie setki wojowników, deszcz strzał, taran i zdobywanie zamków to historie, które może opowiadał dzieciom we wsi przejezdny wagabunda, ale z pewnością nie coś, co mogłoby wydarzyć się tutaj, na dzikim pograniczu.

Zamyślony Dardan pocierał powoli brodę.

– Kto to mógł być? Jakiś herszt zgromadziłby takie wojsko?

– Wiedzielibyśmy – przyznał Tymon. – Macie, panie, wiele racji w tym, żeśmy się tu na pograniczu zasiedzieli. Ze wstydem to przyznaję. Pozwalaliśmy watażkom na wiele. Jednak nie jest prawdą, że nie posyłaliśmy zwiadów, że nie mieliśmy od czasu do czasu ludzi w wioskach, co wypytywali, kto z kim i gdzie. Wszystko po to, by właśnie żaden silny grasant nie urósł nam pod nosem zanadto. Wiedzielibyśmy.

– Więc kto? – spytał Jarmos. – Vorenau od południa z nikim nie graniczy. Są dzikie pola, które ciągną się hen daleko. Wiele tygodni drogi na południe są co prawda jakieś dzikie plemiona, ale nie ma tam państwa ani armii zdolnej uderzyć na stanicę straży Ruddabarda. Zresztą po co?

Tymon wzruszył ramionami.

– Sam chciałbym wiedzieć. Jaki w tym cel? Jaki sens? Nie mieliśmy w garnizonie nic wartościowego. A nawet gdyby, wszystko od razu puścili z dymem. W ogóle... dziwni byli ci najeźdźcy. Łysi, ale pomazani na twarzach jakąś czarną farbą. Smołą może? Jednemu się tylko przyjrzałem. Powiem wam, że takiego człeka, tom w życiu swoim nie widział, no może poza tymi kupcami z dalekiego południa, ale oni nie byli tak straszni... Też łysi, w tatuażach, ale tacy jakby... normalni. A ten człek... W oczach miał ogień, jakby sam diabeł w niego wstąpił.

– Może to nie człek? – zapytał starszy Maradd.

Wszyscy zwrócili się ku niemu.

– Mów, panie starszy – zachęcił Dardan.

– Ano, u nas różne opowieści krążą, z dziada pradziada. Wy tam, na północy, pewno mielibyście to za bajki dla dzieciaków. Prawdę mówiąc, i ja zawsze jak bajek ich słuchałem. Ale teraz sam nie wiem...

– Powiedz nam, starcze. – Dotarł do nich głos Kai, która wróciła do izby i stała oparta o ścianę przy wejściu. Dardan posłał jej nieśmiały uśmiech. Był rad, że ochłonęła i wróciła do nich. – Chętnie posłucham tych bajek.

– Powiadali nasi dziadowie, a i przed nimi ich dziadowie, że daleko na południu zło się lęgnie. Zło czyste, zło piekielne. Stwory nie z tego świata siedzą tam i gniją od zarania dziejów. Ponoć są między nimi ludzie. Ludzie, którzy dawno temu uciekli z krajów północy i weszli z diabłami w komitywę. Porzucili naszą religię na rzecz zła, a ono przebiegle ich omamiło. Póki siedzą tam, jesteśmy bezpieczni tu, na północy. Ale przyjdzie czas, że zastępy piekielne ruszą na nas, ku

chwale swoich mrocznych panów. A wtedy zostawią po sobie tylko zgliszcza i krew.

Kahaden parsknął śmiechem, ale Dardan natychmiast zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Zmieszany chłopak zamilkł.

– Wiele takich opowieści słyszałeś, panie starszy?

– Ano kilka. Bzdury to były wierutne, jak dla mnie. Wiadomo przecież, że na południu tylko step nieprzebrany, że sucho tam, piach zamiast ziemi i nic nie rośnie. Przeto nikt tam nie mieszka, bo i po co? Ale trafiał się raz czy drugi dziad wędrowny, co dzieciakom przy ognisku opowiadał takie bajania. Dzieciaki słuchały, to i grzeczniejsze były na drugi dzień.

– I ja słyszałam podobne opowieści – stwierdziła Kaja zaskakująco poważnym tonem. – Raz czy dwa. Różniły się w szczegółach, ale sens był ten sam. Chodziło o to, że na południu są dzikie plemiona, które wierzą w coś innego niż my tu, na północy. Że wierzenia ich okrutne, nakazują im składać ofiary z ludzi.

Jarmos wziął głęboki oddech.

– A ja z kolei słyszałem, że w wielkim oceanie, na zachodzie, żyją potwory większe niż domy w stolicy. I że pożerają statki, jeśli te wypłyną za daleko. Na wschodzie zaś, hen w górach, mieszkają stwory skrzydlate, co zieją ogniem i palą śmiałków, którzy zapuszczają się nie tam, gdzie trzeba. A dalej na północ są lodowe...

– Wystarczy. Wiemy, do czego zmierzasz – przerwał mu Dardan. – Ludzie zawsze wymyślą niestworzone historie, żeby wytłumaczyć sobie to, czego nie znają i nie rozumieją.

Jarmos potwierdził, kiwając głową.

– Nie tylko to. – Przyjaciel de Brandta podkreślił wąsa. – Te opowieści rozprowadane były od lat w królestwie, głównie przez kapłanów, którym nie podobały się inne religie. Słyszałem o tym, że kiedyś w Vorenau byli ludzie, którzy nie wyznawali Mocy Stworzenia, ale... wierzyli w coś innego. Nie pamiętam dokładnie, co to było, ale pasuje mi do tego, o czym powiedzieli przed chwilą pan

starszy i Kaja. Zdaje się, że w tych opowieściach była też mowa o wygnaniu wyznawców starej religii z królestwa i nastaniu powszechnego panowania wiary w Moc Stworzenia. Ale ja dobry z historii nie jestem...

– Mnie zaś się wydaje – zaczął Tymon – że bajki bajkami, religia religią, ale po pograniczu grasuje nowa siła, która zostawia za sobą trupy, nie boi się napaść na królewską stanicę i zdaje się, że idzie na północ, ku Vorenau.

– To z pewnością – dodał Jarmos.

– Właśnie! Trzeba coś z tym zrobić – powiedział podniecony dziesiętnik. – Panie de Brandt, musimy wyjść im naprzeciw. Masz pan oddział, ja zbiorę strażników rozjechanych po stepie. Razem moglibyśmy...

– Panie dziesiętniku – przerwał mu stanowczo Dardan. – Niechże się pan nie zapędza ze swoimi planami.

Tymon spojrzał na niego pytająco.

– Jeśli nawet jest to jakaś zorganizowana armia... Choć słyszę najwyżej o dwustu głowach, to idzie na północ, na Vorenau. Ja zaś tam żadnych interesów nie mam.

– Jakże to? – zdziwił się dziesiętnik. – Czyż nie jesteś panie prawowitym dziedzicem rodu de Brandtów? Czy nie urodziłeś się w królestwie? Nie masz li tam rodziny?

– Urodziłem – odparł spokojnie Dardan, choć widać było, że wewnątrz gotuje się niczym wrzątek. – Ale rodziny nie mam, bo mi ją twój jaśnie oświecony pan, król Ruddabard IV, gwałtem odebrał. Mnie zaś wygnał tu, na step, mimo braku przewin. A to zaraz po tym jak mnie i moją rodzinę po bandycku oszukał!

Tymon powoli trawił zasłyszane informacje. Siedział ze spuszczoną głową i kurczowo ścisnął do połowy opróżniony dzbanek z trójniakiem. Zauważywszy, że żołnierz nie ma już argumentów, zaś Dardan zdaje się coraz bardziej zaciętrzewiony, Jarmos postanowił przerwać milczenie.

– Myślę, że powinniśmy posłać kogoś na północ.

De Brandt zmierzył go groźnym spojrzeniem.

– Nie bocz się, Dardan – uspokoił go przyjaciel. – Wszyscy znamy twoją historię, ale sprawa wydaje się poważna. Ktoś masowo morduje ludzi. Daleko mi do wiary w bajki o piekielnych zastępach, ale nie da się ukryć, że ci goście to łachudry, jakich ten kraj nie widział. Rozumiem też, że zobowiązaliśmy się bronić Wiązownicy i to nam trzeba uczynić, ale pošlijmy choć jednego człowieka, niech dowie się, z czym w ogóle mamy do czynienia i w miarę możliwości ostrzeże królewskie wojsko.

Dardan wyciągnął się na krzesło, składając ręce za głowę. Wszyscy czekali, aż zabierze głos.

– Niech będzie. Poślemy kogoś do Vorenau.

– Jestem gotów pojechać – stwierdził Jarmos.

Młody de Brandt długo patrzył mu w oczy. Wreszcie kiwnął głową.

– Dobrze. Jarmos pojedzie na północ. My też nie będziemy siedzieć po próżnicy. Roześlemy zwiadowców we wszystkie strony, niech ostrzegą nas przed ewentualnym niebezpieczeństwem.

– Dzięki ci, panie! – wyrwał się Maradd.

– To nie wszystko, panie starszy – ciągnął Dardan. – Jest nas dwudziestu z okładem, a chłopów we wsi drugie tyle. Jeśli mamy stawić czoło najeźdźcy, wszyscy muszą chwycić za broń.

– Chwycą! A jakże! Chwycą, panie Dardanie.

– Dobrze. Od jutra zajmiemy się szkoleniem i przygotujemy wieś do obrony. Gdyby tu miały przyjść te diabły z południa, łatwo nas nie wezmą.

Wciąż oparta o futrynę, skryta w cieniu Kaja spoglądała na Dardana z powagą. Na moment złapał jej spojrzenie i odczytał w nim dumę. Prędko odwrócił wzrok w obawie, że spąsowieje przy wszystkich.

## ROZDZIAŁ 5

Jarmos wyjechał następnego dnia o świcie. Wziął ze sobą dodatkowego konia i pełne zapasów juki. Żegnający go towarzysze z obawą patrzyli, jak jeździec oddala się od wsi w kierunku północnym.

– Nic mu nie będzie – powiedziała Kaja, próbując pocieszyć zatroskanego Dardana.

Zamyślony mężczyzna odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Wiem. To najlepszy żołnierz, jakiego znam.

Gdy Jarmos zniknął za horyzontem, de Brandt odbył rozmowę ze starszym wsi. Zaproponował, żeby rozpocząć rozbudowę, wznieść nowe chaty oraz zacząć przygotowywać wały obronne mające poprawić bezpieczeństwo osady. Starszy z początku zareagował z dystansem, jednak rozumiał potrzebę przygotowań. Czasy były wyjątkowo niespokojne i tajemnicze zagrożenie działało na wyobraźnię wszystkich.

Późnym rankiem Dardan i Kahaden zabrali ze sobą pięciu ludzi i udali się do lasu w celu wycięcia drzew mających posłużyć do wznoszenia umocnień oraz budowy nowych domów dla uchodźców. Pracowali w pocie czoła, ścinając kolejne drzewa i ładując je na wóz. De Brandt nie był tego dnia zbyt rozmowny i wszelkie próby rozluźnienia atmosfery podejmowane przez Kahadena zbywał zdawkowym burknięciem lub całkowitym milczeniem. Mimo to był rad, że przyjaciel próbuje poprawić mu humor.

Wydarzenia, których młody de Brandt był świadkiem w ostatnich dniach, przygnębiały go i odbierały ochotę do rozmów. Rzeź w chacie smolarzy, upadek stancy, informacje o armii najeżdżającej pogranicze – to już było wystarczająco

dużo kłopotów. Ponadto krótka wymiana zdań z Tymonem Hłazem sprawiła, że w Dardanie na nowo odżyły wspomnienia królewskiej zdrady i zamordowanego ojca.

Ciężka praca pozwoliła mu jednak wreszcie oczyścić umysł i pozbyć się ponurych myśli. Gdy zładowali ostatnie bale drewna na wóz, otarł twarz z potu i odetchnął. Mężczyźni zostali w lesie do wieczora, żeby odpocząć. Do wsi nie było daleko, więc pozwolili sobie na rozpalenie ogniska i opróżnienie zabranych ze sobą bukłaków z miodem pitnym. Zmęczony organizm chętnie przyjął wyśmienity trójniak, będący w Wiązownicy towarem powszechnym, z którego chłopci byli nad wyraz dumni.

– Co poczniemy, Dardanie? – zagał wreszcie Kahaden, któremu trunek zaczął uderzać do głowy.

– Wypijemy i powieziemy drewno do wioski, a co myślałeś?

– Dobre sobie... Ale doceniam humor! Tym bardziej mnie twój żart cieszy, że ostatnio bardzo chodzisz nerwowo.

– Wydaje ci się – zbył go Dardan.

– Ani trochę. Może i jestem młody, ale przecież nie ślepy. I rozumu, zdaje się, też trochę mam. Zmieniłeś się, panie de Brandt.

– Tak? I w czym, drogi Kahadenie, widzisz tę zmianę?

– Zaczęło ci zależeć – skonstatował młodzieniec, któremu język zaczynał się plątać.

– Zawsze mi zależało.

– Na przygodzie, na sławie, na swoich żołnierzach, owszem. Ale gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że weźmiesz pod opiekę całą wieś i będziesz jej bronić przed liczniejszym wrogiem, wyśmiałbym go. Moglibyśmy przecież odjechać, choćby na wschód. Step jest wielki, całego przecież nie dosięgną najeźdźcy.

– Źle czynię według ciebie?

– Ależ skąd! Przeciwnie. Jestem pod wrażeniem. Służyć pod kimś takim jak ty, to zaszczyt.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Ochronmy tych ludzi, bo zasługują na to. A jak już dowiemy się, co to za piekielne siły mącą nasz spokój, ruszymy na odsiecz Vorenau!

Dardan wybuchnął gromkim śmiechem, wypluwając resztki miodu, którego nie zdążył przełknąć.

– Toś wymyślił!

– Wspomnisz moje słowa!

– A jakże. Będę wspominał i śmiał się do rozpuku za każdym razem!

– Nie oszukuj się, Dardanie. – Kahaden silił się na poważny ton, choć jego oczy spowiła już alkoholowa mgła i zaczął seplenić. – Wystarczy, że ona cię poprosi...

– Co ty bredzisz?

– Widziałem, jak na nią patrzysz...

– Dość tego!

Dardan wstał i zawołał do reszty towarzyszy.

– Dopijać, co macie otwarte, i wracamy. Młodego na wóz, bo w siodle nie usiedzi.

– Usiedzę – wyseplenił Kahaden, po czym zerwał się na równe nogi. Gdy jednak spróbował zrobić krok, ciało odmówiło mu posłuszeństwa i zwałił się na trawę.

Wojownicy skwitowali to salwą śmiechu i szyderą. Prędko jednak pomogli towarzyszowi i zapakowali go na wóz wypełniony ściętymi drwami.

Na rogatkach Wiązownicy stanęli pod wieczór. Gdy Dardan zsiadł z konia, podbiegł do niego starszy Maradd, dysząc ciężko.

– Panie Dardanie, prędko!

– Co się stało?

– Prędko za mną! Przyjechali tu jacyś jeźdźcy. Watażkowie.

Istotnie, na majdanie stukotały kopyta koni, które wolno zataczały kręgi wokół studni. Przed nimi stali żołnierze z oddziału Dardana. Nie chwycili za broń, ale mieli ją w pogotowiu.



– Wy kto? – zawołał de Brandt, krocząc w stronę przybyszów.

– Wolny oddział! – odpowiedział jeden z jeźdźców. – Bić się z wami nie chcemy.

Dardan utkwiał wzrok w dosiadającym siwego bachmata. Był to krępy, brodaty człowiek o groźnej aparycji i pokaźnej sile. Budził szacunek. Wyraz jego twarzy nie zdradzał wrogich zamiarów, choć de Brandt wolał zachować ostrożność.

– Czego zatem chcecie? – zapytał spokojnie.

– Rozmawiać. Przybywamy z południa. Mamy wieści dla ciebie, Dardanie de Brandcie.

Dowódca wzniosł brwi w wyrazie zdziwienia. Nie rozpoznał tego człowieka, więc zastanowiło go, skąd ten może go znać. Mimo ostrożności ciekawość wzięła górę i Dardan postanowił rozmówić się z przyjezdnymi.

– Dobrze więc. Zsiądźcie z koni i złożcie broń. Porozmawiamy.

Ku zdumieniu de Brandta brodacz kiwnął głową swoim ludziom, ci zaś posłusznie zsiadli z wierzchowców i poczęli odpinać miecze od pasów. Po chwili złożyli ostrza na ziemi i czekali cierpliwie. Dardan przez chwilę jeszcze mierzył ich wzrokiem, po czym zaprosił do karczmy. Wraz z nowo przybyłymi do środka weszło także kilku wciąż uzbrojonych ludzi Dardana.

De Brandt odczekał chwilę, aż mężczyźni zwilżą gardła przyniesionym przez karczmarza trunkiem.

– Mówcie teraz. Coście za jedni? Skąd mnie znacie?

– Zwą mnie Ratto, a to mój wolny oddział, jak mówiłem – zaczął brodaty dowódca, wskazując na swoich towarzyszy. – Byliśmy grasantami, owszem. W innych czasach robiliśmy rzeczy, z których dumny nie jestem. Ale to już przeszłość.

Dardan patrzył na niego spod oka. Mężczyzna nie wzbudzał zaufania. Pozwolił mu jednak mówić.

– To, co widzieliśmy na południu, nie mieści się w ludzkim pojmowaniu. Mordy bezwzględne, palenie wsi, dzieci poprzybijane do drzwi i płotów.

Mężczyźni krzyżowani na słupach. Piekło na ziemi. Na Moc Stworzenia! Jak można takie rzeczy czynić?!

– Gdzieście to widzieli? – zapytał de Brandt.

– Wszędzie. Na południe od rzeki całe pogranicze stoi w ogniu. Chodzą od wsi do wsi. Gdziekolwiek znajdą życie, tam urządzają rzeź. Niczego nie grabią, nie zabierają, nawet kobiet nie gwałcą. Tylko czysty mord.

– Jak wyglądają? Ilu ich jest?

– Nie jest to zorganizowana armia, ale raczej większe grupy. Rosłe draby, każdy na łyso ogolony. Twarze czarne, pokryte farbą. Znaki na całym ciele. Nie noszą sztandarów, ale widziałem jakieś totemy, pasy skór zwierzęcych rozwieszane na drzewcach. Przeróżający widok.

– Uciekacie zatem na północ?

Ratto spuścił wzrok.

– Trudno bić się z takim przeciwnikiem, zwłaszcza kiedy ma przewagę. Ale usłyszeliśmy, że wraz ze swoimi ludźmi stoisz w Wiązownicy, Dardanie. Postanowiliśmy spotkać się z tobą.

De Brandt uniósł brwi.

– Wspomniałeś, że mnie znacie...

– A jakże! Wszyscy już na pograniczu o tobie słyszeli. Słynny Dardan de Brandt, pogromca grasantów, niegdyś zbrojne ramię samego króla. Twoja sława cię wyprzedza. Wiem, że w lepszych czasach pewnie stanęlibyśmy przeciw sobie i w boju się zwarli, ale teraz trzeba nam razem iść.

Młody dowódca wyprostował się i spojrzał na Kaję. Jej wzrok zdradzał, że nie ufa przyjezdnym, co zresztą Dardan doskonale rozumiał.

– Co proponujesz?

– Połączmy siły. Przystaniemy do was. Łatwiej będzie się obronić przed tłuszcą z południa. Widzimy przecież, co tu robicie. Budujecie umocnienia, szkolicie chłopów do walki, chcecie bronić wsi. Z nami będzie wam łatwiej.

– Czego oczekujecie w zamian?

– Na początek chcemy przeżyć – powiedział poważnie Ratto. – W lepszych czasach, jak ta zawierucha się skończy, rozejdziemy się każdy w swoją stronę, urazy za dawne przewiny do siebie nie żywiąc.

Dardan wstał i podszedł do okna. Przez brudną szybę spoglądał na ubłocony majdan. Widział wieśniaków krzątających się, budujących kolejne domy, oporzadzających konie i przygotowujących wały obronne. Widział dzieci biegające dookoła studni, oddane beztroskiej zabawie. Wziął głęboki wdech i wrócił do stołu.

– Muszę rozmówić się z przybocznymi oraz ze starszym wsi. Poczekajcie tu.

Ratto kiwnął głową i chwycił za dzban miodu. Dardan i Kaja wyszli na zewnątrz.

– Nie ufam im – powiedziała kobieta. – To grasanci. Tacy sami ludzie, jakich ścigałeś przez lata. Tacy sami jak ci, którzy zabili moją rodzinę.

Mężczyzna milczał, przygryzając wargę. W końcu chwycił Kają za ramię. Ta aż się wzdrygnęła i Dardan przysięgłby, że jej ciało przeszył dreszcz podniecenia. Spojrzał jej głęboko w oczy.

– A mi ufasz?

Z wolna pokiwała głową. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, potem stało się coś, czego chyba żadne z nich się nie spodziewało. Ich twarze zbliżyły się do siebie, zaś usta złączyły w nieśmiałym pocałunku.

Wtem usłyszeli tętent kopyt. Do wsi zbliżał się pojedynczy, galopujący jeździec. Dardan rozpoznał Kagera, jednego z posłańców rozesłanych do patrolowania okolicy. Wojownik dyszał ciężko i zatrzymawszy konia tuż przed dowódcą, zawołał podekscytowany.

– Idą na Truden! Cały oddział, prawie setka ludzi. Wieśniaków ostrzegłem, ale ani myślą uciekać. Chcą walczyć.

Dardan i Kaja spojrzeli na siebie i zdawało się, że rozumieją się ze słów. Wbiegli do karczmy.

– Panie Ratto, zbieraj swoich ludzi! – rzucił donośnym głosem de Brandt. – Macie okazję udowodnić szczerą intencję.

Brodacz zerwał się od stołu, wraz z nim jego ludzie. Stali, jakby czekając na rozkazy.

– Szykujcie konie. Ruszamy do Truden, na odsiecz wieśniakom.

\*\*\*

Zasilony przez grupę kilkunastu jeźdźców watażki Ratta oraz kilku najlepiej przygotowanych chłopów z Wiązownicy oddział Dardana liczył już blisko pięćdziesięciu ludzi. Jechał z nimi także dziesiętnik Tymon z garstką swoich. Po informacji usłyszanej od Kagera wojownicy nie czekali długo. Osiodławszy konie i zabrawszy broń, ruszyli na południe w stronę wsi Truden. De Brandt miał nadzieję, że uda im się dotrzeć do osady, zanim ta zostanie napadnięta przez najeźdźców, i być może przekona mieszkańców, aby wycofali się i podążyli wraz z nim do Wiązownicy, gdzie miał zamiar przygotować obronę. Z relacji Kagera wynikało jednak, że chłopci ani myślą zostawiać dobytki i będą bronić swoich domów przed napaścią.

Pędzili, nie oszczędzając koni, które po kilku godzinach zaczęły ciężko dyszeć. Oddział zmuszony był zwolnić tempa, ale Dardan nie zgodził się na postój. Wiązownicę i Truden dzielił dzień drogi, ale dowódca wiedział, że jeśli mają przybyć na czas, muszą się pospieszyć. Istniała szansa, że opór, który napotkają atakujący, zmusi ich do przegrupowania się i być może będą skłonni ominąć Wiązownicę, która leżała prosto na drodze na północ, ku królestwu. Decyzja de Brandta była spontaniczna, jednak wierzył, że przy odrobinie szczęścia może się opłacić.

Do jadących na przedzie Dardana, Kai oraz wysuniętego przed resztę na kilka metrów Ratta podjechał Kahaden. Chłopak, gdy wsiadał na koń, był jeszcze w kiepskim stanie, lecz dynamiczny galop i pęd wiatru pomogły mu błyskawicznie wytrzeźwieć.

– Wiesz, co robisz? – zapytał.

– Nie. Ale wiem, że musimy to zrobić.

Kahaden uśmiechnął się, co nie umknęło uwadze Dardana.

– Mówiłeś, że zaczęło mi zależeć. Może masz rację...

– Ci najeźdźcy... Diabły czy nie, potrafią się bić?

– Do tej pory raczej tylko mordowali. Choć z tego, co mówił Tymon, byli w stanie zdobyć stanicę. A to niełatwa sztuka.

Do rozmawiających niespodziewanie zbliżył się Ratto.

– Widziałem ich. Widziałem oczy, a w nich nieludzką rządę mordu. Nie są może regularną armią, ale do bitki na pewno mają zapał.

– Nie będzie z nimi łatwo – dodał Tymon. – Ale, co pewne, nie mają koni. Nie widziałem też u nich pik ani halabard. Mają krótkie włócznie, prymitywne miecze, czekany. W polu nie powinni stawić oporu kawalerii, nawet lekkiej, jak nasza.

Dardan pozwolił oddziałowi na krótki odpoczynek późną nocą. Wystawiwszy kilku mężczyzn na warcie, reszta spała przez godzinę, by zebrać nieco sił. Rozkulbaczono konie i pozwolono im popasać w spokoju. Odpoczynek nie mógł jednak trwać długo, gdyż do wsi było już niedaleko. Następnie jeźdźcy ruszyli w dalszą drogę, by o świcie stanąć na wzgórzu, u którego stóp leżała wieś Truden.

Ich oczom ukazał się przerażający widok. Czarna tłuszcza napastników właśnie wdzierała się do wioski i mordowała wszystkich, których spotkała na swojej drodze. Chłopi stawiali dzielny opór na tyle, na ile potrafili, jednak przewaga liczebna oraz przerażający wygląd i zachowanie przeciwników pozostawiały ich bez szans. Dardan wiedział, że nie może czekać ani chwili dłużej.

– Zobaczmy, ile są warci – powiedział do Kahadena i Kai, po czym wydał rozkaz do ataku.

Jeźdźcy dobyli mieczy i z ogłuszającym rykiem ruszyli w dół zbocza. De Brandt z zadowoleniem patrzył, jak nowi członkowie oddziału trzymają szyk wraz z jego wojownikami.

Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, szarża wbiła się pomiędzy atakujących, zmiatając część z nich niczym żdźbła trawy. Dzicy byli wyraźnie zaskoczeni, ale też nad wyraz szybko przegrupowali się i zebrali w grupę, by

stawić czoło kawalerii. Dardan wydał rozkaz przejechania przez resztę rozbieganej hałastry i oddalenia się od wsi. Kilkanaście metrów dalej zawrócił konia i poprowadził oddział po łuku z powrotem do ataku. Przed Truden czekał już na niego trzyrzędowy blok uzbrojonych żołnierzy, którzy porzucili mordowanie chłopów i skupili się na obronie.

De Brandt miał nadzieję, że da to wieśniakom czas na ucieczkę do pobliskiego lasu.

– Formować szyk! – zawołał i obserwował, jak towarzysze dołączają do niego, zwierając się w ciasnej linii, która pędziła wprost na złowieszczą czerń. Zbliżywszy się do najeźdźców z południa, Dardan dostrzegł wreszcie na własne oczy to, o czym mówiono mu już kilkakrotnie. Opisy się potwierdziły. Łyse, wytatuowane twarze, gęste brody, także przekłute uszy i czarne symbole na gołych piersiach mogły budzić przestach. Dardan nie miał jeszcze do czynienia z takimi barbarzyńcami i przez chwilę serce podeszło mu do gardła. Widział jednak, że uzbrojenie, które dzierżyli, nie stanowiło większego zagrożenia dla rozpędzonej jazdy. Krótkie czekany, prymitywne miecze i topory, brak tarcz. Byli to zdecydowanie zbójcy, mordercy, być może fanatycy, ale z pewnością nie żołnierze.

Podobne spostrzeżenia musieli mieć wojownicy jadący z Dardanem, gdyż zobaczywszy dzikusów z bliska, nie zlékli się, ale z większą zapalczywością ruszyli na nich. Wkrótce jazda starła się z piechotą. Szczęk stali zmieszał się z pękającymi drzewcami, dźwiękami rozplątywanej skóry i przeraźliwymi krzykami. Krew tryskała z wytatuowanych piersi, chrupały roztrzaskiwane czaszki.

Mimo wyraźnej przewagi liczebnej grupa barbarzyńców nie miała większych szans z kawalerią Dardana, toteż szyk udało się rozbić zaraz po pierwszym uderzeniu. Czarni rozbiegli się, próbując zrobić sobie więcej miejsca do manewru i starć z konnymi, którzy zdążyli już wytracić impet.

Na placu przed wsią rozgorzała zacięta walka. Piechurzy atakowali konnych w małych grupach, by zyskać przewagę. Wojownicy Dardana radzili sobie nieźle, ale wyraźnie tracili inicjatywę. Widząc to, de Brandt rozkazał wycofanie się w celu ponownego utworzenia szyku.

– Wszyscy za mną! – rozbrzmiał rozkaz, zaś jeźdźcy spięli konie i ruszyli za dowódcą, wznecając kurz wokół barbarzyńców.

Oddział oddalił się nieco i na nowo zaczął okrążyć piechotę. Dzicy, spostrzegłszy manewr, ponownie zgrupowali się w jednym miejscu i ruszyli na konnych, nie czekając, aż ci znów uformują jedną linię. Dardan był jednak szybszy. Wierzchowce okrążyły broniących się i zaatakowały z nową energią.

Powtarzali to posunięcie jeszcze kilka razy. Dardan z satysfakcją patrzył, jak po każdym takim manewrze piechurów ubywało. Stos ciał piętrzył się na placu. Przerażające było to, że najeźdźcy nie uciekali, nawet gdy widzieli już bezsens własnej obrony. Mężczyzna pomyślał, że przecież muszą zdawać sobie sprawę, że nie mają szans i lada chwila zostaną wybici w pień. Nie rezygnowali jednak i każdy kolejny walczący szykował się do ponownego starcia z kawalerią.

Wreszcie na polu bitwy pozostało jedynie kilku barbarzyńców. Rzucili się ostatnim tchem na konnicę, jednak Dardan postanowił wstrzymać swoich konnych.

– Otoczyć ich! Brać żywcem!

Problem polegał na tym, że południowcy nie mieli najmniejszej ochoty się poddawać. Nawet pozbawieni broni, z mieczem przytkniętym do skroni, próbowali robić uniki i atakować konie oraz siedzących na nich jeźdźców. Zmusiło to żołnierzy do siłowych rozwiązań. Inicjatywę przejęła Kaja, która, nie wiadomo skąd, skoczyła na jednego z piechurów z powrozem w rękę. Wprawnym ruchem zarzuciła mu pętlę na szyję i spięła konia, by ten przewiózł opornego wojownika po placu. Brodaty mężczyzna zemdłał. Poza nim udało się ująć jeszcze jednego, który raniony w nogę, nie był już w stanie podnieść się i skutecznie bronić. Dwóch żołnierzy Dardana zsiadło z koni i związało go ciasno liną w taki sposób, że ręce przylegały do ciała, zaś nogi były unieruchomione.

Dowódca rozejrzał się wokół. Poza dwoma schwytanymi barbarzyńcami na placu nie było już nikogo. Spomiędzy budynków wyskoczyli uzbrojeni w cepy, widły i kosy chłopcy. Było ich kilkudziesięciu. Bez wątplenia do obrony stanęła cała wieś. De Brandt zauważył, że za nimi stały kobiety i dzieci uzbrojone

w prymitywne łuki oraz proce. Najwyraźniej one również zamierzały wspomóc swych mężczyzn w obronie.

– Dziękujemy, panie. – Jeden z wieśniaków wyszedł przed szereg i skłonił się nisko przed młodym dowódcą. – Bez was nie dalibyśmy rady.

Dardan odwzajemnił ukłon.

– Rad jestem widzieć, że chcieliście bronić swojego dobytku, ale wiedźcie, że to nie koniec. Na pograniczu dzieje się coś złego. Rozbiliśmy zaledwie jedną grupę, z południa ciągną już następni.

– Co tedy począć, panie?

– Chodźcie z nami do wsi Wiązownica. Tam gromadzimy wszystkich, którym w okolicy udało się przeżyć. Umocnimy się i będziemy bronić dobytku.

Chłopi zaczęli patrzeć po sobie i szeptać. Dardan obserwował ich twarze, pełne lęku, ale i nowej nadziei.

– Musim się naradzić, panie.

– Byle prędko. Będziemy czekać po drugiej stronie zabudowań – odparł de Brandt, po czym skinął na swoich towarzyszy.

Podjechali do Truden od północnej strony, gdzie postanowili zaczekać na wieśniaków. Związanych jeńców wsadzili na wolnego konia, który jechał cały czas pomiędzy dwoma żołnierzami.

– Straty? – spytał Dardan, patrząc na oddział.

– Wychodzi na to, że brak, panie dowódcu – zaraportował Kahaden z uśmiechem. – Pogoniliśmy chamów!

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– No, panie de Brandt – zawołał roześmiany Ratto. – Nie myliłem się co do ciebie. Bitny jesteś i nie byle z ciebie wódz.

– Na pochwały przyjdzie czas. To była niewielka grupa, słabo uzbrojona. W dodatku wzięliśmy ich z zaskoczenia.

– Ale już, nie umniejszaj sobie... – dodał Tymon Hłaz. – Przeprowadziłeś atak wzorowo, dałeś tym ludziom nadzieję. Z tobą może uda nam się utrzymać



Wiązownicę.

Dardan skłonił głowę i odwrócił konia, udając, że patrzy na diskutujących po drugiej stronie wsi chłopów. W istocie czuł, że rumieni się od tych pochwał, a już zwłaszcza od wzroku Kai – wzroku, który dostrzegł ukradkiem, a który sprawił, że nogi pod nim zmiękły i gdyby nie fakt, że siedział na koniu, byłby się chyba przewrócił. W oczach kobiety dostrzegł dumę i podziw, ale chyba także coś więcej.

Co się z tobą dzieje, de Brandt? – zapytał sam siebie w myślach.

Uspokoiwszy się nieco, podjechał do schwytanych więźniów. Pierwszy nadal był nieprzytomny, najwyraźniej pętla narzucona mu na szyję przez Kaję urwała mu oddech. Pilnujący go sprawdzili jednak na prośbę Dardana, czy żyje. Drugi miotał się i warczał niczym dziki pies, ale upewniwszy się na wszelkie sposoby, że nie jest w stanie zerwać więzów ani się uwolnić, ucichł wreszcie.

De Brandt zbliżył się i spojrzał mu w oczy. Dostrzegł w nich gniew. Nienawiść. Fanatyzm. To były straszne oczy. Oczy wściekłego wilka, któremu rozszarpano całe stado i który tylko czeka na okazję, żeby się zemścić.

Chłopi naradzali się krócej, niż się tego spodziewał. Po niedługim czasie do siedzących na koniach żołnierzy podszedł jeden z mieszkańców Truden – ten sam, który wcześniej dziękował Dardanowi.

– Pójdziemy z wami, panie. Musim jeno zapasy załadować na wozy.

– Dobra decyzja.

– Widzieliśmy, jak walcycie, panie. Głupi ten, kto za wami nie pójdzie w tych czasach.

De Brandt się uśmiechnął.

– Macie godzinę. Załadujcie, ile będziecie w stanie, i ruszamy. Damy wam konie, żeby ciągnęły wozy.

– Dziękujemy, panie...

– Jestem Dardan de Brandt.

Chłop wyszczerzył zęby w szczerym uśmiechu, po czym pobiegł do swoich.

Kaja zbliżyła się do Dardana. Ich konie się zrównały. Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc, jak mieszkańcy Truden biegają po wsi i w pośpiechu pakują na drewniane wozy rozmaite ładunki. Kobieta nagle chwyciła go za rękę. Trwali tak przez pewien czas w milczeniu, nie patrzyli na siebie, ale napięcie między nimi rosło z każdą upływającą sekundą.

## ROZDZIAŁ 6

Gdy tylko oddział wraz z mieszkańcami Truden dotarł do Więzownicy, wieśniacy przywitali ich z ulgą. Nie było już mowy o niechęci ze strony chłopów. Wszyscy rozumieli powagę sytuacji i wobec rosnących niepokojów na pograniczu przyjęto nowych przybyszów z otwartymi rękami. Starszy Maradd poinformował Dardana, że jego ludzie ze wzmożonym wysiłkiem budują nowe chaty oraz wznoszą umocnienia.

– Cieszy mnie to, panie starszy – odpowiedział de Brandt. – Żołnierze dołączą, jak tylko trochę odpoczniemy po bitwie. Sam będę nadzorował pracę nad budową wałów obronnych.

– Tak jest, panie Dardanie.

Dowódca widział jednak, że Maradd z niepokojem spogląda w stronę schwytych barbarzyńców.

– To jeńcy. Być może uda nam się czegoś od nich dowiedzieć.

Starszy pokiwał głową, po czym wrócił do swoich obowiązków. Dardan zwrócił się do swoich towarzyszy.

– Wypocznijcie. Nabierzcie sił, bo czeka nas dużo pracy. – Wskazał na wieśniaków uwijających się przy usypywaniu wysokiego wału, którym chciano otoczyć całą osadę.

Uchodźcy kiwali głowami ze zrozumieniem. Dardan widział w ich oczach nadzieję. Nie będą już musieli samodzielnie i bez przygotowania stawiać czoła dzikusom z południa.

– Wierzysz, że nam się uda? – zapytał Tymon Hłaz, gdy większość oddziału była już na nogach, zaś konie popasały w spokoju. – Stanica miała solidniejsze

mury niż to, co uda nam się zbudować we wsi.

Dardan spojrział na niego i się uśmiechnął.

– Stanica nie miała mnie.

Królewski strażnik przyjął z pokorą te słowa. Skłonił się i ruszył w swoją stronę.

– Prawdziwy z ciebie dowódca. – Kaja wyłoniła się jak spod ziemi.

Podziwiał ją za to, że zawsze potrafiła zakraść się do niego niepostrzeżenie, choć powinien raczej czuć z tego powodu niepokój.

– Dajże spokój...

– To prawda, Dardanie. Ludzie cię słuchają, a już zwłaszcza teraz, po hucznym zwycięstwie.

– To moi ludzie. Dobrze się biją.

– Ale bez dobrego dowódcy nie daliby rady.

Stanął przed nią i oparł dłonie na biodrach. Patrzył głęboko w jej piękne, zielone oczy.

– Chyba przejadę się do lasu na krótki zwiad. Może... wybierzesz się ze mną? – zapytał nieśmiało.

Nie musiał czekać na odpowiedź. Kaja w milczeniu poszła w stronę konia, z którego przezornie nie zdjęła jeszcze siodła. Chwilę później byli już w drodze do pobliskiego zagajnika.

\*\*\*

Dardan i Kaja leżeli pomiędzy drzewami na rozłożonym wełnianym kocu, nie zważając wcale na fakt, że wiosna dopiero się zaczynała i od ziemi ciągnął chłód. De Brandt przesuwał delikatnie palcami po nagim ciele kobiety, zatrzymując się na dłużej po gęsto rozsianych bliznach.

– Los nie był dla ciebie łaskawy.

Uśmiechnęła się.

– Patrzę na to inaczej. Każda z blizn czyni mnie silniejszą.

– Opowiedz mi coś więcej o sobie.

– O, patrzcie go! – rzuciła zadziornie. – Myśli sobie, że jak raz się ze mną przespał, to wolno mu pytać o wszystko.

– A owszem, wolno – droczył się Dardan. – Przypominam, że dobrowolnie dołączyłaś do mojego oddziału.

– Rozkazujesz mi?

– Jeśli mnie do tego zmusisz. – Wzruszył ramionami.

Reakcja Kai była jednak niespodziewana. Obróciła go na plecy i zaczęła całować po szyi.

– Nie myśl, że w ten sposób... – zaczął de Brandt, ale kobieta zamknęła mu usta pocałunkiem.

\*\*\*

Jakiś czas później wrócili do wsi. Gdy odstawiali konie, znikąd pojawił się Kahaden. Zmierzył Dardana porozumiewawczym spojrzeniem i wyszczerzył zęby. Dowódca zbył to milczeniem.

– Melduję, że zamknęliśmy jeńców w chlewie. Są związani i pilnowani przez dwóch ludzi.

– Dobrze – odpowiedział Dardan. – Mówią coś?

– Milczą jak grób. Odmawiają jedzenia, a nawet wody. Nie stawiają też oporu.

– W takim razie utniemy sobie z nimi pogawędkę – powiedział de Brandt i poprawiwszy pas, ruszył od razu w stronę prowizorycznego więzienia.

Kahaden i Kaja podążyli za nim.

Na wyścielonym sianem klepisku siedziało dwóch mężczyzn przywiązanych ciasnymi linami do jednego z podtrzymujących strop słupów. Zauważywszy trójkę wchodzącą do budynku, rzucili im nienawistne spojrzenia, ale nie zareagowali w żaden inny sposób. Dardan podszedł do pierwszego z jeńców i kucnął na wprost niego, by spojrzeć mu głęboko w oczy. Podobnie jak ostatnio dostrzegł w nich mnóstwo negatywnych emocji, a także jakiś nieludzki błysk. Zastanawiał się, jak

ktokolwiek może hodować w sobie tyle gniewu. W głowie rodziło mu się mnóstwo pytań. Jak się tu znaleźli i dlaczego tutaj są? Dlaczego mordują wszystkich na swojej drodze? Co jest ich celem? Obawiał się jednak, że na żadne z tych pytań nie otrzyma odpowiedzi.

– Skąd przychodzicie? – zapytał władczo.

Odpowiedziało mu jedynie milczenie. Brodacz odwrócił wzrok. Dardan chwycił mężczyznę za poły koszuli i przyciągnął do siebie.

– Mów!

Jeniec pozostał niewzruszony, a jedynie uśmiechnął się szyderczo.

– *Asee ama ka le* – wycedził, po czym splunął Dardanowi w twarz.

Ten, nie zwlekając, wymierzył mu solidne uderzenie pięścią. Mężczyzna osunął się na ziemię, wypluł krew, po czym nadal się uśmiechając, patrzył nienawistnie na młodego żołnierza.

– Rozpoznajecie ten język? – zapytał swoich towarzyszy de Brandt, wycierając twarz rękawem.

Kahaden pokręcił głową, ale Kaja odpowiedziała.

– To jeden z języków dalekiego południa. Słyszałam kiedyś coś podobnego od pewnego kupca. Niestety niczego nie rozumiem.

– Za wiele się od nich nie dowiemy... – stwierdził Kahaden.

– Musimy znaleźć kogoś, kto posługuje się tym językiem.

– Znam pogranicze najlepiej z was wszystkich – powiedziała Kaja, gdy wyszli na zewnątrz. – Mogłabym spróbować kogoś znaleźć...

– Wykluczone – szybko zareagował Dardan. – Wokół grasują grupy tych dzikusów.

– Dardanie...

– Nie ma mowy. To zbyt niebezpieczne.

Zbliżyła się do niego i nie zważając na stojącego obok Kahadena, położyła mu dłoń na policzku.

– Sam wiesz, że umiem pozostać w cieniu. Nikt mnie nie znajdzie. Mogłabym przekraść się na północ, do jednej z przygranicznych wsi. Być może jest tam jeszcze ktoś, kto włada ich językiem...

Dardan spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok na przyjaciela.

– Co o tym myślisz?

Kahaden stał z założonymi rękami. Minę miał poważną, co rzadko mu się zdarzało.

– Wysłaliśmy Jarmosa do Vorenau. Nie wiadomo, kiedy wróci, a musimy coś wiedzieć. Wiem, że Kaja sobie poradzi.

Dardan zacisnął wargi. Wiedział, że to jedyna słuszna decyzja, ale trudno było się z nią pogodzić.

– Wróć. Obiecuję – uspokoiła go Kaja.

Mężczyzna tylko pokiwał głową.

\*\*\*

Kaja wyjechała następnego dnia, zaś Wiązownica przygotowywała się do obrony przed nieuchronnym zagrożeniem. Dardan nadzorował budowę umocnień i sam pomagał we wznoszeniu wałów. Kolejne dni upływały mieszkańcom na ciężkiej pracy. Chłopi wraz z żołnierzami trudzili się od świtu do nocy, by wykopać jak najlepsze umocnienia.

Dzięki wspólnemu wysiłkowi udało się wreszcie otoczyć całą wieś wysokim na dwa metry wałem, poprzedzonym głębokim dołem. Tuż przed prowizoryczną fosą zaczęto wbijać zaostrome drewniane pale. Wał okalał całą osadę aż do rzeki, wzdłuż której wzniesiono szczelną palisadę. Dardan z ogromną satysfakcją patrzył na zaangażowanie wieśniaków, którzy rozumieli, że ciężka praca zaowocuje bezpieczeństwem, o które tak bardzo się teraz obawiali.

Jeszcze nigdy w historii Wiązownicy chłopi nie byli zmuszeni do tak wzmożonej pracy na rzecz obrony własnych domów. Pogranicze było krainą niespokojną i pełną niebezpieczeństw, jednak wszyscy zdawali sobie sprawę, że to,

co mogło nadejść, będzie znacząco różne od zwykłych łupieżczych najazdów grasantów. Tym razem w grę wchodziło życie wszystkich mieszkańców. Ci zaś wierzyli, że od bestialskiej śmierci może ich wybawić jedynie przywództwo Dardana.

Po potyczce pod Truden pozycja młodego de Brandta znacząco wzrosła. Wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem i nikt nie kwestionował wydawanych przez niego rozkazów. Morale było wysokie – zarówno wśród żołnierzy, jak i zwykłych wieśniaków. Okazało się, że nawet wojowie brodatego Ratta bez wahania wykonują rozkazy i z równym zaangażowaniem pracują nad wzmocnieniem obrony osady. Zresztą każdy odgrywał istotną rolę w przygotowaniach do bitwy, która nieuchronnie miała nadejść.

Kahaden i Tymon Hłaz szkolili chłopów w walce oraz w strzelaniu z łuku. Strzelać zresztą uczyły się także kobiety, które również pomagały, całymi dniami wytwarzając strzały, szyjąc wzmocnione skórzane kurtki, przygotowując bandaże i opatrunki, które niechybnie miały być potrzebne. Nawet dzieci chętnie biegały do lasu w poszukiwaniu prostych gałęzi, które można było wykorzystać do stworzenia broni. Wioskowy magazyn zapełniał się więc prymitywnymi łukami, włóczniami, tarczami, pękami strzał i wszelkiego rodzaju bronią, która miała być wykorzystana podczas obrony.

Jakkolwiek serce rosło, patrząc na zaangażowanie wieśniaków w przygotowania, Dardan obawiał się, że wszystko, co czynią, może nie wystarczyć. Cały czas miał w głowie nienawistne spojrzenie fanatycznych dzikusów. Zdawał sobie sprawę, że ci nie cofną się przed niczym. Niełatwo będzie dać im opór, jeśli przyjdą w licznej grupie.

Niepokój był tym większy, że nikt nie wiedział, czego właściwie należy się spodziewać. Nie sposób było ocenić, ilu jeszcze barbarzyńców ciągnie z południa, w jakich oddziałach się poruszają i czy ci, których dotąd napotkali, to nie była przypadkiem niezorganizowana forpoczta, podczas gdy prawdziwa armia ma dopiero nadejść. Czy ominą Wiązownicę, czy pójdą wprost na nią? – pytania mnożyły się wraz z upływem czasu.



Z każdym kolejnym dniem Dardan martwił się o Jarmosa i Kaję, których posłał na północ. Jarmos musiał już zapewne dotrzeć do Vorenau i de Brandt z niepokojem wyczekiwał wieści od niego. Wiedział, że jego towarzysz sobie poradzi. Rozsądek nakazywał również wierzyć w Kaję, która już nieraz udowodniła, że potrafi przeżyć na stepie i wyplątać się z najgorszej kabały. Niemniej relacja, którą w ostatnich tygodniach budowali, nie pozwalała Dardanowi pozostać obojętnym wobec losu kobiety. Choć trudno było mu to przyznać, najzwyczajniej w świecie za nią tęsknił.

Wieczorem Dardan udał się do części wsi, w której powstawały nowe chaty dla mieszkańców. Część z nich była już wykończona, niektóre były dopiero suchymi, drewnianymi szkieletami. Obok jednej z konstrukcji siedział Tymon Hłaz, dziesiętnik królewskiej straży.

– Powitać, panie Dardanie – rzekł rozweselony, najwyraźniej napił się wcześniej miodem, gdyż obok niego leżał pusty dzban.

– Widzę, że się powodzi, dziesiętniku.

Tymon obruszył się. Wstał z trudem i otrzepał szatę z kurzu.

– Panie Dardanie, cały dzień szkoliłem chłopów, odpoczynek mi się należy.

De Brandt poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Dobrze już. Dworuję z ciebie tylko.

Tymon odetchnął z ulgą, po czym sięgnął po drugi dzbanek, który znalazł gdzieś pośród walających się wszędzie szpargałów, napełnił go miodem, i poczęstował Dardana. Mężczyzna nie odmówił.

– Jak idzie trenowanie chłopów? – spytał, upiwszy solidny łyk przedniego trunku.

– Serce rośnie, gdy na nich patrzę – odpowiedział szczerze Hłaz. – Nie można im odmówić pasji i wiary, zwłaszcza w ciebie, panie de Brandt.

– Cieszę mnie twe słowa.

Tymon jednak zasepił się nieco.

– Ale żadne z nich wojsko...

– Twoim zadaniem jest zmienić ich w wojsko.

– Nie zrozum mnie źle, panie de Brandt...

– Posłuchaj mnie, dziesiątniku – przerwał mu lekko zirytowany Dardan. –

Widziałem ich pasję do walki tam, w Truden. Widziałem, jak stoją twardo, gotowi bronić swoich domów. A z tego, co wiem, prawdziwe wojsko było w stancy, która padła w kilka godzin. Chyba wiem, z kim wolałbym walczyć.

Tymon Hłaz z pokorą przyjął tę zniewagę i spuścił głowę, wbijając wzrok w buty. Nie miał już śmiałości napić się miodu z dzbana, który przez cały czas trzymał w ręku. Dardan dostrzegł szczerą skruchę u dziesiątnika i zlitowawszy się, poklepał po ramieniu.

– Szkól ich tak, jak umiesz. Więcej nie możemy zrobić.

\*\*\*

Następnego dnia Dardan postanowił dołączyć do trenujących wieśniaków. Prace nad umocnieniami szły pełną parą i mógł sobie pozwolić na przerwę w ich nadzorowaniu. Najpierw przyglądał się kobietom, które pod czujnym okiem Kahadena ćwiczyły strzelanie z łuku. Zdolności, które nabyły żony i córki chłopów z obu wsi, zaskoczyły dowódcę. Z uznaniem patrzył na to, jak przyjaciel poprawia pozycje, uczy celować i udziela rad, jak najlepiej trafić w miejsce, w które chce się posłać strzałę. Dardan nie potrafił także ukryć uczucia satysfakcji, widząc, że znacznie bardziej przykładają się do ćwiczeń, gdy był w pobliżu.

Kolejno udał się na majdan, gdzie dziesiątnik Tymon Hłaz szkolił mężczyzn w posługiwaniu się najróżniejszymi broniąmi. Mieczy chłopom brakowało, ale już cepów, kos, siekier i prowizorycznych włóczni mieli pod dostatkiem. Dardan obserwował, jak strażnik demonstruje pozycje szermiercze; tłumaczy, jak parować ciosy, jak robić uniki i skutecznie używać tarczy. Oprócz tego Tymon uczył wieśniaków komend żołnierskich oraz szyku, co bardzo de Brandta ucieszyło. Miał również wrażenie, że po wczorajszej krótkiej wymianie zdań królewski dziesiątnik z większym zaangażowaniem podchodzi do nowych obowiązków. Patrzył na

chłopów, którzy szkolili się pod jego komendą, i wbrew temu, co wydawało się Hłazowi, widział w nich wojsko. Serce rosło mu od tego widoku.

Wszystkie dni miały podobnie. Cała wieś żyła i brała udział w przygotowaniu obrony. Wały i palisady były już prawie gotowe, podobnie jak nowe chaty, dzięki czemu więcej chłopów mogło brać udział w szkoleniach bojowych. Wciąż gromadzono zapasy drewna na strzały, tarcze i włócznie, szyto nowe stroje, pojawiły się nawet pierwsze hełmy wykute przez miejscowego kowala. Wiązownica rosła w oczach i stawała się solidnym garnizonem wojskowym, co wyraźnie cieszyło Dardana. Kahaden przyznał mu się któregoś dnia, że skala przedsięwzięcia niezwykle go zaskoczyła.

– Robimy tu coś ważnego – powiedział młodzieniec, rezygnując z krotchwilnego tonu, którym zazwyczaj się posługiwał.

– I ja tak myślę – przyznał Dardan, po czym zaprosił towarzysza na dzban miodu.

Wiosna trwała w pełni, pogoda dopisywała i po wykonanej pracy często pozwalali sobie na chwilę odpoczynku, przesiadując w karczmie bądź to na nowo wzniesionych wałach, skąd dobrze widać było okolicę. Czasem przesiadywali w cieniu pobliskich wiązków, wspominając dawne czasy, awanturnicze przygody i potyczki z grasantami.

– Kto by pomyślał, że jeden z watażków będzie walczył u naszego boku... – rzucił Kahaden podczas jednego z takich towarzyskich posiedzeń.

– Czasy takie, że wiele jeszcze się wydarzyć może – skomentował Dardan, po czym bezceremonialnie opróżnił resztę dzbanka, ku wyraźnemu niezadowoleniu przyjaciela.

– Jeździec! Dwóch nawet! – powiedział młody wojownik, wstając nagle z trawy, na której siedzieli.

Dardan również się podniósł i dostrzegłszy w oddali sylwetki zbliżające się do wsi, uśmiechnął się mimo woli.

– Kaja – powiedział z ulgą.

W istocie do Wiązownicy zbliżała się kobieta w towarzystwie jakiegoś starszego mężczyzny. Nowy towarzysz wyglądał dość dziwnie, miał długą, siwą brodę, splątaną w dwa warkocze, i włosy na głowie, również siwe, zaczesane do tyłu w sposób rzadko spotykany w tych stronach. Nosił skórzaną kurtkę z pstrokatymi obszyciami, zaś jego twarz pokrywały tatuaże. Ten widok od razu przywodził na myśl barbarzyńskich napastników. Mężczyzna jednak wydawał się zupełnie przyjazny, zaś w oczach nie było ani śladu nienawiści.

– Widzę, że nie próżnowaliście – odezwała się Kaja, wjeżdżając przez wzniesioną niedawno drewnianą bramę, przecinającą wał obronny i stanowiącą obecnie jedyny wjazd do wsi.

– Prace przebiegają zgodnie z planem – rzekł dumnie Dardan i wpatrywał się w kobietę, która stała mu się tak bliska w ostatnich tygodniach. – Kogóż nam przyprowadziłaś?

– To jest Yugan. Podróżnik.

– Podróżnik? – spytał Kahaden, patrząc podejrzliwie na starca, który skłonił się serdecznie przed mężczyznami.

– Zgadza się, drogi panie. Przemierzam świat i opowiadam ludziom, com widział w innych stronach.

– Jest jakiś zawód, który się z tym wiąże? – zadrwił młody wojownik, ale nowo przybyły nie wydawał się ani trochę urażony.

– Czasem ktoś sypnie groszem za ciekawą historię opowiedzianą przy ognisku. Innym razem ugoszczą mnie jako żebraka. Nie narzekam. Świat jest zbyt piękny, żeby przejmować się przyziemnymi drobiazgami.

Dardan i Kahaden wymienili porozumiewawcze spojrzenia sugerujące, że po takiej osobie należało spodziewać się wszystkiego.

– Zapraszamy więc do karczmy – powiedział życzliwie de Brandt. – Musisz być zmęczony podróżą. Ugościmy cię i porozmawiamy.

Mężczyzna kiwnął głową, po czym wyjątkowo sprawnie zeskoczył z konia i pozwolił odprowadzić zwierzę jednemu z wieśniaków. Gdy wraz z Kahadenem

udali się do karczmy, Dardan zwrócił się do Kai.

– Skąd go wytrzasnęłaś?

Mrugnęła do niego okiem, po czym podeszła i pocałowała na powitanie.

– To dziad podróżny, często widywałam go we wsiach, w których odpoczywałam. Miałam szczęście, że na niego trafiłam. Czasy ciężkie, chciał uciekać z pogranicza, ale gdzie nie pojechał, tam zastawała go wojna.

– Czyli to prawda? Grup jest więcej?

– Niestety. Rozlewają się po całym stepie. Zdaje się, że wszyscy idą na północ. To, że dotąd ominęli Wiązownicę, to cud.

– I pewnie nie potrwa długo...

Po chwili Kaja i Dardan siedzieli już w karczmie i cierpliwie obserwowali dziwnego przybysza, który zajadał się potrawką. De Brandt nie mógł się nadziwić, ile też mieściło się w brzuchu podróżnika, gdyż apetyt miał ogromny.

– Ile on może zjeść? – dziwił się Kahaden, który dołączył do towarzyszy.

– Młody człowieku... Jestem wciąż w podróży. Gdy tylko mam okazję porządnie się najeść, czynię to – odpowiedział Yugan, nie podnosząc wzroku znad kolejnej miski z potrawką.

– Możesz teraz mówić? – zapytał Dardan, patrząc, jak mężczyzna wylizuje puste już niemal naczynie.

– Oczywiście. Co chcielibyście wiedzieć?

– Byłeś kiedyś na południu?

– Na południu, na północy, wschodzie i zachodzie także. W wielu miejscach byłem i wiele widziałem.

Kaja, widząc, że Dardan traci cierpliwość, postanowiła się wtrącić.

– Chodzi nam o południowe krainy względem pogranicza. Tam, skąd teraz przychodzą do nas ci barbarzyńcy.

Yugan wyprostował się i beknął głośno, po czym poklepał się po brzuchu.

– Wina dajcie, prędko. – Machnął ręką na Kahadena, ten zaś skrzywił się i już miał odpowiedzieć coś zgryźliwego, ale Kaja wstała i zniknęła za szynkiem.

Wróciła z kwartą miodu. – Miód? – zapytał wyraźnie niezadowolony podróżnik. – A niech będzie. – Chwycił za dzban i zaczął pić.

Dardan chrząkał niecierpliwie. Nachylił się ku Kahadenowi i szepnął mu na ucho:

– Zaraz mu przywalę.

– Podróżniku – odezwała się Kaja, po raz kolejny próbując uspokoić sytuację – opowiedz nam, proszę, co widziałeś na południu.

– Straszny to kraj – zaczął wreszcie Yugan – ale i piękny na swój sposób. Daleko za stepem zaczyna się pustynia. Jak okiem sięgnąć wszędzie piasek i słońce. Wody tam ze świecą szukać. W dzień jest taki gorący, że bez szat nawet nie da się wytrzymać, a o cień niełatwo. Drzewa rosną z rzadka, przy oazach tylko albo w górach. Ale i te są wysuszone jakby na wiór.

– Daruj nam, proszę, krajobrazy... O ludzi nam chodzi – przerwał Dardan.

– Kiedy to ważne, panie. Musicie wiedzieć, jak trudny jest żywot w tamtych stronach.

– Dobrze więc, opowiadaj.

– Otóż żyją tam ludzie w niezwykle trudnych warunkach. Osady ich są albo w górach, gdzie w głębokich jaskiniach siedzą, bo tam i chłodniej, i do wody można się łatwiej dostać, albo w nielicznych oazach, gdzie budują chutory. Jest też kilka miast, ale bardzo nielicznych. To z nimi właśnie zwykle prowadzi się handel. Choć trzeba przyznać, że mało kto na południe się zapuszcza, bo i nie ma tam specjalnie czym i z kim się wymieniać. Ludzie to trudni, dzicy, niezorganizowani. Każdego dnia walczą o przeżycie na trudnym terenie. Jeśli ktoś myśli, że nasz przygraniczny step jest niebezpieczny, powinien udać się na południe i zobaczyć tę krainę. Oprócz niesprzyjającej pogody są tam bowiem także stwory przeraźliwe, które polują w dzień i w nocy na samotnych podróżnych.

Dardan skrzywił się nieco.

– A ciebie nie upolowały, starcze?

– Dardan – skarciła go Kaja. – Dajże człowiekowi mówić.

– No już dobrze... – Dowódca się zasępił i umilkł.

– Dobry podróżnik wie, jak unikać zagrożeń. Inaczej nie przebyłby tylu krain – powiedział Yugan, nie zważając na zaczepki Dardana. Zdecydowanie trudno było go wyprowadzić z równowagi. – Dzika zwierzyna, gorąc, brak wody i jałowe ziemie. Oto najkrótszy opis południa. Pewnie dlatego nie wytworzyła się tam silna społeczność, jak choćby w waszym królestwie.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego ruszyli na północ w zorganizowanych oddziałach?

– To dobre pytanie. Rozmawiałem kiedyś z jednym z tamtejszych kupców. Człowiek ten bywał na północy, poznał nasz język i obyczaje. Opowiadał, że ludy zamieszkujące południe łączy jeden cel: znalezienie lepszego miejsca do życia na północy. Przestrzeni, którą mogliby zasiedlić, żyznej ziemi, którą mogliby uprawiać, drzew, z których mogliby budować domy.

– Nie mogli po prostu tutaj przyjść? Pogranicze jest ogromne. Wystarczyłoby miejsca dla wszystkich.

– I tutaj pojawia się problem. Mnie się wydawało to mało wiarygodne. Nikt o zdrowych zmysłach nie wybiera życia w takim miejscu jak południowe krainy. Musiało chodzić o coś więcej. Ja zaś jestem człowiekiem wyjątkowo ciekawym, więc przycisnąłem tego biednego kupczynek, żeby wyciągnąć z niego jakieś prawdziwie istotne informacje.

– Udało ci się? – Dardan uniósł brwi. Nie chciał się nawet zastanawiać, w jaki sposób ten dziwaczny starzec przycisnął kupca z południa, by ten wyjawiał mu, co wie.

– A jakże! No i on mi powiedział, ten kupiec, że to dla nich jakby święta rzecz. Taka święta wyprawa, na którą czekali od wieków.

– Święta wyprawa?

– Ano. Coś jakby powrót do raj, z którego ich wygnano.

– O czym ty bredzisz? – niecierpliwił się de Brandt.

– Trzeba ci wiedzieć, panie Dardanie, że w Vorenau nie zawsze rządziła Moc Stworzenia. Były też inne wierzenia. Z rozmowy z kupcem wywnioskowałem, że dawno temu w Vorenau żył lud, który fanatycznie wierzył w istnienie stworów z innego świata. Jakichś demonów albo czegoś podobnego. Kiedy zaś wiara w Moc Stworzenia zaczęła rozpowszechniać się wśród szlachty, to wyznanie nie pasowało do ustalonego w kraju porządku. Doszło do buntu, może nawet wojny domowej i owych demonicznych wyznawców wygnano na południe. W Vorenau niemal nikt o tym nie pamięta, to dawne dzieje. Zdaje się jednak, że tam, na południu, to dla nich świętość. Z pokolenia na pokolenie przekazują sobie opowieści o tym, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, ich demoniczna wiara pozwoli im wrócić do raj, z którego ich wygnano.

– Rozumiem, że ten moment nadszedł...

– To tylko plotki, panie. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Ale musicie przyznać, że sporo rzeczy do siebie pasuje.

– Mówiłeś, że to niezorganizowane społeczeństwo... Jak taki lud miałby udać się w taką wyprawę?

– Dlaczego nie? Wystarczy dobre przywództwo i wiara w to, że prowadzi ich jakaś wyższa siła. Wiara w oczyszczenie...

– Owo oczyszczenie, jak rozumiem, polega na wybiciu wszystkich do cna?

– Najwyraźniej. Tych, którzy nie podzielają ich poglądów i zajmują ziemię ich przodków...

– Jak bardzo okrutna musi być ta wiara? – zdziwił się Kahaden. – Który kapłan nawoływałby do zabijania kobiet i dzieci w imię... No właśnie: czego?

– Powiadają, że to, co pcha ich do bestialstwa, nie jest z naszego świata. Będąc na południu, widywałem wizerunki malowane na kamieniach, ścianach domów, a nawet na własnych ciałach. Przedstawiały coś jakby demony. Rogate potwory z piekła rodem.

Dardan zamyślił się, po czym zwrócił się do Kai.

– To przywodzi na myśl bajki, które słyszałaś.



– Bajki czy nie, możliwe, że ci ludzie naprawdę w nie wierzą...

– Nie rozumiem – wtrącił się Kahaden. – Te dzikusy wierzą w jakieś demoniczne potwory, które rysują na domach, i z tego powodu zabijają? W dodatku na co dzień żyją osobno, ale jak przyjdzie odpowiedni czas, wyruszą na północ, by odzyskać ziemię przodków, których nawet nie znali? To się kupy nie trzyma.

– Trudno rzec, co siedzi w ich głowach – przyznał podróżnik. – Niewykluczone, że otrzymali jakiś impuls. Być może wydarzyło się coś, co pchnęło ich do dziejowej wyprawy? Może objawił się jakiś ich mesjasz?

Dardan pokręcił głową. Tego było już dla niego za wiele. Nigdy nie był przesadnie wierzący, nie przepadał za Mocą Stworzenia i wszystkim, co wiązało się z panującą w Vorenau religią. Myśl, że gdzieś na południu są ludzie gotowi zabijać wszystkich, którzy nie podzielają ich wyznania, sprawiała, że miał ciarki na całym ciele.

– Wspomniałeś, że znasz trochę ich język – zagadnął.

– Zgadza się. Nie mówię w nim biegle, ale rozumiem podstawowe zwroty. Nauczyłem się podczas moich podróży od rzeczzonego kupca właśnie.

– Pojmaliśmy dwóch dzikusów. Trzymamy ich w zamknięciu. Zgodziłbyś się z nimi porozmawiać?

Na twarzy Yugana zagościł strach.

– Ja...

– Nie bój się. Będziemy tam razem z tobą. Oni zresztą są związani i osłabieni. Odmawiają jedzenia od kilku dni. Piją tylko wodę.

– Sam nie wiem... Słabo znam ten ich język.

– Proszę... – Dardan postarał się zabrzmieć najbardziej życzliwie, jak potrafił. – Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, z którymi mamy walczyć.

Podróżnik milczał długo, patrząc co chwilę to na Dardana, to na Kaję. Widząc w ich oczach szczerą potrzebę lepszego zrozumienia zagrożenia, z jakim muszą się zmierzyć, zgodził się porozmawiać z jeńcami.

Chwilę później znaleźli się w chlewie, w którym przebywało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był nieprzytomny, drugi, mimo ogromnego osłabienia organizmu, wciąż patrzył nienawistnie na odwiedzających.

Yugan zbliżył się do nich na taką tylko odległość, jaka była konieczna, oglądając się co chwilę, jakby chciał się upewnić, że Dardan i Kahaden na pewno mają przy sobie broń. Kucnął przed przywiązany do słupa mężczyzną i zapytał.

– *Yarme aka?*

Więzień poruszył się niespokojnie. Był wyraźnie zaskoczony, że ktoś przemówił do niego w jego języku. Podróżnik ponowił pytanie, dodając jeszcze kilka niezrozumiałych dla reszty słów. Głos miał spokojny i przyjazny na tyle, na ile było to możliwe. Jeniec patrzył na niego nienawistnie. Jego oczy sprawiały wrażenie, jakby miały za chwilę wyskoczyć z orbit. Podbiegły krwią, zalały się łzami. Widać było, że mężczyzna walczy ze sobą. Znać było, że cierpi, ledwo trzymał się przy życiu, wszak przez ostatnie dni odmawiał jedzenia, wypił jedynie odrobinę wody. Zdawało się, że jego fanatyzm nie pozwala mu powiedzieć niczego swoim oprawcom. Wreszcie resztką sił wycharczał kilka słów w swoim języku, po czym stracił przytomność.

Kaja podeszła do niego i sprawdziła puls.

– Nie żyje.

Reszta spojrzała po sobie, wyraźnie zdumiona.

– Był słaby, niedożywiony – powiedział Dardan. – Być może nasza wizyta była tylko impulsem.

– Wiadomo, co powiedział? – zapytał Kahaden, spoglądając na zasępionego podróżnika.

– Niewiele zrozumiałem. Jak już mówiłem, słabo znam ich język. W dodatku ten tutaj – wskazał palcem na leżącego u jego stóp człowieka – mówił bardzo niewyraźnie, jakby przez nos. To jakiś dziwny dialekt, chyba z dalekiego południa.

– Pojąłeś cokolwiek?

– Powiedział coś jakby... mroczny pan miał przyjść, wynagrodzić swoje służby, a wrogów zdusić?

Dardan wywrócił oczami.

– Kolejna bzdurna przepowiednia. Co ci ludzie mają w głowach?

– Dardanie... – obruszyła się Kaja. – Bzdurna czy nie, nie powinniśmy tego lekceważyć. Ci ludzie w to wierzą. W imię tego zabijają i giną.

De Brandt spojrział na nią z wyrzutem, ale momentalnie się uspokoił. Wyszczerył się do Kai, która jednak tym razem nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– Masz rację. Nie lekceważę zagrożenia. Przyjdzie czas, że dowiemy się więcej o tym, z czym przyszło nam się mierzyć. Póki znamy jedynie kilka słów, weźmy się do pracy przy tym, co jest w naszym zasięgu.

Odwrócił się do Yugana i uścisnął mu serdecznie dłoń.

– Dziękuję ci, podróżniku. Zostań z nami, jeśli chcesz. Wokół niebezpiecznie.

Yugan parsknął i podrapał się po brodzie.

– Zaszczytne to propozycja, panie de Brandt. Niestety nie skorzystam. Zawsze radziłem sobie na trakcie, ale bitka mi nie leży. Choć miłe mi wasze towarzystwo, wyruszę jak najdalej od tej zawieruchy.

Dardan ze zrozumieniem pokiwał głową.

\*\*\*

Podróżnik Yugan był postacią niezwykle barwną. Postanowił zostać w Więzownicy jeszcze przez kilka dni, podczas których snuł rozmaite, pasjonujące opowieści o swoich podróżach, opowiadał wieśniakom, co widział we wspaniałych, dalekich zakątkach świata. Pił i jadł z żołnierzami, żartował, śpiewał i ogólnie podnosił morale. Dardanowi żal było się z nim rozstawać, gdyż niezwykle polubił tego wesołego brodacza.

Gdy któregoś poranka zegnali odjeżdżającego gościa, ten, siedząc już na koniu, zwrócił się do Dardana.

– Mości de Brandt.

– Tak, podróżniku?

– Nie wiem, czy jeszcze kiedyś nasze drogi się skrzyżują, choć wierzę w to głęboko...

– I mnie byłoby miło spotkać cię jeszcze – odpowiedział szczerze.

– Mam dla ciebie pewną radę, panie Dardanie – kontynuował Yugan, zaś jego twarz przybrała nieprzystający doń, poważny wyraz. – Strzeż się tego, co niepojęte, i uważaj na swych przyjaciół, gdyż groźniejsi być mogą od wrogów.

Dardan zmarszczył brwi i chciał zapytać, cóż mogły znaczyć te tajemnicze słowa, ale Yugan spiął konia i wyjechał ze wsi przez otwartą bramę, po czym skierował się na zachód. Nie było jednak wiele czasu na zastanawianie się, co też brodacz mógł mieć na myśli, gdyż kiedy tylko zniknął za horyzontem, z południa dobiegł ich tętent pojedynczego konia pędzącego na złamanie karku w stronę osady.

Kahaden skoczył na wały i wyteżył wzrok.

– To Kager! – krzyknął.

Kager, jeden ze zwiadowców patrolujących okolicę, wjechał natychmiast na majdan i zatoczywszy koło wokół studni, krzyknął w stronę Dardana.

– Idą na nas! Blisko tysiąc zbrojnych! Za dwa dni staną pod wsią!

Dardan stanął jak wryty. Przygotowywał się do obrony od tygodni. Budowano wały i szkolono wieśniaków, szykując się na wszelkie sposoby do bitwy, która jednak wcale nie musiała nadejść. Mimo to gdy usłyszał słowa swojego żołnierza, odjęło mu mowę. Coraz więcej ludzi gromadziło się na majdanie i wszyscy patrzyli na młodego dowódcę w nadziei, że powie coś, co doda im otuchy, albo że podejmie decyzję o opuszczeniu wsi i ucieczce na północ. Cokolwiek. Wszyscy czekali, a de Brandt nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

Wreszcie spotkał wzrok Kai, która milcząco dawała mu do zrozumienia, że nadszedł moment, w którym stanie na wysokości zadania. Sprostą oczekiwaniom i stanie się prawdziwym wodzem, który prowadzi ludzi nie na śmierć, a po zwycięstwo.

De Brandt musiał odpowiedzieć na to nieme wezwanie. Błyskawicznie wskoczył na stojącą pod studnią beczkę, by choć trochę górować nad powiększającym się tłumem. Dobył miecza, który zawsze miał przypięty do pasa, i wycelował go na południe, skąd nadchodziło zagrożenie.

– Niech przyjdą! Jesteśmy gotowi. Wiązownica stanie do walki i Wiązownica się obroni.

Aplauz ogarnął tłum. Ludzie wiwatowali. Kto miał przy sobie broń, ten wznosił ją nad głowę i wydawał gromkie okrzyki.

– Niech przyjdą!

– Wojna!

– Na pohybel!

– Wiązownica!

Wśród tych okrzyków coraz częściej pojawiał się także jeden, który młodemu dowódcy szczególnie przypadł do gustu.

– Niech żyje Dardan de Brandt!

– Niech żyje!

# ROZDZIAŁ 7

Rzęsisty deszcz zalewał świeżo wykopaną fosę i rozmiękczał ziemię dookoła osady. Wznoszone w ostatnich tygodniach umocnienia okazały się jednak wystarczająco wytrzymałe i zdawało się, że doskonale spełnią swoją funkcję. Temperatura obniżyła się i mimo wiosennych dni chłód doskwierał ludziom i zwierzętom. Stojący na bramie i wałach wartownicy dygotali z zimna, wyężając wzrok i słuch w oczekiwaniu na nadchodzące niebezpieczeństwo. Nieliczne, skryte pod dachem pochodnie ledwie oświetlały mroki nocy, ograniczając pole widzenia obrońcom Wiązownicy. Nic więc dziwnego, że najpierw usłyszeli maszerujących, zanim ich zobaczyli.

Setki przybyszów z południa zbliżały się do osady, słychać było szczęk broni oraz rozchłapywane błoto pod nogami. Dopiero po jakimś czasie stojący na wałach mężczyźni spostrzegli blade światła pochodni niesione przez armię nieprzyjaciela.

– Już tu są! – krzyknął jeden z chłopów pełniących wartę.

Wieść natychmiast rozeszła się po wsi i mieszkańcy zaczęli błyskawicznie się mobilizować. Pobierali broń z magazynów i gromadzili się na majdanie, gdzie Kahaden, Ratto oraz Tymon Hłaz, odpowiedzialni za dowodzenie obroną, rozdzielali zadania, wskazywali pozycje i mobilizowali nowo wyszkolonych żołnierzy. Wszyscy byli gotowi na to, co miało nadejść, i mimo powszechnie wyczuwanego strachu zachowali wysokie morale.

De Brandta nie było we wsi. Wraz z grupą żołnierzy krył się w pobliskim lesie, by uderzyć na napastników, gdy będą się tego najmniej spodziewać. Wszystkich zdolnych do walki – mężczyzn i kobiety – wraz z żołnierzami Tymona i awanturnikami Ratta było we wsi niecałe trzysta głów. Oddział Dardana ukryty

w lesie liczył zaś ledwie dwadzieścia osób. Według szacunków zwiadowcy, który doniósł o nadchodzącej armii, dzikich było około tysiąca.

Gdyby bitwa miała stoczyć się wokół dobrze uzbrojonego grodu, zaś jego obrońcy byli regularnym wojskiem, siły byłyby wyrównane. Wiązownica była jednak zwykłą stepową osadą, której umocnienia zostały wzniesione naprędce z powszechnie dostępnych materiałów. Żołnierze tacy jak Dardan czy Tymon doskonale zdawali sobie z tego sprawę, mimo to nie dawali po sobie poznać, że szanse na ocalenie wsi oceniali jako niewielkie. Wieśniacy musieli czuć, że ich przywódcy wierzą w zwycięstwo i poprowadzą ich do niego. Wielką niewiadomą pozostawały zdolności bojowe nacierającej armii. De Brandt co prawda starł się z nimi pod Truden, jednak tam wykorzystano element zaskoczenia oraz przewagi konnicy nad piechotą. Grupa, którą wtedy pokonali, zdawała się pozbawiona dowodzenia i sensownego planu. Armia, którą mieli przed sobą tej nocy, była już zdecydowanie bardziej zorganizowana.

De Brandt z bezpiecznej odległości obserwował tłum uzbrojonych barbarzyńców, kryjąc się między drzewami na pobliskim wzgórzu. Zaskoczyło go, jak równo maszerowali. Zauważył także pośród nich prymitywne totemy, które pełniły najpewniej rolę chorągwi. Mogło to świadczyć o tym, że to, z czym mieli do czynienia, było regularną armią, nie zaś zwykłą, puszczoną samopas grupą. Widok równo stojących pod banerami mężczyzn z wytatuowanymi na czarno twarzami, skandujących bojowe okrzyki, nie napawał optymizmem. Dardan miał świadomość, że dla wielu mieszkańców osady będzie to ostatnia noc. Być może dla wszystkich, zwłaszcza że dzicy nie brali jeńców ani nie oszczędzali kobiet i dzieci.

Jednak wbrew pozorom bestialstwo południowców w połączeniu z chęcią obrony swoich domów i rodzin dawało chłopom potwornie silną motywację do walki do ostatniej kropli krwi. Dardan nie miał zamiaru zmarnować wysokiego morale swoich towarzyszy. Ludzi, których przez ostatnie miesiące poznał i pokochał; za których czuł się odpowiedzialny.

Świtało. Promienie słońca rozjaśniały krajobraz. Deszcz padał z mniejszą intensywnością. Okoliczne łąki pokryła gęsta mgła, która spowiła swoją srebrną

szatą tłum najeźdźców. Wreszcie w miejscu, w którym się znajdowali, rozległ się dźwięk rogu. Przerażające buczenie dotarło do wsi, wywołując dreszcze wśród obrońców. Chwilę później nad doliną wzniosły się gromkie okrzyki w obcym języku i agresywna tłuszcza ruszyła do ataku.

– Strzelać! – krzyknęła Kaja, wznosząc pięść do góry, i dziesiątki strzał poleciały w stronę atakujących.

Do oddziału łuczniczego, któremu przewodziła, oddelegowano głównie kobiety, choć nie brakowało wśród nich także młodszych chłopców i starszych mężczyzn. Zajmowali względnie bezpieczne pozycje w środku wsi na specjalnie wzniesionym w tym celu podwyższeniu.

Stojący bezpośrednio na wałach mężczyźni chwycili włócznie, którymi zamierzali ciskać w przeciwnika, gdy ten zbliży się na odległość rzutu. Zanim jednak agresorzy do nich dobiegli, łucznicy zasypali ich kilkukrotnie gradem strzał. Niestety wielu z nich spudłowało. Mimo tygodni ćwiczeń wieśniacy nie byli w stanie zadać z tej broni skutecznego ciosu nacierającej hordzie rozbieganych barbarzyńców.

Gdy pierwsza fala podbiegła dostatecznie blisko, chłopcy zaczęli atakować oszczepami. Z bliższej odległości udało im się trafić wielu najeźdźców, którzy przebici drzewcami padali w błoto. Obrońcy patrzyli z przerażeniem, gdy niektórzy z trafionych włóczniami wyciągali je z piersi i szli dalej. Większość z nich padała chwilę później i umierała, jednak determinacja i fanatyzm, które były z ich wytatuowanych twarzy, wprawiały wieśniaków w osłupienie i wzmagaly strach.

Atakująca armia zbliżyła się niebezpiecznie do wałów obronnych wioski i ugrzęzła... Wypełniony błotem rów oraz zaostrome pale wbite w ziemię u stóp wałów skutecznie zwolniły nacierające siły, które zostały dodatkowo zasypane gradem strzał i oszczepów. Gdy większa liczba barbarzyńców stłoczyła się pod umocnieniami, Kaja przywołała do siebie dziesięciu najlepiej strzelających wieśniaków. Rozkazała im dobyć specjalnie przygotowane wcześniej strzały zakończone zwojami materiału polanym alkoholem i zanurzyć w stojących na majdanie koksownikach. Pociski zapłonęły błyskawicznie. Łucznicy wycelowali



i posłali je ponad głowami obrońców prosto w tum. Strzały trafiły w ukryte pod stertą liści kałuże wypełnione smołą, z których błyskawicznie buchnęły płomienie.

Dzicy stanęli w ogniu, zaczęli krzyczeć i mimowolnie szukać dróg ucieczki, przez co wpadali na siebie i przewracali się, stając się jeszcze łatwiejszym celem dla oszczepników. Obrońcy wioski byli bezlitośni i ciskali drzewcami prosto w płonących napastników. Po chwili do ich nozdrzy dotarł potworny smród płonącej skóry.

Dzięki tej taktyce pierwsza ofensywa została zatrzymana, jednak dzicy bardzo szybko zorientowali się w sytuacji i wycofali. Przed Wiązownicą leżał stos płonących ciał, zaś fosę zaczęła zalewać krew.

Przegrupowanie południowców nie trwało długo. Ci, których nie dosięgnęły ogień ani oszczepy broniących, zebrali się w bezpiecznej odległości i ruszyli ponownie do ataku, tym razem z innej strony. Ponadto posłali przed siebie kilku zwiadowców, którzy sprawdzili, czy ziemia pod ich stopami nie jest pokryta smołą, dzięki czemu znaleźli bezpieczną ścieżkę ku umocnieniom.

Kolejna nawała ruszyła w stronę wioski, tym razem o wiele skuteczniej docierając do wałów obronnych. Biegli w większym rozproszeniu, często zmieniając kierunek i unikając większości ciskanych w ich stronę oszczepów. Nie minęło wiele czasu, nim zaczęli wdrapywać się po stromych usypiskach, gdzie czekali na nich uzbrojeni chłopci. Po chwili dało się słyszeć szcęk stali, trzask drzewców i okrzyki po obu stronach. Po wschodniej stronie wałów rozgorzała walka wręcz. Wieśniacy bronili się dzielnie, wspierani przez watażków Ratta i żołnierzy Hłaza. Przez dłuższy czas większość dzikich była strącana z umocnień i wpadała do błotnistej fosy. Nie trwało to jednak długo, gdyż pierwsi z nacierających zaczęli już dostawać się na szczyt umocnień, gdzie chłopci nie mieli nad nimi przewagi wysokości. Rozpoczęła się zacięta bitwa, zaś trup słał się gęsto po obu stronach.

W tym momencie z pobliskiego, pokrytego drzewami wzgórza ruszyła kolumna jeźdźców Dardana, którzy wznosząc bojowe okrzyki, szarżowali na atakujących przybyszów z południa. Kawaleria uderzyła w zdezorientowanych wojowników,

którzy w bitewnym zamieszaniu ledwie zdążyli obrócić się w ich stronę, nie mówiąc już o zorganizowaniu szyku.

Jadący na przedzie Dardan stratował dwóch dzikusów, po czym błyskawicznie ciał mieczem kolejnych trzech. Jego żołnierze radzili sobie nie gorzej. Każdy z nich natychmiast uśmiercił kilku zaskoczonych mężczyzn. Gdy jednak impet uderzenia konnicy osłabł, dzicy zaczęli bronić się ze znacznie większą zaciętością. W przeciwieństwie do starcia pod Truden jeźdźcy musieli mierzyć się ze znacznie większą siłą, pośród której niełatwo było skutecznie manewrować.

Dardan doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wydał rozkaz do jak najszybszego przedostania się na drugą stronę tłumu wojów. Oddział poruszał się do przodu, tnąc wszystkich na swojej drodze, po czym wybiegł na otwartą przestrzeń, rozdzielając nacierającą armię ścieżką wypełnioną trupami.

Konni gnali nadal, oddalając się od napastników, po czym zatoczyli łuk, by znów uderzyć, tym razem z drugiej strony. Był to manewr, którego celem było spowolnienie szturm, dzięki czemu broniący mieli więcej czasu na odpieranie ofensywy – niezwykle skuteczny, jeśli miało się do dyspozycji liczny oddział, a nie dwudziestu ludzi.

Przewaga liczebna piechoty robiła swoje. Dodatkowo najeźdźcy bardzo szybko się uczyli i na kolejne uderzenie kawalerii odpowiedzieli utworzonym naprędce szykiem. Nie mieli długich włóczni, dzięki czemu szarża w ogóle miała szansę się powieść, jednak gęsto ustawieni stanowili o wiele trudniejszy cel. Mimo to grupa Dardana natarła na nich z nie mniejszą niż poprzednio zaciętością, zadając po raz kolejny ciężkie straty nieprzyjacielowi.

De Brandt był jednak dowódcą, który potrafił myśleć trzeźwo i błyskawicznie reagować na wydarzenia na polu walki. Widząc, że drugie uderzenie przyniosło mu stratę dwóch żołnierzy, wiedział, że długo tak nie wytrzyma. Spojrzał w stronę wioski, gdzie topniejąca, lecz wciąż silna grupa dzikich wdzierła się na wały obronne.

– Jeszcze raz! – krzyknął do swoich żołnierzy i spiął konia, kierując się w stronę zagajnika.

Zdecydował się wykonać manewr po raz kolejny. Tym razem straty zadane piechocie były zdecydowanie mniejsze, zaś kolejnych trzech żołnierzy straciło życie w ferworze walki. Dardanowi udało się jednak odciąć główną grupę barbarzyńców od tych, którzy walczyli na wałach.

Dzicy, widząc manewry konnicy, zwolnili natarcie i zatrzymali się na początkowych pozycjach, nie dając jeźdźcom pola do kolejnych ataków. Dardan postanowił wykorzystać tę chwilę zawahania.

– Odwrót! Do wsi! – krzyknął z uniesionym w górze mieczem i wraz z żołnierzami ruszył w stronę Wiązownicy.

Dostrzegłszy ich, obrońcy natychmiast otworzyli bramę, wpuszczając jeźdźców do wnętrza umocnień. Konie zatoczyły krąg na majdanie. Dardan pierwszy zeskoczył ze swojego, nakazując czekającym już na nich młodym chłopcom zaopiekowanie się zwierzętami.

– I jak? – Kaja pojawiła się znikąd. Twarz miała zlaną potem, w ręku trzymała łuk.

– Faktycznie tysiąc głów. Może nawet więcej. Wybiliśmy trochę, ale szybko się uczą. Po trzech manewrach musiałem wracać – odpowiedział zdyszany Dardan. – A jak u was?

– Trzymamy się. Pierwszy szturm odparty. Dobrze, że jesteś.

Kiwnął głową i dobył miecza. Chwilę później byli już razem na wałach. Wieśniacy, widząc swojego dowódcę wraz z żołnierzami, rozpromienili się. Przybycie Dardana wlało w nich nową energię i chęć do walki. Odparcie pierwszego szturmego było małym sukcesem, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że to dopiero początek. Nie mylili się.

Gdy z pola przed wsią opadł pierwszy kurz bitewny, zaś ognie rozniecone przez obrońców zaczęły powoli dogasać, rozpoczął się kolejny szturm. Słońce weszło już w pełni, oświetlając tłum biegnących w stronę osady barbarzyńców. Ruszyli

całą masą, stawiając najwyraźniej na prymitywną taktykę przewagi liczebnej. Niestety, ta mogła okazać się skuteczna.

Dzicy nacierali z trzech stron, wolną od ataku pozostawiając jedynie stronę północną, gdzie Wiązownica graniczyła z rzeką.

Dardan spojrział na stojących wokół niego chłopów i dostrzegł w ich twarzach przerażenie. Wzmagало się ono tym bardziej, im bliższe i głośniejsze były okrzyki bojowe nieprzyjaciela. Musiał zareagować. Wskoczył na najbliższe podwyższenie, za którym chowano zapasową broń i strzały, i uniósł miecz. Wszyscy natychmiast skupili na nim swoją uwagę.

– Słuchajcie wszyscy! Pokażmy tym obesrańcom, czyja to ziemia i kto tu rządzi!

– Tak jest! – odpowiedziało mu kilkadziesiąt głosów.

– Poślijmy ich do piekła, z którego przyszli!

– Tak jest!

– Dardan de Brandt! – pojawiły się kolejne gromkie okrzyki obrońców.

– Strzały! – zakomenderował de Brandt i łucznicy natychmiast wzniesli swoją broń i napięli cięciwy, czekając na rozkaz.

– Teraz!

Grad strzał posypał się na wrogą armię. Było już całkiem jasno, więc inaczej niż poprzednio wiele strzał trafiło w cel. Łysi, wytatuowani i umięśnieni barbarzyńcy nie wyglądali już tak strasznie, gdy groty przebijały im gardła i padali bez ruchu na ubłoconą ziemię. Krwawili tak samo jak wszyscy i tak samo jak wszyscy umierali. Widok tracących życie napastników w połączeniu z Dardanem wydającym rozkazy i górującym nad wieśniakami wlał w ich serca ogromną porcję nadziei.

De Brandt zmieniał często pozycję. Starał się być widziany i słyszany przez wszystkich obrońców, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że nieprzyjaciel nacierał z trzech stron. Póki jednak nie przedostał się na wały, dowódca chciał, aby każdy z obrońców zobaczył go i zaczerpnął od niego nieco otuchy.

Kolejne strzały spadały na tłum nacierających dzikich. Gdy ci znaleźli się odpowiednio blisko, znów do strzał dołączyły oszczepy. Choć napastnicy ponosili większe niż poprzednio straty na podejściu do wioski, nacierali także znacznie szybciej. Przeskakując leżące coraz gęściej trupy i omijając zaostrome pale, ludzka nawała zaczęła wspinać się po wałach. Niedługo potem na szczycie umocnień rozgorzała brutalna bitwa wręcz. Topory chłopów z ogromną siłą uderzały w przedzierających się dzikich, roztrzaskując ich czaszki. Nie były w stanie jednak sięgnąć wszystkich, przez co nieustępliwi atakujący zaczęli coraz śmielej zajmować pozycje na usypanych wzgórzach.

W bezpośrednim starciu barbarzyńcy byli od wieśniaków silniejsi, zaprawieni w bojach i nade wszystko nie czuli strachu. Szli zatem niczym taran, kładąc na ziemię kolejnych chłopów, którzy coraz bardziej ustępowali im pola. W bliskich walkach w zwarciu obrońcy nie mieli szans. Dardan, widząc to, musiał zareagować.

Błyskawicznie wbiegł w grupę atakujących z jednej strony, Kahaden zrobił to samo z drugiej. Na wąskich wałach dwóch znających się na swoim fachu szermierzy było w stanie na chwilę powstrzymać rozlewanie się sił przeciwnika po umocnieniach.

– Cofnąć się! – rzucił dowódca przez ramię do chłopów za plecami.

Posłusznie wykonali rozkaz, wycofując się o kilka kroków. Dardan parował kolejne ciosy i wyprowadzał śmiertelne kontrataki, poruszając się przy tym powoli do tyłu. Zręcznie wywijając mieczem, kontrolował znajdujący się przed nim tłum, nie pozwalając mu ruszyć do przodu. Kahaden robił to samo po drugiej stronie wałów. Gdy grupa napastników była już rozciągnięta na kilkanaście metrów, de Brandt wydał kolejny rozkaz.

– Kaja! Teraz! – rzucił w stronę przewodzącej grupie obrońców kobiecie znajdującej się w centrum wsi. Dziesiątki łuków wzniosły się do góry i wystrzeliły prosto w ściśniętą tłuszcę nieprzyjaciela. Stojący gęsto na ciasnej przestrzeni atakujący padali jak muchy. Ze strzałami wbitymi w różne części ciała zsuwali się po wałach obronnych w obie strony.

Łucznicy wystrzelili kilka salw, skutecznie rozrzedzając grupę barbarzyńców. Dardan spojrział na pozostałe dwa szturmowane miejsca, gdzie ku jego zadowoleniu obrońcy zaczęli wykonywać podobny manewr. Przy pomocy żołnierzy wpuszczali większe grupy napastników na umocnienia, po czym dawali znak łucznikom, którzy wyjątkowo celnie posyłali w ich stronę grad pocisków.

Manewr był genialny, jednak nie mógł trwać długo. Nieprzyjaciel prędko zorientował się, w czym rzecz, i postanowił zmienić taktykę. Wytatuowani fanatycy znajdujący się pod osadą rozproszyli się i zaczęli wspinać się na wały w kilku miejscach, przez co chłopci nie byli już w stanie skutecznie kontrolować tłumu, zaś łucznicy nie nadążali ze strzelaniem. Na szczycie umocnień zapanował więc potężny chaos, którego nie dało się już okiełznać, a stosowanie zmyślnych manewrów przestało być możliwe.

Jakby tego było mało, barbarzyńcy zaczęli osiągać przewagę. Rozpoczęła się rzeź. Dardan i jego żołnierze robili, co mogli, walcząc ze zdwojoną zaciętością, kładąc po kilku przeciwników naraz i dając tym samym przykład chłopom oraz podnosząc ich na duchu. Przewaga liczebna nieprzyjaciela była jednak nieubłagana. Chłopi, widząc swoich towarzyszy z rozplatanymi piersiami, strzaskanymi czaszkami i odciętymi kończynami, zaczęli panikować. De Brandt dostrzegł, że wielu z nich nie panuje już nad sobą i albo potyka się, spadając w dół wałów i łamiąc sobie nogi, albo rzuca się panicznie do odwrotu, narażając się na ciosy od tyłu.

– Dardan! – krzyknęła Kaja, wskazując na grupę dzikich znajdujących się niedaleko niego.

Podążył wzrokiem za jej dłonią i dostrzegł kilku fanatyków z pochodniami, którzy zaczęli staczać się po wewnętrznej stronie wałów. Nie zważali na rzucających w nich oszczepami chłopów oraz łuczników, którzy także wzięli ich na cel. Większość sabotażystów udało się zabić, zanim dostali się do wsi, prócz jednego. Człowiek ten, ściskając w ręku pochodnię, rzucił się w stronę najbliższej chaty i wykopując nogą drzwi, wbiegł do środka. Nie trzeba było długo czekać, aż budynek zajął się ogniem. Gęsty dym buchał na wszystkie strony rozwiewany

przez wiatr i zaczął przeszkadzać walczącym na wałach chłopom. Ponadto prawie całkowicie uniemożliwił oddawanie celnych strzałów łucznikom.

Dardan widział, jak Kaja wraz z kilkoma kobietami biegnie już z wiadrami w stronę studni, by po chwili zacząć heroicznie gasić płonąca chałupę. Gdy już wydawało się, że pożar uda się opanować i ogień nie rozprzestrzeni się na całą wieś, zapłonęła kolejna chata, i to w zupełnie innej części osady. Widząc to, dowódca miał tylko jedno wyjście.

– Odwrót! Wszyscy na majdan! – krzyknął z całej siły.

Usłyszawszy go, pozostali dowódcy powtórzyli rozkaz i broniący wałów chłopci rozpoczęli z wolna wycofywać się z umocnień. Krocząc do tyłu, bronili się, oddając pole barbarzyńcom, którzy na chwilę zwolnili impet uderzenia, umożliwiając reszcie wojska wejście na wały. Nim obrońcy dotarli do placu pośrodku wsi, wszyscy napastnicy byli już na szczycie, otaczając niemal cały teren.

Dardan spróbował oszacować ich liczbę i stwierdził, że jest ich około trzystu. Spodziewał się, że broniących zostało około połowę mniej. Liczył na to, że jeśli uda im się skierować szturm tylko w jedno miejsce, będą mieli szansę.

Wiejski plac był dość szczelnie otoczony budynkami. Dwie główne arterie były szersze, zaś pozostałe dwie stosunkowo wąskie. Od północy, od strony rzeki, de Brandt nie spodziewał się na razie ataku, gdyż dotarcie tam zajęłoby nieprzyjacielowi sporo czasu.

– Zablokować flanki! – krzyknął w stronę chłopów. – Beczki, skrzynki, deski! Wszystko, co macie!

Kilku obrońców w mig pojęło jego pomysł i zabrało się do pracy. Czasu było niezwykle mało, gdyż stojący na wałach fanatycy tylko chwilowo łapali oddech, szykując się do ostatecznego uderzenia.

– Wszyscy z tarczami do mnie! – wydał kolejny rozkaz de Brandt. – Ratto, Kahaden, Tymon! Wy też ze swoimi ludźmi.

Dardan żałował, że nie był w stanie skorzystać z pomocy łuczników, jednak w tak ciasnej przestrzeni nie było już możliwości wykorzystania przewagi, poza

tym Kaja i kobiety nadal starały się zapanować nad rozprzestrzeniającym się ogniem. De Brandt miał jedynie nadzieję, że wrócą na majdan, gdy tylko rozpocznie się szturm.

Nie czekali długo. Z okrzykami bojowymi na ustach dzicy zaczęli staczać się z wałów. Chwilę trwało, nim zebrali się na dole, ale błyskawicznie się przegrupowali i ruszyli całą kolumną na stłoczonych na placu mieszkańców. Dardan i jego żołnierze, wspierani przez najsilniejszych spośród chłopów, utworzyli szpaler pomiędzy budynkami prowadzącymi główną drogą do centrum wsi.

Nacierający biegli głównym traktem. Gdy zbliżyli się na odpowiednią odległość, obrońcy utworzyli mur z tarcz, zaś stojący za nimi oszczepnicy rzucili swe drzewce w nieprzyjaciela. Kilku dzikich padło, ale reszta z ogromnym impetem uderzyła w broniących. Rozpoczęły się ciężkie walki w zwarciu. Tarcze dawały przewagę tylko na początku, a gdy w przejściu zrobił się większy tłok, większość z nich trzeba było porzucić. Dardan wraz ze swoimi żołnierzami, ludźmi Ratta oraz strażnikami Tymona Hłaza bili się na samym przedzie. Walczyli najzacieklej, jak się dało, kładąc trupem kolejnych przeciwników. De Brandt wysunął się nawet nieco do przodu, robiąc stłoczonym za plecami żołnierzom więcej miejsca. Pozostali dowódcy poszli jego śladem i zaczęli stopniowo odpychać atakujących spod majdanu.

Ten etap walk był zdecydowanie najdłuższy i najtrudniejszy. Dardan z wolna opadał z sił. Czuł, jak traci energię, zaś jego ręce z coraz większym trudem unoszą miecz. Mimo to co chwilę znajdował nową motywację do walki, myśląc o tym, że za nim, za niewielką grupą dobrze wyszkolonych żołnierzy, stoją prawie bezbronni chłopci, którzy w bezpośrednim starciu z silnymi fanatykami po prostu nie mają szans.

Wykrzesawszy z siebie resztki sił, rzucił się w desperackim ataku na najbliższego barbarzyńcę. Skoczył mu do nóg i ciał od dołu. Zanim mężczyzna zdążył sparować cios, padł na ziemię z rozplataną piersią. Kolejnego Dardan przeszył błyskawicznym sztychem, dziurawiąc mu brzuch. Natychmiast wyciągnął



miecz, z niemałym trudem patrząc, jak wnętrzności ugodzonego przez niego południowca wylewają się razem z krwią na trakt.

Zaskoczyło go uderzenie od tyłu, które sparował w ostatniej chwili, wyprowadzając kontruderzenie i odcinając komuś ramię. Po raz kolejny dostrzegł fanatyczny błysk w oczach umierającego nieprzyjaciela. Dardan robił, co mógł, zabijając coraz to nowych wojowników, jednak był już przez nich całkowicie otoczony. Wiedział, że nie będzie w stanie długo bronić się w ten sposób.

Odetchnął z ulgą, gdy kątem oka zobaczył, jak Kahaden rzuca się na biegnącego ku niemu napastnika i z impetem powala go na ziemię, kończąc dzieła poprzez wbicie mu miecza w pierś. Po drugiej stronie dostrzegł rosłego watażkę Ratta, który posturą nie ustępował południowcom, zaś walczył z jeszcze większą niż oni zawziętością. Pojawił się także Tymon Hłaz, ubrany w królewski kirys i wciąż dzierżący tarczę. Wyglądał niczym prawdziwy, regularny żołnierz, walcząc równie odważnie, co najbardziej elitarne jednostki Ruddabarda.

Dardana ucieszył ten widok. Musiał przyznać sam przed sobą, że do tej pory nie miał najlepszego zdania o tym człowieku. Poprzysiągł sobie, że jeśli przeżyją tę zawieruchę, pochwali jego męstwo i umiejętności. Do czwórki walczących dołączyła Kaja, która jak zwykle pojawiła się znikąd, wywijając krótkimi sztyletami, które w jej rękach sprawiały wrażenie najbardziej śmiertelnej broni. Wiła się niczym wąż, uskakując przed kolejnymi ciosami i wyprowadzając precyzyjne cięcia, które rozcinały wrogom tętnice.

Pomoc towarzyszy dodała Dardanowi nowych sił. Miecz nie ciążył już tak bardzo i znów mógł z jego pomocą kłaść kolejnych przeciwników. Wsparcie, które otrzymał, rozпалиło w nim żądzę, jakiej nie czuł nigdy dotąd. Wpadł w szal bitewny i nie myśląc o niczym, ciął nieprzyjaciela, gdzie popadło. Żaden z jego wrogów nie był bezpieczny. De Brandt wykorzystywał każdy błąd, każdą opuszczoną gardę i odsłonięty skrawek ciała, by zadać śmiertelne uderzenie. Południowcy padali jak muchy, zaś wokół walczących rósł stos zakrwawionych ciał.

Wtem z majdanu dobiegły ich niepokojące odgłosy. Krzyki połączone ze szczękami stali i łamanymi drzewcami.

– Podeszli z drugiej strony! – krzyknął Kahaden.

Dardanem kierował impuls. Obejrzał się za siebie, by przekonać się, jak poważna jest sytuacja. Ta chwila zawahania wystarczyła, by stracił czujność. Poczul uderzenie w lewej łopatce. Był cały sparaliżowany. Chciał ruszyć ręką, obrócić się, ale nie mógł. Nie czuł bólu, jedynie opuszczającą jego ciało życiową energię. Osunął się na kolana i stracił przytomność.

\*\*\*

Dwie potężnie zbudowane, zakapturzone postacie ciągnęły młodą dziewczynę przez korytarz. Drobną blondynką była półprzytomna i zamiatała nogami po podłodze, zaś głowa leciała jej na wszystkie strony. Wyglądała, jakby ją czymś otruto. Jej na wpół zmrużone oczy patrzyły beznamiętnie w dal.

Rozpoznał ją. Chciał krzyknąć, pobiec ku niej, ale nie mógł się ruszyć. Przykute do ściany łańcuchy skutecznie powstrzymywały jego kończyny. Szarpał się, ale to nic nie dawało.

Vadienne... Co oni jej robią? Dlaczego?

Mężczyźni wlekli dziewczynę do czegoś, co stało w środku sali, na podwyższeniu. Nad okrągłym kształtem unosił się gęsty dym. Do jego nozdrzy dotarł zapach siarki. To był... Kocioł?!

Spalą ją! Spalą ją żywcem!

Bezradność była dla niego najgorszą męczarnią. Nie mógł w żaden sposób przyjść jej z pomocą.

Zakapturzeni mężczyźni rzucili dziewczynę przed kotłem, wprost pod nogi trzeciej postaci. Łysy, wytatuowany na czarno człowiek patrzył na nią, nie zdradzając żadnych emocji. Jego twarz wydała się Dardanowi znajoma, jakby... jakby już ją gdzieś widział. Nie był jednak w stanie rozpoznać, kim była tajemnicza osoba.

Postać nachyliła się nad dziewczyną i złapała ją ręką za podbródek. Zaczęła szeptać coś pod nosem w niezrozumiałym języku. Wreszcie podniosła ją za szyję

silnym ruchem ręki i lada moment królowna znalazła się nad dymiącym kotłem.

Nie! – Chciał krzyknąć.

Nie mógł. Usta miał jakby zaszyte. Szarpnął po raz kolejny łańcuchami, ale te ani drgnęły.

– Nie pomożesz jej – powiedziała postać, widząc szamoczącego się pod ścianą Dardana. – To musi się wypełnić. On musi przyjść.

Z kotła buchnęły ognie.

– Obudził się. – Usłyszał zachrypnięty głos, jakby z otchłani.

Natychmiast poczuł ból ogarniający całe jego ciało. Ktoś wbiegł do pomieszczenia, w którym leżał. Powieki były ciężkie, jakby z ołowiu, ale gdy wreszcie je podniósł, dostrzegł nachylającą się nad nim Kaję.

– Żyjesz – stwierdziła, ale jej głos był pozbawiony entuzjazmu.

Dardan chciał odpowiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Wyjdzie z tego. Muszę iść do innych – powiedział wyjątkowo oschle stojący obok znachor, po czym się oddalił.

Kaja patrzyła na de Brandta. Jej wzrok zdradzał mieszane uczucia. Dardan nie wiedział, co o tym myśleć. Udało mu się wyszeptać pierwsze słowa.

– Wygraliśmy?

Kobieta przełknęła ślinę. Z jej policzka popłynęła łza. Pokiwała tylko nieznacznie głową.

– Odpocznij. Nabierz sił. Będziesz ich potrzebować.

Dardana zaniepokoiły te słowa, ale nie miał siły na dalszą rozmowę. Ponownie zamknął powieki i natychmiast zasnął.

\*\*\*

Wiążownica się obroniła. Atak został odparty i wszyscy napastnicy zabici. Niestety cena, którą mieszkańcy zapłacili za ten heroiczny czyn, była okrutnie wysoka. Dardan wyszedł na zewnątrz, gdy tylko nabrał więcej sił. Bark i plecy bolały go potwornie, jednak znachor zrobił dobrą robotę i obiecał, że jeśli mężczyzna nie

będzie robił nerwowych ruchów, rana powinna zagoić się w ciągu kilku dni. Miał szczęście, że cios, który otrzymał, nie trafił w żadne ważniejsze organy, nie uszkodził płuc i nie połamał kości.

Oparł się o futrynę chaty, w której go leczono, i patrzył na przerażający krajobraz. Nad wsią wciąż unosił się dym. Choć pożar był już ugaszony, większość budynków spaliła się doszczętnie. Na ulicach leżały stosy ciał, nie dało się nimi praktycznie przejść bez natknięcia się na czyjeś zwłoki. Zdecydowana większość z nich należała do armii nieprzyjaciela, lecz niestety gros ciał to byli mieszkańcy Wiązownicy i Truden. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Dardan dostrzegł także kilku swoich żołnierzy oraz ludzi Ratta.

Kaja stanęła obok, z rękami założonymi na piersi. Minę miała nietęgą.

– Jak to wygląda? – spytał Dardan.

– Tak jak widzisz... niestety. Odparliśmy wroga, ale niewielu przeżyło. Kobiety straciły mężów, braci, synów...

– Ilu zostało?

– Trzydzieści, może czterdzieści osób, głównie kobiety, dzieci i starcy. Część twojego oddziału, Tymon Hłaz i Ratto z garstką ludzi.

– To znaczy...

– To znaczy, że większość poległa, Dardanie. Wieś jest niemal całkowicie zniszczona. Ostało się zaledwie kilka chat...

De Brandt westchnął. Przejechał dłonią po twarzy, jakby chciał coś w nią wetrzeć. Głowa znów zaczęła pulsować nieznośnym bólem.

– Nie to jest najgorsze – ciągnęła Kaja.

Spojrzał na nią z niepokojem. Bał się tego, co za chwilę usłyszy.

– Ci, którzy przeżyli, żałują... Żałują tego, że nie uciekli, że nie schowali się gdzieś w stepie. Żałują, że w ogóle stanęli do walki.

– W stepie? – zaczął Dardan. – Przecież...

– Wiem. Nie mieliby szans. Ale oni nie myślą teraz logicznie. Czują ogromny ból po stracie bliskich. Ci, którzy przeżyli, stracili niemal wszystko. Oni... – Kaja

spuściła wzrok, jakby nie będąc pewną, czy chce mu to powiedzieć. – Oni obwiniają ciebie, Dardanie.

Przeczuwał najgorsze i się nie pomylił. Był pewien, że właśnie to mu powie. Mimo to, gdy faktycznie usłyszał te słowa, spadły na niego niczym cios obuchem w głowę. Walczył ze sobą, by nie zwymiotować.

– Dardanie, to...

– Cii... – uciszył ją, przykładając palec do ust. – Nie mów nic, proszę.

Kaja zamilkła.

Ruszył wolnym krokiem w stronę rzeki, która otaczała Wiązownicę od północno-zachodniej strony. Szedł wolno, ledwo trzymając się na nogach. Gdy wreszcie doczłapał do strumyka, usiadł nad nim z wielkim trudem. Starał się nie myśleć, nie rozważać. Siedział tylko i patrzył na wodę.

\*\*\*

Jeźdźcy odjeżdżali w milczeniu. Panowała grobowa atmosfera. Nikt nikogo nie żegnał, z nikim nie rozmawiał. Kobiety nie machały chusteczkami, dzieci nie podbiegały do koni. Niczym w niemym teatrze, w którym akurat odtwarzany jest żałobny dramat. Nawet zwierzęta powstrzymywały się od parskania. Słyszać było jedynie stukot kopyt po spływającym krwią trakcie.

Mieszkańcy Wiązownicy stali w bezruchu i tępyimi spojrzeniami odprowadzali kierujący się na północ oddział. Po kilku policzkach spłynęły łzy. Słońce zachodziło, otulając czerwoną łuną step, zagajnik i chwiejące się na wietrze wiązy.

## ROZDZIAŁ 8

– Jak się czujesz? – zapytała Kaja, dosiadając się do niego przy ognisku.

Polana skwierczała żwawo, dostarczając obozującym ciepła i rozświetlając mroki nocy. Większość członków oddziału spała, dwóch ludzi Ratta stało na warcie, pilnując jednocześnie koni. Tymon Hłaz chrapał tuż obok obracającego się nerwowo z boku na bok Kahadena. Dardan dłubał nożem w ziemi obok paleniska. Nie podniósł wzroku, nawet gdy usiadła obok i dotknęła delikatnie jego ramienia, gładząc je powoli.

– A jak mam się czuć? – spytał beznamiętnie i wzruszył ramionami.

– Rana się goi?

– Nie wiem. Nic już nie czuję.

– Dardan...

– Proszę cię, Kaja. Nie zaczynaj.

– Muszę. – Kobieta była nieugięta. – Nie możesz się dłużej zamartwiać. Rozmawiałam z Tymonem, z Ratem i Kahadenem. Wszyscy są zgodni, że trzeba było bronić Wiązownicy. To była słuszna decyzja. Chłopi przecież sami chcieli...

– Wiem o tym. Jestem żołnierzem. Wiem, że w stepie nie mielibyśmy szans, a dogoniliby nas prędzej czy później. Ale czy to coś zmienia? Oni zginęli, Kaja. Prawie wszyscy. Kobiety zostały bez mężów. Dzieci bez ojców. Ich domy spłonęły...

– Domy można odbudować. Zapasy zebrać na nowo...

– Kto jak kto, ale ty powinnaś najlepiej wiedzieć, co czują ci ludzie.

– Tak. I ty o tym wiesz. Straciłeś przecież ojca. Oboje kogoś za to obwiniamy i pragniemy zemsty. Ale to nie ty na nich napadłeś. To nie twoja wina. Nikt inny

nie poprowadziłby tej obrony lepiej... Gdyby nie ty, najpewniej wszyscy by zginęli. Co do jednego.

– Wszystko, co mówisz, jest logiczne. Gdybyśmy byli na uczciwej rozprawie sądowej, pewnie nikt by nie protestował... – Dardan rozmasował bark, w którym odezwał się tępy ból. – Ale nie mogę przestać o tym myśleć. Wiem, że niczego nie zrobiłbym lepiej, ale może... może trzeba było ich zostawić? Pozwolić im decydować o własnym losie?

– Dardan, do cholery! – prawie krzyknęła Kaja, ale natychmiast speszyła się i ściszyła głos w obawie, że pobudzi towarzyszy. – Przewodzenie ludziom nie składa się jedynie z łatwych decyzji. Ta była cholernie trudna. Współczuję ci, że musiałeś ją podjąć, ale uważam, że nie można było postąpić inaczej.

Spojrzał na nią i pokiwał lekko głową.

\*\*\*

Jechali z wolna przez step w kierunku północnym. Dardan nie miał planu. Nie wiedział, dokąd ma podążać ani w jakim celu. Ruszył na północ, w stronę Vorenau, gdyż na wszystkich innych kierunkach należało się spodziewać barbarzyńskich grup. Jechali trzeci dzień. Nikt nie zadawał pytań. Żołnierze podążali za Dardanem, bo wierzyli w niego i mieli nadzieję, że wreszcie znajdzie dla nich nowy cel. A może po prostu nie mieli pojęcia, co ze sobą zrobić w tych trudnych czasach? W kupie było jednak różniej.

Nowy oddział składał się z kilkunastu starych kompanów Dardana, Tymona Hłaza z dwójką strażników oraz dziesięciu ludzi Ratta. Garstka, niezdolna do rozbijania większych grup fanatyków.

Tymon Hłaz zasugerował de Brandtowi udanie się do drugiej najbliższej stacji granicznej w nadziei, że ta jeszcze stoi.

– Można by się tam zaszyć na jakiś czas – mówił strażnik. – Siły zebrać. Zjeść, wypić i wyspać się porządnie. A potem się zobaczy.

Dardan nie odpowiadał. Kiwał jedynie głową, dając do zrozumienia, że rozważy tę propozycję, choć doskonale wiedział, że nie ma zamiaru bratać się z królewskim wojskiem. Co innego Tymon, który sam zwrócił się do niego o pomoc, a potem walczył z nim ramię w ramię, a co innego pukanie do wrót stancy i proszenie o pozwolenie na wjazd. Tego de Brandt robić nie zamierzał, choćby się waliło i paliło.

Jadący na przedzie Kahaden podniósł nagle zaciśniętą pięść na wysokość głowy. Wszyscy zwolnili i mimowolnie położyli dłonie na rękojeściach mieczy. Dardan wyteżył wzrok i dostrzegł powód, dla którego towarzysze ich zatrzymał. Zza horyzontu, na oddalonym o kilkaset metrów wzgórzu, zaczęły majaczyć kształty jeźdźców.

Oddział Dardana zatrzymał się, nie wiedząc, co robić. Żołnierze spoglądali w stronę swojego dowódcy, oczekując na rozkazy. De Brandt patrzył przed siebie, próbując zrozumieć, z kim ma do czynienia. Był niemal pewien, że dzicy najeźdźcy z południa nie poruszają się konno, a już na pewno nie w tak wielkich grupach. Przed nimi znajdowała się bowiem co najmniej setka konnych. Kto wie, ilu było za wzgórzem? Nie mieli chorągwi, trudno też było rozpoznać ich po uzbrojeniu. W dodatku kawaleria nie ułatwiała im zadania, gdyż zatrzymała się na wzgórzu, nie idąc dalej w ich stronę.

– Idą od północy. Od Vorenau – stwierdził oczywisty fakt Kahaden.

– Królewscy? – zainteresowała się Kaja. – Tutaj?

– Patrzcie! – Ratto wskazał ręką na samotnego jeźdźca, który wysunął się na przód i zjeżdżał ze wzgórza w ich kierunku.

– To... – Dardan się zająknął. Modlił się, żeby wzrok go nie mylił.

– Jarmos! – krzyknął Kahaden. Spiął konia i ruszył w jego stronę.

De Brandt pognał za nim.

Zbliżywszy się do niego, zauważyli, że ich przyjaciel ma nietęgą minę. Dardan poprzysiągłby, że towarzysze postarzał się o dobre kilka lat, choć minęło zaledwie kilka tygodni od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni.



– Druhu – powiedział i zsiadł z konia.

Gdy Jarmos zrobił to samo, przywitali się braterskim uściskiem. Kahaden również rzucił mu się w ramiona.

– Czyżbyś miał nową kompanię? – spytał de Brandt, gdy skończyli powitanie. Spojrzał na stojących nieopodal żołnierzy i zmarszczył brwi, dostrzegłszy barwy królewskiej armii.

Jarmos pokręcił głową.

– Dardan... – zaczął zmęczonym, zachrypniętym głosem. – To wszystko jest poważniejsze, niż myśleliśmy. Vorenau już nie ma.

Dowódca zmrużył oczy, robiąc zdziwioną minę.

– Jak to nie ma? O czym ty mówisz?!

– Armia Ruddabarda rozbita. Stolica stoi w ogniu, podobnie jak miasta i wsie. Szlachta wybita albo uciekła. Najbogatsze rody zostawiły dobytki i uszły z Vorenau. Biedniejsze zostały, by walczyć, ale większość zostało wybitych do cna. Królestwo upadło, rozumiesz?

– Uspokój się. Weź głęboki oddech i opowiedz wszystko po kolei. Jak to Vorenau już nie ma? To niemożliwe, żeby królewskie wojsko zostało pokonane przez garstkę obdartusów z południa. Dopiero co pobiliśmy ich oddział razem z grupą wieśniaków...

– Nic nie rozumiesz. – Głos Jarmosa się załamywał. – Te hordy, które grasują po stepie, to zaledwie odwody. Luźne bandy, które nie załapały się na główną inwazję. Potężna armia południowców zaatakowała od zachodu, od morza.

– Od morza? Jak to możliwe?!

– Nie wiem. Wszyscy byli zaskoczeni. Przyplłynęli statkami jeszcze zimą. Uderzyli na wszystkie porty. W kilka tygodni rozlali się po całym królestwie. Król zbierał swoje siły ponad miesiąc, by w końcu stanąć im naprzeciw. Doszło do potężnej bitwy. Takiej, jakiej Vorenau nie widziało od niepamiętnych czasów. Armie królestwa zostały zdziesiątkowane. Dowódcy zabici. Arystokraci, rycerze, kapłani tak samo. Sam król zdołał zbiec i uciekł ku góróm. Ukrył się tam razem

z garstką żołnierzy i okolicznymi mieszkańcami. Ludność Vorenau jest teraz mordowana przez najeźdźców. Chodzą od miasta do miasta. Od wsi do wsi. Wyrzynają wszystkich. To jedna wielka rzeź.

Dardanowi mocniej zabiło serce. Nie miał powodu, by nie wierzyć swojemu przyjacielowi, jednak to, co usłyszał, przekraczało granice jego pojmowania. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak hordy dzikusów z południa byłyby zdolne do dokonania takiej inwazji. Czym innym było atakowanie małych wiosek na pograniczu, a czym innym zdobywanie miast i wygrywanie bitew z regularną królewską armią. Ktoś musiał nimi dowodzić. Ktoś musiał zapewniać im zaopatrzenie, broń lepszą niż sierpy i czekany. Pokręcił głową. Musiał to przetrwać. Jarmos będzie musiał wyjaśnić mu to wszystko w szczegółach.

– Skąd to wiesz?

– Widziałem płonące osady. Widziałem trupy i spaloną ziemię – odpowiedział przyjaciel. – Gdy przemierzałem spustoszoną część kraju, natknąłem się na nich. – Wskazał ręką za siebie.

Wciąż czekający w milczeniu konni stali spokojnie. Na ich twarzach widać było potworne zmęczenie przemieszane z jakimś absolutnym poczuciem beznadziei, zupełnie jakby odór klęski i śmierci roztaczał się wokół nich.

– Dokąd zmierzają? – spytał Kahaden.

– Próbują przedostać się na wschód. Do króla. Główne trakty są opanowane przez Czarnych, więc musieli wycofać się aż tutaj, na pogranicze.

– Czarnych?

– Tak w Vorenau mówi się na najeźdźców. Od tatuaży, którymi pokryte są ich twarze.

– Pozwól mi z nimi pomówić.

Jarmos kiwnął głową i zachęcił jednego z żołnierzy, aby zsiadł z konia i podszedł do nich. Wysoki, chudy mężczyzna zbliżył się niepewnym krokiem. Nie wyglądał jak dumny, królewski żołnierz. Przypominał raczej zmęczonego życiem weterana.

– Witaj, panie – powiedział niskim głosem.

– Kto jesteś? – zapytał Dardan.

– Amon Kazad. Setnik armii króla Ruddabarda IV. Walczyłem na Szarych Polach. Polegliśmy.

– To twój oddział?

– Część, panie. Reszta to niedobitki. Zadaliśmy wrogom ciężkie straty. Nie byli w stanie wybić nas wszystkich, więc udało nam się wycofać. Teraz próbujemy przedostać się do króla. – Wskazał z szacunkiem na stojącego obok towarzysza Dardana. – Obecny tu Jarmos zapewnił nas, że będziecie w stanie nam pomóc. Ponoć znacie step jak mało kto...

De Brandt spojrział na Jarmosa i skrzywił się. Następnie zbliżył się do żołnierza i przez dłuższą chwilę wpatrywał mu się głęboko w oczy. Nie było to proste, gdyż wojownik był od niego o głowę wyższy. Nie okazał jednak ani braku szacunku, ani wyniosłości. Dardan uznał to za dobrą monetę.

– Wiesz, kim jestem?

– Wiem, panie. Jesteście Dardan de Brandt. Dziedzic rodu – powiedział bez cienia wzgardy żołnierz. W jego głosie dało się nawet wyczuć pewien szacunek, z jakim wypowiedział nazwisko Dardana.

Młody dowódca zmierzył go wzrokiem. Nie kojarzył go z odpraw, na które zdarzało mu się jeździć do królewskiego garnizonu. Nie przypominał sobie także spotkania z tym człowiekiem przy okazji pamiętnej uczyty w stolicy. Pamiętał jednak, że jego ród nie był przecież anonimowy w królestwie i być może wciąż było tam wiele osób, które pamiętały historyczne zasługi de Brandtów dla Vorenau.

– Wiesz pewnie, że zostałem wygnany z kraju pod groźbą szafotu, jeśli wrócę...

– Nie umknęło to mojej uwadze, panie – odparł spokojnie wojownik. – Ale teraz jest wojna. Państwo istnieje jeszcze tylko dzięki królowi, który schronił się w górach. Nikt nie będzie rozpamiętywał rodowych sporów.

– Rodowych sporów?! – powiedział Dardan podniesionym głosem. – Rodowych sporów... Słyszałeś, Jarmos? To był spór! Moją rodzinę oszukano i zdradzono. Mój ojciec został oskarżony o coś, czego nie zrobił, a ja z pewnością nie brałem w tym żadnego udziału! Mimo to odebrano mi moje dziedzictwo i zmuszono do ucieczki z kraju! Tak według ciebie wygląda rodowy spór? – Ostatnie słowa niemal wykrzyczał w stronę zdezorientowanego rycerza.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. Dardanowi dojście do siebie chwilę zajęło. Po kilku głębszych oddechach musiał przyznać sam przed sobą, że niepotrzebnie wyżył się na człowieku, który najpewniej w żaden sposób nie przyczynił się do jego krzywdy. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

– Wysłucham cię – odburknął. – Rozbijmy tu obóz. Noc się zbliża. – Ostatnie słowa skierował do swoich ludzi, którzy zsiadli z koni i zabrali się do pracy.

Niedługo potem wszyscy siedzieli przy ogniskach, zajadali się suszonym mięsem i popijali rozmaite trunki z podróżnych bukłaków. Konie parskały wesoło i nakryte derkami co raz nachylały głowy do wypełnionych owsem worków. Słońce leniwie zachodziło nad stepem, zaś wokół słychać było śpiew cykad.

Dardan w milczeniu kończył posiłek, co jakiś czas zerkając na Kaję, która nie odzywała się ani słowem. Starał się na razie odpychać od siebie myśl, że kobieta najpewniej nie będzie zadowolona z decyzji, którą od niego usłyszy. A decyzja mogła być tylko jedna.

– Rozumiem, że musicie jechać do króla – zwrócił się wreszcie w stronę wysokiego mężczyzny siedzącego po drugiej stronie ogniska. – Wskażemy wam drogę przez step. Oby była bezpieczna.

– Nie pojedziecie z nami, panie? – spytał zawiedziony Amon Kazad.

Dardan pokręcił głową.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Dokąd zatem... – zaczął żołnierz, ale de Brandt natychmiast mu przerwał.

– To moja sprawa. O świcie wyruszymy. Poprowadzimy was do wschodniego traktu prowadzącego ku górą, a potem każdy pojedzie w swoją stronę.

– Ależ panie de Brandt, wszędzie grasują barbarzyńcy! Naszą jedyną szansą jest dotarcie do króla i...

– Twoją szansą, panie Amon. – Dardan spojrział na niego zza buchających płomieni. – Mnie król odebrał wszystko, co miałem. Nie widzę powodu, by teraz mu pomagać.

Mężczyzna się zasepił. Wyglądał na zawiedzionego, ale Dardan poprzysiągłby, że dostrzegł w jego twarzy także odrobinę zrozumienia. Pozostali się nie odzywali. Towarzysze de Brandta wiedzieli, że nie zmienią jego decyzji. Miał jedynie nadzieję, że nie opuszczą go teraz, kiedy naprawdę ich potrzebował.

\*\*\*

Rano jeźdźcy zebrali swój dobytek i przysypali piaskiem dogasające ogniska. Ruszyli w stronę wschodzącego słońca. Gdy w południe dotarli do wydeptanej ścieżki, Dardan zwrócił się do Amona.

– Odtąd droga prowadzi już prosto w stronę górskiej stolicy granicznej. Jeśli nie będziecie mitrzyć, dotrzecie tam za cztery dni.

Żołnierz milczał jakiś czas, wpatrując się Dardanowi w oczy. Młodzieniec był pewien, że będzie próbował przekonać go do zmiany decyzji. Nie doczekał się. Wojownik skłonił się w siodle.

– Dziękuję, panie de Brandt. Obyśmy spotkali się w lepszych czasach.

– Obyś nie stał nade mną z katowskim mieczem – zażartował Dardan, jednak jego dowcip nie spotkał się z uśmiechem żołnierza.

Mężczyzna raz jeszcze się skłonił, po czym spiął konia i wysforował się na czoło własnej kolumny jeźdźców.

De Brandt obrócił się w stronę towarzyszy. Spojrzął kolejno na Jarmosa, Kahadena, Tymona Hłaza, Ratta i na końcu na Kaję.

– Jeśli chcecie, jeźdźcie z nim. Nie będę miał wam za złe.

– Co zamierzasz? – spytał Ratto.

Dardan westchnął. Spodziewał się, że to, co zaraz powie, nie spotka się ze zrozumieniem towarzyszy. Nie oczekiwał tego.

– Zamierzam udać się do swojej posiadłości. Chcę zobaczyć, czy cokolwiek z niej zostało.

– Chcesz wrócić do Vorenau? – zdziwił się Kahaden.

– Słyszałeś. Nikt nie pamięta teraz o rodowych sporach... – Dardan wzruszył ramionami z uśmiechem. – Być może to szaleństwo, ale decyzję już podjąłem. Oddział uważam za rozwiązany. Nie służycie mi już. Możecie udać się, gdzie wola.

Wszyscy milczeli. Nikt poza Kają na niego nie patrzył. Wreszcie odezwał się Tymon Hłaz.

– Za pozwoleniem, panie Dardanie. – Zbliżył się do niego na swoim karym ogierze. – Wiele razem przeszliśmy. Ogromnym honorem było dla mnie walczyć u twego boku. To, co zrobiłeś dla tych wieśniaków, zasługuje na najwyższe uznanie.

Dardan kiwnął głową z wdzięcznością. Serce jednak zakłuło go, gdy przypomniał sobie o martwych mieszkańcach Więzownicy.

– Nic dotąd nie zwolniło mnie z przysięgi, którą złożyłem Vorenau. Nadal jestem strażnikiem. Teraz, gdy wiem, gdzie znajduje się król, moim obowiązkiem jest wrócić do niego.

– Rozumiem cię, Tymonie – odparł szczerze Dardan. – Słusznie czynisz. Przysięga to święta rzecz. Cieszę się, że mogłem mieć cię u swojego boku.

Uścisnęli prawice i Tymon Hłaz, wraz z dwoma pozostałymi przy życiu strażnikami, pożegnał się z resztą oddziału i ruszył za oddalającą się królewską konnicą. Dardan odprowadził go wzrokiem, po czym znów zwrócił się w stronę pozostałych towarzyszy, jakby czekając na kolejne pożegnania. Zauważywszy to, Ratto przemówił jako pierwszy.

– A co mi tam. I tak nie mam dokąd się udać. Jeśli pozwolisz, wraz z moimi ludźmi chcielibyśmy towarzyszyć ci w podróży.

Dardan uśmiechnął się i skinął pokornie głową w stronę watażki.

– Jeździłem z tobą od dzieciaka – odezwał się Jarmos. – Jakkolwiek nie rozumiem do końca powodów, dla których chcesz wrócić do kraju, nie opuszczę cię.

– Dziękuję, przyjacielu. – Dardan posłał mu szczery uśmiech.

Spojrzał na Kahadena. Ten wzruszył ramionami.

– Naprawdę musisz pytać?

Wszyscy zwrócili oczy ku Kai. Ta jednak wciąż milczała, patrząc w dal.

– Kaja? – ponaglił ją Dardan.

Kobieta spojrzała na niego. Nie był w stanie odczytać jej myśli ani nastroju. Przerazało go to. Najwyraźniej wyczuła, że oczekuje od niej jakiejś reakcji, westchnęła więc i powiedziała.

– Głupiś jak koza. Ktoś musi cię pilnować...

Odetchnął z ulgą.

Reszta oddziału ani myślała opuszczać swego dowódcę, dlatego też nie czekając dłużej, zawrócili konie i ruszyli na północ.

\*\*\*

Oddział poruszał się umiarkowanym kłusem, ponieważ teren zaczął robić się nierówny. Noc spędzili w stepie, a kolejnego dnia około południa dotarli do niewielkiej dolinki w dorzeczu rzeki granicznej z Vorenau. W dolinie zbudowane było niewielkie gospodarstwo, obok niego zaś karczma dla podróżnych. W zależności od perspektywy była to ostatnia karczma na pograniczu lub pierwsza poza królestwem. Gdy z oddali dostrzegli zabudowania, Dardana nawiedziły ponure myśli. Bał się, że kiedy dotrą na miejsce, zastaną tam wojenny krajobraz, jaki już nieraz zdarzało im się widywać. Odetchnął z ulgą, gdy ujrzał ruch pomiędzy budynkami.

Zabudowania były nienaruszone. W obejściu nie było widać śladu walk, za całość zdawała się tętnić życiem. Gospodarz, który wraz z synami uprawiał ziemię i prowadził karczmę, doglądał właśnie zwierząt. Jego dzieci bawiły się, biegając

wokół studni, podczas gdy żona wraz z córką robiły pranie w bali ustawionej przed domem. Przyjazd kilkudziesięciu jeźdźców zwrócił ich uwagę, lecz nie przeraził. Dardan był zaskoczony tak spokojną reakcją miejscowych. Poleciał swoim ludziom poczekać w bezpiecznej odległości, sam zaś zsiadł z konia i ruszył wolnym krokiem w stronę chłopca, wcześniej odpinając od pasa miecz.

– Bądź pozdrowiony, gospodarzu.

Mężczyzna przerwał dosypywanie paszy świniom i odwrócił się w jego stronę.

– Witaj, panie. Co sprowadza cię w moje skromne progi?

– Podróż. Na północ.

– Na północ... – Gospodarz zamyślił się, jakby zastanawiając się, co konkretnie leży na północy. – Znaczy się do królestwa? – Najwyraźniej sobie przypomniał.

– Tak jest.

– A to niedobrze. Tam ponoć wojna.

– Czyli słyszałeś?

Dardan się zdziwił. Do tej pory przypuszczał, że gospodarz żyje w błogiej nieświadomości tego, co dzieje się wokół.

– Pewno, żem słyszał. Odwiedzają mnie co chwilę jacyś wojacy. Uciekają na pogranicze albo na wschód jadą, ku górcom. Ale żeby na północ, to jeszcze nikt się nie trafił.

– A nie boisz się?

– A czego?

– Jak sam mówiłeś, trwa wojna. Vorenau najechali barbarzyńcy z południa. Nie boisz się, że przyjdą do ciebie?

– A niech przychodzą. – Wzruszył ramionami gospodarz. – Ja tu spokojne życie prowadzę. Wszystkich, co przychodzą, goszczę w karczmie jadłem i winem. – Wskazał ręką na stojący obok budynek. – A jak kto gościny nie umie uszanować, to z synkami mamy żelazo pod ręką. – Chłop wypiął dumnie pierś do przodu i się uśmiechnął. – A ciebie, panie? Ugościć trzeba czy żelazem przywitać?



Dardan nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Prędko zamilkł jednak w obawie, że obrazi tego sympatycznego, acz najwyraźniej naiwnego człowieka.

– Wybaczcie, gospodarzu – rzekł. – Miło dla odmiany spotkać tak pozytywną postać na swojej drodze. Jeśli wola, chętnie zatrzymamy się w twojej karczmie i odpoczniemy. Zapłacimy oczywiście.

Chłop machnął ręką, sugerując, że nie przejmuje się zbytnio tym, czy zapłaca, czy nie.

– Zaproś więc, panie, swoich ludzi. Konie niech zostawią o tam. – Wskazał dłonią rozległą polanę za stodołą. – Idźcie do środka. Zaraz do was przyjdziemy.

Niedługo potem wszyscy członkowie oddziału Dardana siedzieli przy długich drewnianych stołach ustawionych wokół kamiennego paleniska, na którym wesoło skwierczały kiełbasy i udźce. Dardanowi przypomniało się podobne palenisko w jego własnej rezydencji. Zastanawiał się, czy ta jeszcze istnieje...

– Mają rozmach – powiedział Kahaden, gdy żona i córki gospodarza zaczęły wnosić półmiski pełne świeżo przygotowanego jedzenia.

Pieczone udźce, szynki, dziczyzna, kosze warzyw i owoców, deski serów oraz pełne dzbany wina. Oddział liczył ponad trzydzieści osób, mimo to stawy było dość, by wszyscy najedli się do syta. Rozpoczęła się uczta. Wygłodniali żołnierze od razu zabrali się do spożywania. Jedli łapczywie, najadając się jakby na zapas. Wino strumieniami lało się do glinianych pucharów.

Tak hojne przywitanie przez miejscowych wprowadziło żołnierzy w dobry nastrój i pozwoliło im rozluźnić się po podróży, a także na chwilę zapomnieć o tragicznych wydarzeniach minionych tygodni. Dardan zastanawiał się, jak to możliwe, że gospodarstwo, które odwiedzili, jest w tak dobrym stanie. Wyglądało na to, że szalejąca wszędzie wokół wojna ominęła je szerokim łukiem. Wolał jednak się tym nie przejmować, choć przez chwilę skorzystać z dobrodziejstw chwili i odpocząć.

Nie zauważył nawet, gdy zrobiło się ciemno, a watażka Ratto gdzieś zniknął. Dardan spotkał go jakiś czas później, gdy wyszedł z karczmy za potrzebą.

– Ratto? Co ty tu robisz? – zapytał, próbując ukryć fakt, że wystraszył się, gdy dostrzegł nagle wyłaniającą się z mroku sylwetkę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Co się stało?

– Miałem całkiem ciekawą rozmowę...

– Z kim?

– Z jednym z synów tutejszego gospodarza. Chłopak jest dorosły, ale zachowuje się, jakby był dzieckiem. Nie do końca rozumie, co mówi. Ale też... – Ratto zamyślił się przez chwilę. – Chyba nie do końca wie, kiedy powinien trzymać język za zębami.

– Nic z tego nie rozumiem. Chodź, siądziemy za stołem, opowiesz mi wszystko przy winie – zachęcił go de Brandt, ale brodaty mężczyzna pokręcił głową.

– Najpierw ty chodź ze mną. Powinieneś usłyszeć to, co ja.

\*\*\*

– Co, do cholery?! – zapytał Dardan, gdy weszli do stodoły oświetlonej jedynie słabym światłem wiszącej na ścianie pochodni.

Dwóch ludzi Ratta pilnowało niepełnosprawnego chłopaka. Siedział na krześle i rozglądał się z niepokojem dookoła. Dardan skarcił swojego towarzysza.

– Co ty, do kurwy nędzy, robisz? Nie jesteś już grasantem, pamiętasz? Dobrowolnie przystałeś do mojego oddziału...

Ratto machnął lekceważąco ręką.

– Daj spokój. Posłuchaj go.

Jeden z pilnujących szturchnął chłopaka. Ten skulił się na stołku.

– Powtórz to, co nam – poinstruował Ratto.

– Widziałem. Widziałem ich – wyjąkał syn gospodarza.

– Kogo widziałeś?

– D... demony – powiedział i złapał się za głowę.

– Mów dalej.

– Nie chcę! – jęczał chłopak.

Jeden z ludzi Ratto zamachnął się na niego pięścią.

– Dość! – powstrzymał go Dardan. – Nie jesteśmy bandytami. O co tutaj chodzi? – Spojrzał wymownie na watażkę.

– Ten dzieciak twierdzi, że jakiś czas temu mieli w gospodarstwie uzbrojonych gości z wytatuowanymi twarzami...

– Czarne twarze! Mieli czarne twarze! – krzyknął niepełnosprawny.

Dardan zaklął pod nosem.

– Nasz gospodarz chyba nie powiedział nam wszystkiego... – dokończył Ratto.

De Brandt zacisnął zęby i pokiwał głową.

– Masz rację. Chyba musimy z nim to wyjaśnić.

\*\*\*

Mężczyzna zostawił sobie rąbanie drewna na koniec dnia. Najwyraźniej lubił tę czynność i był w niej całkiem dobry, skoro mimo późnej pory i przy ledwo oświetlających plac płomieniach pochodni trafiał bezbłędnie w kolejne kawałki pociętego drzewa. Na widok zmierzających w jego stronę żołnierzy przerwał pracę. Nie odłożył jednak siekiery.

– Panie gospodarzu, możemy na słowo? – zapytał Dardan, idąc pewnym krokiem w jego stronę w towarzystwie Ratta i dwóch jego ludzi.

– Mówcie mi Jork – odparł chłop i skrzyżował ręce na piersi, zaczepiając policzek siekiery na ramieniu.

– Chyba nie powiedział nam pan wszystkiego, panie Jork – odezwał się niezbyt przyjaznym głosem Dardan.

Gospodarz uniósł brwi i spojrzał na niego podejrzliwie.

– Co masz na myśli, panie żołnierzu?

– Powiedział nam pan, że wojna do pana nie dotarła. Tymczasem zdaje się, że miał pan ostatnio bardzo ciekawych gości...

– A to jakich?

– Takich, co to noszą sierpy u pasa i malują twarze na czarno.

Jork wzdrygnął się. Wyraz jego twarzy zdradzał zaniepokojenie.

– Skąd o tym wiecie? – syknął.

– Ucieliśmy sobie pogawędkę z jednym z twoich synów – odpowiedział bezpardonowo Ratto.

– Jakim prawem niepokoiacie moich synów? – zapytał zdecydowanie głośniej, niż powinien, Jork.

Dardan szybko zdał sobie sprawę, że chłop zrobił to celowo, by usłyszeli go pozostali synowie przebywający na terenie gospodarstwa. Ludzie Ratta chyba także się zorientowali, bo ich dłonie z wolna przesunęły się w stronę przypiętych do pasów mieczy.

De Brandt podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Spokojnie. Nikogo nie niepokoiłiśmy i nie szukamy zwady. Ale musimy dopytać: dlaczego zataiłeś przed nami taką wizytę?

– A wy co? Królewskie wojsko? – spytał prześmiewczo Jork. – A nawet jeśli, tutaj król nie ma władzy. Jeśli w ogóle jeszcze ma ją gdziekolwiek...

– Widzę, że nie przepadasz za Ruddabardem. – Dardan nie dał się sprowokować. – Wierz mi, ja również. Ale ludzie, którzy cię odwiedzili, od tygodni mordują wszystkich, których spotkają na swojej drodze. Ciebie zaś zostawili w spokoju. Chcemy wiedzieć dlaczego.

Jork lustrował go wzrokiem. Wreszcie rozłożył ręce i odłożył siekiere.

– Nie ma potrzeby sięgać po broń – zwrócił się pojednawczo do drabów Ratta. – Powiem wam.

– Zamieniam się w słuch. – Dardan się nieco rozluźnił.

– Przyszli do mnie jakiś tydzień temu. Oddział, niewiele większy od waszego.

– Oddział? – spytał odruchowo de Brandt.

Nie spodziewał się po zwykłym chłopie wiedzy wojskowej, ale słowo „oddział” jakoś nie pasowało mu do luźnych band, które spotykali dotąd na pograniczu.

Nawet grupa, z którą mierzyli się w Więzownicy, nie przypominała organizacyjnie prawdziwej armii.

– Ano tak. Dowódcę mieli. To chyba oddział, nie?

Dardan i Ratto spojrzeli po sobie.

– Mieli dowódcę? Nie przesłyszeliśmy się? – dopytał Ratto.

– Głusi chyba nie jesteście. Był z nimi człowiek, który wydawał im rozkazy. A właściwie nawet nie musiał nic mówić. Wszyscy jakby czytali mu w myślach. Wystarczyło, że machnął głową, a wszyscy robili to, co chciał. No i wyglądał inaczej. Nie miał tatuaży. Ubrany był w długi czarny płaszcz z kapturem. Jak mnich jakiś. No i brody też nie miał.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak. Tylko on mówił w naszym języku. Właściwie to... – Jork zawahał się przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy na pewno powinien o wszystkim opowiadać swoim gościom. Widać było, że na samą myśl o rzeczonym dowódcy barbarzyńców czuje niepokój.

– Właściwie co? Mówże! – ponaglił go Ratto, ale Dardan uspokoił go groźnym spojrzeniem.

– No... On był taki jak my – kontynuował Jork. – Znaczy się... Wyglądał jak my i mówił nienagannie naszym językiem. Jego zachowanie, maniery. Musiał być z Vorenau.

Dardana zmroziło. Ta informacja wydała mu się nierealna, wyssana z palca. Nie miał jednak powodu nie wierzyć temu chłopu. Jaki miałby interes w tym, żeby wygadywać takie rzeczy? Nie spodziewał się także, by gospodarz był w stanie pomylić ludzi pochodzących z królestwa z tymi dzikusami, którzy przecież tak bardzo się od nich różnili.

– Jesteś pewien? – dopytał, licząc jednak na to, że może Jork się pomylił.

– Pewnie, że tak. Prowadzę zajazd. Mnóstwo ludzi przewija się przez moją karczmę. Po akcencie rozpoznaję prowincje królestwa i watażków z dalekiego

stepu. Tych z południa poznałem od razu. Dzikusy. Brodaci, twarze wymazane w jakieś wzory. Śmierdzący... Ale ten... O tak, on na pewno był z Vorenau.

– Niebywałe. – Ratto pokręcił z niedowierzaniem głową. – Po prostu niebywałe.

– Czego od ciebie chcieli? – zapytał Dardan.

– No... – Jork znów się zamyślił. – Odpocząć. Zjeść coś. Ubogo jedli, jak na takich wielkich drabów. Tylko skromne kawałki chleba i trochę sera. Nie chcieli mięsa.

– I tak po prostu się najedli i sobie poszli? – Powoli tracił nad sobą panowanie Ratto. – Przecież to jakiś absurd! Może jeszcze pomachali twojej żonie i córkom na do widzenia?

– Mówię, jak było! – niemal krzyknął Jork.

Dardan dostrzegł, że po czole spływa mu kropla potu.

– Nie denerwuj się. Po prostu widzieliśmy już wiele miejsc, które odwiedzali ludzie podobni tym, których niedawno gościłeś. Żadne z nich nie ocalało. Mieszkańcy na ogół byli wyrzynani w pień.

Jork się zasepił. Do kropel potu dołączyła łza. Potem pojawiły się kolejne.

– Mów! – krzyknął Ratto i Dardan musiał złapać go wpół i odciągnąć od chłopca, by watażka nie zrobił mu krzywdy.

– Zabrali moją córkę! – jęknął w końcu Jork i osunął się na kolana. – Powiedzieli, że zostawią w spokoju resztę rodziny, zostawią gospodarstwo, ale chcieli zabrać jedną z moich córek. Najstarszą. Kornelię.

Głos załamywał mu się, gdy wypowiadał ostatnie słowa. Sekundę później wielki, silny mężczyzna zaczął gorzko łkać.

– Demony.

Dardan wraz z towarzyszami odwrócili się nagle i wyteżyli wzrok. Z mroku wyłoniła się postać przygłupiego syna Jorka. Chłopak sprawiał jednak wrażenie, jakby nagle jego umysł rozwinął się o kilka lat. Patrzył prosto na Dardana i mówił głosem dorosłego mężczyzny, a nie niedojrzałego chłopca.

– Demony. One tam są. Czekaają na ciebie, Dardanie de Brandt. Czekaają, aż przyjdiesz i oddasz im pokłon. Strzeż się. Strzeż się wrogów, a jeszcze bardziej przyjaciół.

Chłopak mrugnął powiekami i znów zaczął rozglądać się tępo dookoła. Gdy zorientował się, gdzie jest, wyszczerzył zęby w stronę ojca, po czym wsadził sobie palec do nosa.

Ratto położył Dardanowi rękę na ramieniu.

– Myślę, że lepiej zrobimy, jeśli stąd pojedziemy – powiedział watażka, który już się całkiem uspokoił. Najwyraźniej wiadomość o tym, że gospodarz oddał własną córkę za spokój obiecany przez horde barbarzyńców, wstrząsnęła nawet nim.

Dowódca pokręcił głową.

– Nie. Zostaniemy do rana. Żołnierze muszą odpocząć.

## ROZDZIAŁ 9

– Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać – zagadnął go Jarmos, gdy zatrzymali się na krótki odpoczynek w połowie dnia.

Z gospodarstwa wyruszyli o świcie. Chłop zapakował im nieco prowiantu na drogę i pożegnał bez słowa. Jechali spokojnym tempem, aż słońce weszło na swoją najwyższą pozycję. W samo południe postanowili dać koniom odpocząć.

– O czym? – spytał Dardan, unikając spojrzenia przyjaciela.

– O tym gospodarzu. Twój nowy towarzysz Ratto opowiedział mi o wydarzeniach z poprzedniej nocy.

Dardan wciąż nie patrzył mu w oczy. Zajął się przygotowaniem owsa dla konia. Gry wrócił z torbą pełną paszy dla zwierzęcia, nie mógł już dłużej ignorować Jarmosa.

– Wszystko ci opowiedział?

– Wszystko.

– Więc już wiesz. Mają jakiegoś dowódcę z Vorenau.

– Kto to może być?

– Nie mam pojęcia... Z opisu chłopca nie dało się wywnioskować niczego przydatnego.

Jarmos westchnął i pokręcił głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Kto mógłby chcieć ściągać takie nieszczęście na swój kraj?

Dardan wzruszył ramionami.

– Król ma wielu wrogów...



– Zgoda. Ale oni zabijają wszystkich! Kobiety i dzieci... Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby takiego zagrożenia w swoim domu.

– Może nie ma rodziny? Może nie przewidział aż takiej brutalności najeźdźców?

Jarmos się zasepił. Widać było, że trudno mu przetrwać zasłyszane informacje.

– Coś jeszcze cię gryzie? – zauważył Dardan.

Znał swojego przyjaciela aż za dobrze.

– Ratto opowiedział mi jeszcze o tym chłopaku. Rozpoznał cię.

Dardan zagryzł wargę, nie odezwał się jednak.

– Nie mógł cię znać. Nigdy tu nie byliśmy. Jak to możliwe, że...

– Nie wiem! – przerwał mu de Brandt podniesionym głosem. Szybko się jednak uspokoił i wziął głęboki oddech. – Nie wiem, przyjacielu, naprawdę. Pojawia się zbyt wiele pytań.

Jarmos położył mu rękę na ramieniu.

– Domyślam się, co przeżywasz. Kaja opowiedziała mi o Więzownicy.

– Zostawmy to. Chcę jak najszybciej o tym zapomnieć.

– Nie możesz uciekać od tego, co się stało, Dardan.

De Brandt pokiwał głową.

– Nie uciekam. Wręcz przeciwnie. Wierz mi lub nie, ale chcę dopaść tych skurwysynów. Wygonić ich z mojego kraju. Nawet jeśli mnie z niego wygnano...

Jarmos ze zdumienia uniósł brwi. Była to pierwsza taka deklaracja, jaką usłyszał od przyjaciela. Uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem jeszcze, jak tego dokonam. Jakiś dziwny głos podpowiada mi, że musimy jechać do mojej dawnej posiadłości. Wierzę, że tam znajdziemy jakieś wskazówki.

Dardan podstawiał koniowi worek z owsem. Sam ruszył w stronę pobliskiego strumyka, chcąc napić się wody i odświeżyć. Zrobiwszy dwa kroki, zatrzymał się jednak i nie obracając się w stronę Jarmosa, zapytał.

– Mogę na ciebie liczyć?

Mężczyzna zakręcił wąsem.

– Zawsze.

\*\*\*

Niedługo potem przekroczyli granicę Vorenau i dalsza droga nie była już tak łatwa i przyjemna. Im bardziej zapędzali się w głąb królestwa, tym więcej mijali wioski, osady, pojedynczych gospodarstw i wszelkiej maści śladów ludzkiej obecności na tych terenach. Wszystko było martwe. Domy, chaty, stodoły i spichlerze były w całości lub częściowo spalone, nie nadawały się do zamieszkania. Nie było zresztą komu ich zamieszkać. Wszędzie wokół zabudowań ziemia usłana była stosami martwych ciał w różnym stopniu rozkładu. Niektóre z nich były nadpalone, inne całkowicie zwęglone. Z jednych sterczały różnego rodzaju drewniane pale, inne z kolei były rozczłonkowane.

Co jakiś czas odnajdowali ciała mężczyzn rozpostarte złowieszczą na drzewach i słupach z drogowskazami. Zdarzało się, że kobiety i dzieci z poderżniętymi gardłami przywiązane były do płotu niczym pęki marchwi. Ich ubrania były czerwone od krwi. Przy drogach pomiędzy wioskami znajdowali masowe groby. Wykopane wielkie doły w ziemi, w których złożone były zwłoki. Nad niektórymi unosił się dym. W każdym z takich miejsc smród gnijących ciał był nie do zniesienia. Konie parskały i przyspieszały tempa, jakby chcąc jak najszybciej uwolnić się od trupiego odoru.

– Myślicie, że ktoś ich tutaj przyniósł? – spytał Kahaden, gdy mijali kolejny z przydrożnych dołów.

Dardan, Kaja i Jarmos spojrzeli na niego wymownie. Nie usłyszawszy odpowiedzi, postanowił drażnić temat.

– Tak sobie myślę, że ci, którzy to zrobili, raczej nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby ściągnąć zwłoki w jedno miejsce. A jeśli nawet, to dlaczego ich nie zakopali?

– Kto w ogóle postępuje w ten sposób? – dołączyła do dyskusji Kaja.

– Nikt – odpowiedział Jarmos. – To nie są ludzie. To nie jest racjonalne. Ta ziemia nie będzie nadawała się do zamieszkania przez długi czas. Nic tu nie urośnie. – Wskazał ręką na zwęgloną wieś, wypalone trawy i przemieszane z krwią błoto, które jeszcze niedawno było pewnie polem.

– Musimy się dowiedzieć, kim są i po co tutaj przyszli.

– Albo raczej kto ich tu ściągnął... – zauważył Jarmos.

Dardan pokiwał głową. Podniósł dłoń do oczu, wpatrując się w zachodzące słońce.

– Przed nami przełęcz. Nie jest gęsto zaludniona. Powinniśmy tam znaleźć dość miejsca na odpoczynek. Do mojej posiadłości już niedaleko. Musimy bardziej uważać. Od jutra zaczniemy wysyłać zwiady.

Ruszyli dalej ku zachodowi.

\*\*\*

Przełęcz rzeczywiście była mniej zaludniona. Przez kolejne dni mijali jedynie pojedyncze chutory, chaty drwali i smolarnie. Wszystkie były wyludnione, choć niektóre z budynków zdawały się w dobrym stanie – były opuszczone, ale nie znajdowali wokół nich śladów rzezi. Wreszcie wjechali na rozległy płaskowyż, z którego rozciągał się widok na dolinę de Brandtów. Wokół rzadkich zagajników, stawów łownych i zagród dla zwierząt dostrzegli zabudowania posiadłości Dardana.

Dowódca odetchnął z ulgą, zobaczywszy, że przynajmniej zajmowane od pokoleń przez jego rodzinę budynki stoją nienaruszone. Nie umknęło to uwadze jego towarzyszy.

– Niezłą masz chatę, szefie – zauważył Ratto.

Dardan zignorował tę zaczepkę.

– Dziwne – powiedział Jarmos. – Wygląda, jakby wojna nie dotarła do posiadłości. Nie widać śladów walk, obejście jest zadbane. Brakuje wprawdzie ludzi i zwierząt...

– Może uciekli w góry, gdy dotarły do nich wieści o wojnie. – Kaja wpatrywała się w zabudowania.

– Co robimy? – zapytał Kahaden.

Dardan zamyślił się przez chwilę. Uwagi towarzyszy były zasadne. Posiadłość wyglądała na opuszczoną, ale wyraźnie ominęło ją najgorsze. Czy mieszkająca tu służba rzeczywiście zdążyła uciec do króla? Zaczął także zastanawiać się, co działo się z jego domem, gdy on sam został wygnany z królestwa. Był przekonany, że wierny sługa i przyjaciel Galius zaopiekował się majątkiem, być może w nadziei, że prawowity właściciel kiedyś do niego powróci. Nie chciał nawet myśleć, co też złego mogło się z nim stać.

Obyś był cały, przyjacielu – pomyślał.

– Dardan? – wyrwał go z zadumy Kahaden.

– Zwiadowcy dotąd nie wrócili. To znaczy, że pewnie są już blisko posiadłości – odpowiedział de Brandt. – Zjedziemy więc powoli do doliny i odwiedzimy mój dawny dom.

Mimo iż z pozycji płaskowyżu dolina była dobrze widoczna i majątek de Brandtów wydawał się niedaleko, droga była stroma i wyboista. Konie ostrożnie stąpały po kamienistej ścieżce. Jeźdźcy nie popędzali ich w obawie, by zwierzęta nie skrzyły nóg. Jeszcze wiele godzin minęło, nim zbliżyli się do zabudowań. Tuż przed nimi spotkali wysłanych wcześniej na zwiad towarzyszy.

– Czysto – powiedział jeden z nich.

– Sprawdziliście całość? – zapytał Dardan.

Jeden ze zwiadowców był w oddziale od początku jego istnienia. Wielokrotnie ucztował w posiadłości i de Brandt mógł mu zaufać. Znał każdy jej zakamarek.

– Tak jest. Nikogo nie ma – odpowiedział z przekonaniem żołnierz i po chwili dodał: – Żywego ani martwego.

– Zachowajcie czujność – zwrócił się do reszty konnych dowódca.

Skierowali konie w stronę pierwszych zabudowań. Mijali zagrody dla zwierząt, stodoły, chłopskie chaty, spichlerz, młyn oraz pomniejsze garbarnie. Wszystkie

budynki rzeczywiście świeciły pustkami, ale w przeciwieństwie do napotkanych po drodze wiosek nie było wokół nich śladów walki. Nie dostrzegli ani jednych zwłok, nie widzieli wsiąkającej w ziemię krwi. Nic nie świadczyło o tym, żeby ktoś uciekał stąd w popłochu. Nie było także śladów rabunku, choć zwierzęta najwyraźniej zostały stąd zabrane.

Po pewnym czasie dotarli do porastającej bluszczem kamiennej bramy, która stanowiła wejście do posiadłości. Dardan walczył ze sobą, by nie uronić łzy. Dziesiątki razy przejeżdżał przez tę bramę, najczęściej powracając z kolejnego udanego rajdu na pograniczu. Jeszcze jako dziecko wspinał się po tym murze, wykorzystując w tym celu obrastające go pnącza. Cieszył się, że znów było mu dane ujrzeć tę cudowną konstrukcję, choć jeszcze miesiąc temu był przekonany, że to nigdy już nie nastąpi.

Bał się, że gdy wjadą na dziedziniec, rozczuli się całkowicie i rozpłacze niczym dziecko. Po raz pierwszy wróci z wyprawy i nikt go nie przywita. Służba nie odprowadzi jego konia do stajni, Galius nie pośle mu pouczającego spojrzenia, ojciec nie zawoła do siebie na kolejną reprimendę. Ojciec...

Ten pełen honoru człowiek pragnął w życiu tylko jednego – by jego ród znów okrył się chwałą; by znów się liczył, zajmując należną mu pozycję w królestwie. Powstrzymując łzy, Dardan pomyślał, że dobrze się stało, że ojciec nie dożył tego dnia. Widząc opuszczoną posiadłość, dom jego przodków, syna tułającego się po pograniczu z byłym watażką i garstką żołnierzy, królestwo... które chyba już nie istniało... Urban de Brandt z pewnością sam popełniłby samobójstwo.

De Brandt poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzał się i zobaczył Kaję, która podjechała tuż obok.

– Dasz radę – szepnęła tak, by nikt wokół jej nie usłyszał.

Był jej wdzięczny.

Widok dziedzińca jeszcze mocniej chwycił go za serce niż brama. Udało mu się wprawdzie nie rozpłakać, ale uczucie nostalgii wzbierało w nim i wiedział, że

prędzej czy później będzie musiał dać mu upust. Najlepiej w nocy, gdy nikt nie usłyszy jego łkania.

Jeźdźcy rozjechali się po obszernym placu, rozglądając się dookoła. Mimo iż zwiadowcy zapewnili, że w posiadłości nikogo nie ma, należało zachować czujność. Dardan dał sygnał do zejścia z koni i członkowie oddziału wykonali go bez wahania. Większość z towarzyszy de Brandta dobrze znała to miejsce i od razu zaprowadzili zwierzęta do dużej stajni znajdującej się po południowej stronie placu.

– Musimy sprawdzić budynki – zauważył Jarmos.

Dardan skinął więc głową na Kahadena i jeszcze jednego żołnierza, reszcie zaś przykazał pozostanie na placu i w okolicy stajni.

Do dworku dostali się głównym wejściem. Było otwarte.

– Zupełnie jakby ktoś nadal tutaj mieszkał – stwierdził Kahaden.

Na poparcie jego słów dostrzegli, że wewnątrz holu było zadbane i czyste. Meble nadal stały na swoich miejscach, stoły pokryte były obrusami, na ścianach wciąż wisiały bogato zdobione girlandy. Świece, oświetlające pomieszczenia w nocy, były wypalone tylko w połowie, zatem ktoś musiał zgasić je o poranku.

Dardan postanowił, że się rozdzieli, i wraz z Kahadenem udali się do północnej części posiadłości, zaś Jarmos z żołnierzem zniknęli w południowym korytarzu prowadzącym do izb zajmowanych przez służbę.

Wchodząc po schodach prowadzących do komnat de Brandtów, Dardan zorientował się, że Kahadena coś gryzie. Przyjaciel wyraźnie miał ochotę się odezwać, jednak nie wiedział, jak się za to zabrać.

– No dalej, mów.

– Czy myślisz, że Galius tutaj wrócił? Że przeżył inwazję i opiekuje się domem? Może gdzieś tu jest?

– Nie wiem, przyjacielu. Chciałbym, aby tak właśnie było, ale lepiej nie robić sobie nadziei. Ktokolwiek przebywa w tym miejscu, z pewnością się nas nie spodziewa, więc musimy być czujni.

Kahaden zgodził się z towarzyszem.

– Sprawdź, proszę, komnatę ojca – powiedział de Brandt, gdy dotarli na piętro.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Przyjaciel zniknął za drzwiami prowadzącymi do części zajmowanej przez ojca Dardana, a kiedyś także przez jego matkę. On sam kroczył powoli wzdłuż korytarza, na którego końcu znajdowało się jego mieszkanie. Dwa pokoje. Dzienny i nocny.

Kiedy zamieszkiwał posiadłość, wydawały mu się nudne. Nie przebywał w nich często, nie ślęczał nad książkami dłużej, niż było to konieczne z uwagi na potrzebę otrzymania przyzwoitej edukacji. Nie doceniał tego, jak wygodne życie mógł prowadzić. Jako młody chłopak nigdy nie zastanawiał się nad tym, że większość ludzi w królestwie Vorenau żyje w skrajnej biedzie, a nawet zwykli chłopci i mieszczaństwo nie mieli takich warunków jak on. Na podobne luksusy jak własne mieszkanie, służba, wykwintne dania, dziesiątki par ubrań, konie i wszelkiego rodzaju udogodnienia mogła liczyć jedynie arystokracja. Wprawdzie za życia Dardana rodzina de Brandtów mogła pochwalić się jedynie cieniem własnej chwały i bogactwa sprzed lat, lecz to i tak wystarczało, by żyć na poziomie zamożności, o jakim większość ludzi mogła tylko pomarzyć.

Teraz wchodził do swojego dawnego mieszkania, w którym spodziewał się zastać to samo łóżko, na którym spał, biurko, przy którym uczył się czytać wraz z Galusem, oraz posadzkę, na której ćwiczył walkę drewnianym mieczem, gdy pogoda nie pozwalała robić tego na zewnątrz. Serce podeszło mu do gardła. Dopiero dzisiaj zdał sobie sprawę, jakie miał szczęście, że mógł się tutaj wychować, a także co stracił. Pomyślał też o tym, że jego ojciec, chcąc odbudować dawną pozycję rodu, nie zdawał sobie sprawy, że ta może być o wiele gorsza. Dziś nie było przecież służby, nie było już właściwie de Brandtów, poza jednym.

Dardana nawiedziła myśl, że być może nie wszystko jeszcze stracone. Może nadejdą jeszcze lepsze czasy. Może królestwo znów będzie tętnić życiem, a póki

żyje, on, Dardan de Brandt, dziedzic swojego rodu, póty wszystko można naprawić. Przed oczami przemknęła mu mętna wizja, w której siedzi przy kominku, w gabinecie swojego ojca, jego żona, pani de Brandt, zabawia rozmową gości, zaś wokół biegają ich roześmiane dzieci. Odpędził tę myśl od siebie, nim jeszcze dobrze zagnieździła mu się w głowie.

Rozejrzał się po pokoju. Wyglądał dokładnie tak, jak w dniu, w którym widział go po raz ostatni. Jak gdyby służba nadal codziennie sprzątała każdy pyłek z posadzki, prała firany i utrzymywała dom w nieskazitelnej czystości.

Chwilową nostalgię zastąpił narastający niepokój. Dardan zaczął nabierać podejrzeń, że wszystko, co widzi, zupełnie nie pasuje do obrazu wojny, który obserwował od tygodni. Wszędzie wokół czuć było odór śmierci, drzewa pełne były poprzybijanych do nich ciał. Tutaj zaś było niemal sielankowo. Czystość, brak śladów grabieży, mordu ani w ogóle żadnej walki. To zdawało się wręcz nierealne. Dolina nie była przecież aż tak niedostępna, żeby barbarzyńcy nie byli w stanie się tu dostać. A skoro na ich ślady natrafiali wzdłuż drogi z pogranicza na północ, musieli tu dotrzeć. To nie trzymało się kupy.

Przez chwilę pomyślał nawet, że to kolejny z jego snów i zaraz ujrzy ludzi w czarnych kapturach wlokących biedną Vadienne do kotła z piekielnym ogniem. Wzdrygnął się na samą tę myśl. Miał jedynie nadzieję, że dziewczyna, którą kiedyś mu przyrzeczono, żyje i ma się dobrze. Najpewniej ucieka wraz z ojcem w góry, gdzie ostatni żołnierze Ruddabarda organizują opór przeciwko najeźdźcy. Do Dardana dotarła nawet myśl, że może i on powinien się tam udać.

– Nie – rzucił na głos.

Przypomniał sobie, co król zrobił z jego ojcem, z nim oraz z dobrym imieniem ich rodu. W żadnym z możliwych scenariuszy nie widział siebie klękającego znów przed królem i oddającego się do jego usług. Niech Ruddabard sam wypije piwo, którego sobie nawarzył. Zaniedbał obronę królestwa, nie utrzymywał silnej armii, wierząc w to, że „historia już się skończyła” i żadne zagrożenie nie zawita do Vorenau. Zamiast umacniania obrony, zajął się intrygami politycznymi i rozgrywkami pomiędzy arystokracją, ciągłym podnoszeniem podatków



i drenowaniem własnych poddanych. Ucztował, bawił się i jeździł na polowania. Wraz ze swoją najbliższą rodziną i dworem tył, podczas gdy jego poddani wypruwali sobie żyły, żeby mieć co włożyć do garnka.

W tym czasie on, Dardan de Brandt, jeździł wraz z oddziałem po pograniczu, próbując utrzymać tam względny spokój i pilnując, aby żaden z watażków nie urósł w siłę, by zagrozić królestwu. Walczył dla Ruddabarda, zabijał dla niego. Nie przesypiał nocy i marzył na stepie, podczas gdy król wygrzewał się przy kominku obsługiwany przez zastępy pacholków, którzy donosili mu kolejne dzbany wina i tace pełne jedzenia. A jak mu się za to odpłacił? Zabił jego ojca, ośmieszył jego nazwisko, zaś jego samego wygnał, a i to najpewniej tylko dzięki wstawiennictwu Galiusa.

Z drugiej strony Dardan pomyślał, że za chwilę może nie być już żadnego królestwa. Być może nawet już go nie ma? Być może Ruddabard IV jest już tylko nieruchawym grubasem, który siedzi w wilgotnej jaskini, gdzieś na północy. Może nawet nie ma mu już kto usługiwać. De Brandt jakoś nie potrafił wyobrazić sobie, że ten stary dziad przegrupowuje armie, organizuje ruch oporu i umacnia swoje pozycje w trudno dostępnym terenie, szykując się do odbicia państwa z rąk barbarzyńskich najeźdźców.

A jeśli nie on, czy ktokolwiek się tym zajmował? Czy wśród dowódców królewskiej armii żył jeszcze ktoś mający odpowiednią charyzmę i renomę, aby odnaleźć i zjednoczyć rozsianych po kraju żołnierzy, którzy przeżyli inwazję? Czy w ogóle w całym Vorenau była jeszcze siła zdolna wyprzeć dzikich z powrotem za stepy pogranicza?

Z rozważań wyrwał go odgłos kroków na korytarzu. W drzwiach stanął Kahaden.

– Sprawdziłem komnaty twego ojca. Wyglądają, jakby były nadal sprzątane. Ktoś chyba pilnuje tego miejsca...

– Galius – mruknął Dardan. – Myślę, że to Galius.

– Twój stary sługa? Myślisz, że żyje?

– Nie znam nikogo innego, komu zależałoby na tym, żeby zachować to miejsce w dobrym stanie – stwierdził de Brandt.

– Co zatem zrobimy?

– Poczekamy tu jakiś czas. Jeśli ktoś opiekuje się tym miejscem, z pewnością niebawem tu powróci.

\*\*\*

– Sprawdziliśmy pozostałe budynki – oznajmił Ratto, gdy Dardan wraz z towarzyszami wyszli z powrotem na dziedziniec.

– Dobrze. Pora zatem odpocząć. Kahaden weź ludzi i zobaczcie, czy w spiżarni jest jeszcze coś do jedzenia. Reszta może udać się do sali gościnnej. Ratto, do ciebie mam sprawę...

Odeszli na bok, podczas gdy pozostali żołnierze zaczęli krzątać się po dziedzińcu, porządkując własny dobytek i powoli kierując się w stronę sali, w której większość z nich miała już okazję biesiadować. Dardan nachylił się w stronę Ratta i odezwał się ściszym głosem.

– Coś mi tutaj nie pasuje. Jest zdecydowanie zbyt spokojnie i sielankowo. To niemożliwe, że posiadłość jest nienaruszona, podczas gdy wokół płoną wsie i leżą trupy...

– Też to zauważyłem. – Brodaty watażka pokiwał głową.

– Dlatego mam dla ciebie zadanie. Weźmiesz swoich ludzi i objedziesz dolinę dookoła.

Mężczyzna westchnął.

– Rozumiem, że też jesteś zmęczony. Ale ty i twoi ludzie nie znacie tego miejsca tak dobrze jak reszta. No, może poza Kają. Będziecie mieli świeże spojrzenie. Jeśli zauważycie coś niepokojącego, natychmiast nas ostrzeżecie.

Ratto niechętnie przyznał Dardanowi rację.

– W porządku. Pojedziemy na zwiad.

– Wróćcie przed nocą. Zostawimy wam trochę wina. Liczę na ciebie.

– Nie zawiodę, Dardanie.

\*\*\*

W spiżarni znalazło się całkiem sporo zapasów zarówno świeżego jedzenia, jak i wina. Rozpalono palenisko i żołnierze rozsiedli się w sali gościnnej posiadłości de Brandtów. Większość z nich doskonale знаła to miejsce i miała z nim same dobre wspomnienia. Na oczy cisnęły się łzy. Kaja siedziała w kącie, z wolna popijając trunek z glinianego dzbanka. Dardan usiadł obok niej.

– Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć tego miejsca... w lepszych czasach.

Kobieta spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Czasy są, jakie są. A mi bardzo się tutaj podoba. – Położyła dłoń na jego udzie.

Obdarzył ją uśmiechem.

– Nie jesteś zdziwiona?

– Czym?

– No... tym wszystkim? – Dardan omiół ręką, wskazując pomieszczenie.

Tym razem to Kaja się uśmiechnęła.

– Myślisz, że nigdy nie byłam w domu arystokraty?

– A byłaś? – odpowiedział zadziornie.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Jeszcze nie wszystko o mnie wiesz, Dardanie. Ja... urodziłam się w jednym z takich miejsc.

De Brandt wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Ty... Wywodzisz się z arystokracji? Z Vorenau?

Z wolna kiwnęła głową.

– Nie ma w okolicy innych królestw...

– Z jakiego rodu?

– Czy to ważne? Ten ród już nie istnieje. Tak samo jak twój.

Dardan parsknął śmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Twój pesymizm. Dopóki żyję, mój ród istnieje. Ja zaś nigdzie się nie wybieram. Ty, zdaje się, również masz się całkiem nieźle.

Szturchnął ją w bok. Odchyliła się i posłała mu groźne spojrzenie. Najwyraźniej nie miała ochoty kontynuować tej dyskusji. De Brandt nie nalegał. Cieszył się chwilowym spokojem, którego mógł zaznać u jej boku. Patrzył także na swoich towarzyszy, którzy rozluźnili się nieco i zaczęli biesiadować. Cieszył się, patrząc na Kahadena, który w swoim stylu, lekko wstawiony, zaczął zabawiać innych. Ten moment wytchnienia w trudnych czasach był im wszystkim potrzebny.

Biesiada trwała jeszcze jakiś czas, lecz zmęczeni żołnierze szybko zaczęli zasypiać. Gdy słońce całkowicie zniknęło za horyzontem, niemal wszyscy leżeli już na rozłożonych na posadzce kocach i odpoczywali.

Dardan nie mógł zmrużyć oczu. Coś nie dawało mu spokoju. Dyskretnie wymknął się z sali, w której przebywał jego oddział, i udał się na nocny spacer po posiadłości. Choć zdawał sobie sprawę, że to tylko puste mury, musiał przyznać przed sobą, że stęsknił się za tym miejscem. Targały nim mieszane uczucia, gdyż z jednej strony cieszył się z powrotu do domu, z drugiej zaś przepełniały go żal i rozgoryczenie za utraconym dziedzictwem.

Wyszedł przez bramę i skierował się w stronę niewielkiej osady położonej poza murami posiadłości. Kilka budynków wzniesionych na planie okręgu było niegdyś zajmowanych przez chłopów i ich rodziny. Chłopi nie byli częścią służby de Brandtów, ale pracowali u nich przy wyrabianiu skór i uprawie ziemi. Jeszcze jako dziecko Dardan chętnie odwiedzał wioskę. Lubił przyglądać się pracom garbarzy, bawił się z dziećmi, nie zważając na przepaść pomiędzy stanami, z których się wywodzili.

Przechadzając się w blasku księżyca, Dardan rozkoszował się chwilą ciszy i spokoju. Gdy zbliżył się do wioski, nagle dobiegły do niego dziwne odgłosy. Zatrzymał się i wytężył słuch. Zorientował się, że to, co słyszy, przypomina szept. Nie. Nie szept, śpiew. Mroczny, ponury śpiew, jakiego Dardan nie znał. Próbował

rozdzielić słowa, ale docierał do niego jedynie hipnotyzujący pomruk, który układał się w nieregularną melodię. Przeszedł jeszcze kilka kroków i znieruchomiał, dostrzegłszy grupę osób w kapturach stojących pośrodku placu w wiosce. Postacie otaczały coś kręgiem.

De Brandt wyteżał wzrok, lecz ciemność utrudniała mu rozpoznanie szczegółów. Wreszcie zobaczył płomień. Ogień, postacie w kapturach – to sen. To musi być kolejny z tych strasznych snów. Nie zdążył zastanowić się nad tym dłużej. Poczł jedynie mocne uderzenie w tył głowy i zemdlł.

\*\*\*

Ocknął się i niemal natychmiast zaatakował go potworny ból przeszywający na wskroś głowę. Dardan uniósł ciężkie niczym ołów powieki i zorientował się, że nie może się ruszyć. Był przywiązany do słupa znajdującego się na placu wioski. Mógł jedynie rozejrzeć się, z trudem obracając głowę. Z przerażeniem stwierdził, że nie jest sam. Na placu stało kilkudziesięciu mężczyzn w długich, ciemnych szatach. Mieli na sobie kaptury, zaś spod nich wyglądały pokryte tatuażami, czarne twarze.

Dzicy – pomyślał Dardan. Ale czy na pewno? Postacie różniły się nieco od barbarzyńców, których do tej pory spotykał na swojej drodze. Nie byli tak masywni i umięśnieni jak wojownicy, z którymi bił się na pograniczu, zaś w ich oczach nie było śladu szaleństwa, które dostrzegał choćby u schwytanych jakiś czas temu jeńców. Czy to jakaś inna kasta?

Nie miał czasu na dłuższe rozważania, gdyż plac momentalnie rozświetlił blask ognia. Dopiero teraz Dardan zobaczył, że na środku majdanu ustawiony był drewniany stos, który właśnie zapłonął. Postacie zaczęły formować krąg wokół płomieni. Nagle uwagę de Brandta przykuło poruszenie po przeciwnej stronie placu. Usłyszał krzyk i po chwili ukazał mu się obraz, który doskonale znał ze swoich koszmarów. Dwie ciemne postaci wlekły szarpiącą się, przerażoną dziewczynę w stronę ogniska.

Nie! To niemożliwe.

Dardan chciał krzyżeć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Mógł otwierać usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, jakby nagle zupełnie stracił zdolność mówienia. To nie może być prawda. To na pewno kolejny sen...

Niestety, jeśli tak było, ten zdawał się wyjątkowo realny. De Brandt widział dym, zaczął też odczuwać ciepło płonącego stosu. Słyszał krzyk dziewczyny, jakby stała obok. Była związana w kilku miejscach grubymi sznurami. Miała skrępowane dłonie, nogi, biodra. Nie mogła się ruszać, rozpaczliwie wiała się w ramionach oprawców.

– Błagam, nie! – darła się wniebogłosy, ale nikt nie mógł jej pomóc.

W pewnym momencie z kręgu wystąpiła naprzód jedna postać. Zaczęła mrużyć coś pod nosem i wyciągnęła spod płaszcza ostre narzędzie. Długi, bogato zdobiony nóż. Dardan nigdy nie widział takiej broni – była niepraktyczna, musiała więc służyć jedynie do okrutnych rytuałów. Wstrzymał oddech, gdy mężczyzna podniósł ostrze nad głowę, zaś jego mamrotanie zaczęło przypominać opętańczy śpiew. Wkrótce pozostali członkowie zgromadzenia zaczęli wtórować stojącemu pośrodku człowiekowi i cały plac odśpiewywał diabelską pieśń, którą de Brandt słyszał tuż przed tym, jak stracił przytomność.

Przy akompaniamencie dziesiątek głosów mężczyzna z nożem zaczął go opuszczać. Niespiesznie zatopił ostrze w piersi dziewczyny. Wydała z siebie ostatni pisk, który szybko przerodził się w charczenie. Po jej ciele spłynęła krew. Oprawca odsunął się od niej, zaś dwaj pozostali unieśli umierającą i rzucili ją na stos. Ogień buchnął, wzniecając tysiące iskier, a płomienie zaczęły z wolna trawić ciało ofiary.

Dardanowi łzy napłynęły do oczu. Tylko w taki sposób mógł dać upust emocjom, które nim targały. Wściekły na własną bezradność jedynie patrzył, jak martwa już dziewczyna znika w płomieniach, zaś zgromadzony wokół niej tłum śpiewa kolejną mroczną pieśń.

Mężczyzna z nożem odwrócił się w stronę wyznawców i gestem zaprosił do siebie jednego z nich. Postać wystąpiła z kręgu i zdjęła kaptur. Przeprowadzający rytuał wręczył mu nóż pokryty krwią zamordowanej kobiety. Ten przyjął go

z pokorą i uklęknął. Nie zastanawiając się ani chwili, zatopił ostrze we własnej piersi. Nie minęło wiele czasu, gdy zaczął pluć krwią. Nie krzyczał ani nie charczał; nie upadł nawet, tylko starał się wciąż utrzymywać na kolanach. Po chwili podeszło do niego dwóch kolejnych, aby przytrzymać krwawiącego i nie pozwolić mu się przewrócić.

Przeprowadzający rytuał osobnik odwrócił się w stronę stosu i wypowiedział na głos słowa, których Dardan nie mógł zrozumieć. Ale ten głos... Wydał mu się znajomy. Czy to możliwe? Jakby w tej samej chwili, w której przyszła mu do głowy ta przerażająca myśl, mężczyzna odwrócił lekko głowę w jego stronę i się uśmiechnął.

Nie. To niemożliwe!

Dardan z całej siły się szarpnął, jednak trzymające go więzy były zbyt mocne. Nadal nie mógł krzyczeć. Łzy płynęły mu strumieniami po twarzy. Przed nim stał Galius. Jego sługa, mentor i przyjaciel. Człowiek, którego znał całe życie, który uczył go pisać, czytać, opowiadał o historii, wychowywał. Człowiek, który uratował go od śmierci z rąk króla. Kochany, stary Galius stał teraz w czarnym płaszczu przed ogniskiem, na którym chwilę wcześniej złożono zabitą przez niego kobietę.

Wtem stało się coś jeszcze bardziej niepojętego. Stos jakby zagotował się, płomienie buchnęły na kilka metrów do góry, zaś między nimi zaczął tworzyć się coraz wyraźniejszy kształt. Przypominał człowieka. Dardan zaczął ciężko oddychać. Nie tylko nie potrafił uwierzyć w to, co widziały jego oczy, ale ogarnęło go przerażenie, jakiego dotąd nie zaznał. Czuł, że po całym jego ciele spływa pot. Nic, co w życiu przeżył, nie mogło równać się z tym nieopisanym uczuciem. Oczy nabiegły mu krwią, ale nie mógł ich zamknąć. Nie potrafił także oderwać wzroku od tego, co działo się pośrodku placu.

Z płonącego stosu zeszła czarna, człekokształtna postać z nienaturalnie długimi rękami i pazurami, a także... ogonem. Nie widział jej twarzy. Bał się, że gdyby ją dostrzegł, najpewniej dostałby zawału.

Stojący wokół wyznawcy uklękli przed stworem, gdy ten wydał z siebie przeraźliwy ryk. Dźwięk spowodował przeszywające ukłucie bólu w piersi Dardana.

Demon. To musiał być demon.

Śpiew klęczących wokół uczestników rytuału nasilał się. Także Galius uklękł przed demonem, ten zaś zbliżył się do człowieka z nożem w piersi, wyciągnął go szybkim ruchem i upuścił na ziemię, a potem zmienił się z powrotem w bezkształtną masę i wniknął w ranę człowieka niczym dym wlatujący w dziurę w ścianie.

Pieśni umilkły. Przez chwilę na całym placu panowała diabelska cisza, przerywana jedynie skwierczeniem iskier z płonącego stosu. Wreszcie ugodzony nożem mężczyzna wstał o własnych siłach. Po ranieniu było śladu, zaś na piersi pojawiła się świeżo zasklepiona blizna. Był pełen wigoru i właściwie nie wyglądał inaczej niż przed rozpoczęciem rytuału. Nic w jego wyglądzie się nie zmieniło... prócz oczu.

Dardan spojrzał w nie z oddali i znów zalała go fala potu. Te oczy... nie należały już do człowieka.

Młody de Brandt po raz kolejny tej nocy stracił przytomność.

\*\*\*

Najwyraźniej nie minęło wiele czasu, bo gdy się ocknął, nadal panowała noc. Księżyc był już nieco niżej, ale wciąż było całkiem ciemno. Ognisko powoli dogasało, zaś na piasku obok widać było ślady krwi. Na placu nie dostrzegł już jednak czarnych postaci, z wyjątkiem jednej.

Galius zbliżył się do niego i obdarzył uśmiechem. Dardan nie mógł w to uwierzyć. W twarzy mężczyzny, którego znał, nie zmieniło się absolutnie nic. To był ten sam ojcowski uśmiech, którym witał go za każdym razem, gdy wracał z wyprawy na pogranicze.

– Galius... – Zorientował się, że znów może mówić. – Jak mogłeś?



– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, Dardanie – odpowiedział wolnym, zachrypniętym głosem. Tym samym, co zawsze.

– Kim ty jesteś? Co to za ludzie? Co tu się działo?

– Wiedziałem, że sobie poradzisz. Źle się stało, że tu wróciłeś. Nie musiałeś tego wszystkiego oglądać...

– Galius, do cholery! Mów, co tu jest grane! – niecierpliwił się Dardan.

Starszy mężczyzna pokręcił głową.

– Nie zrozumiałbyś, młody paniczku. Jeszcze nie teraz. Mam nadzieję, że kiedyś przyznasz mi rację. Dostrzeżesz, że robię tylko to, co konieczne.

– Co ty wygadujesz?!

Galius znów się uśmiechnął.

– To, co robię, to ratunek dla naszego świata. Vorenau płaci wysoką cenę, ale to konieczne. Chciałbym, żebyś to kiedyś zrozumiał. Wierzę, że tak się stanie, bo kto jak kto, ale ty powinieneś rozumieć, jak to jest, gdy twój ród traci należną mu pozycję, ziemię i honor. Być może pewnego dnia znów staniesz u mojego boku...

– Znów? U twojego boku? O czym tym bredzisz? Rozwiąż mnie!

– Twoi przyjaciele ci pomogą. Są niedaleko. Tymczasem żegnaj, Dardanie. Spotkamy się jeszcze, wierzę w to.

Galius odwrócił się i odszedł.

– Galius! – krzyczał Dardan. – Galius!

Mężczyzna już się nie odwrócił. Niedługo potem zniknął z pola widzenia.

\*\*\*

– Dardan? – Usłyszał znajomy głos.

– Ratto? – Poczuł, jak kamień spada mu z serca.

– Co ty tu robisz, na Moc Stworzenia?

De Brandt był wciąż przywiązany do wbitego w ziemię słupa. Nie mógł się ruszyć.

– Dalej, odwiąż mnie.

Ratto wraz ze swoimi ludźmi błyskawicznie przecięli więzy i uwolnili Dardana. Ten poczuł, jak jego mięśnie reagują na brak skrępowania. Całe ciało przeszył ból.

– Kurwa, kto ci to zrobił?!

– To wy ich nie widzieliście? – spytał zdumiony.

– Kogo?

– Tych... – Dardan zawahał się przez chwilę. – Ludzi. Barbarzyńców w czarnych płaszczach. Razem ze swoim dowódcą.

– A więc jednak? Gospodarz miał rację...

– Chyba tak – potwierdził Dardan. – W dodatku... Mieli jego córkę.

– Dardan. – Ratto spojrział na niego, jakby chciał ocenić, czy towarzysz jest zdrowy na umyśle. – Jeździliśmy po tej dolinie przez cały wieczór. Mieliśmy pochodnie. Byliśmy głośni. Nie ma szans, żebyśmy przeoczyli kogokolwiek. Nikogo tutaj nie było...

– To jak wytłumaczysz ten stos? – Dardan wskazał ręką na środek placu i znieruchomiał.

Stosu już nie było. Ani krwi... W ogóle żadnych śladów po rytuale. Jedynie słup, do którego przywiązany był Dardan, choć możliwe, że ten stał tu już wcześniej.

– Chyba musisz się położyć...

– Coś tu nie gra. – Dardan przecierał oczy, jakby w nadziei, że stos, który powinien teraz dogasać i wciąż się dymić, nagle mu się objawi. A co ze spalonym ciałem kobiety? Czyżby je też zabrali? W jaki sposób? – Gdzie byliście całą noc?

– Patrowaliśmy okolicę, jak kazałeś. Jeździliśmy po dolinie, zatrzymując się co kilka godzin na odpoczynek. Jesteśmy potwornie zmęczeni. Ty chyba też.

– I naprawdę nikogo nie widzieliście? Nawet żadnych śladów?

– Trudno dostrzec ślady po ciemku, ale zaręczam, że nikogo nie ma w całej dolinie.

Dardan osunął się na kolana. Czy to możliwe? Czy znowu śnił? Ale kto w takim razie przywiązał go do słupa? Przecież nawet gdyby zwariował, nie

zdołaby zrobić tego sam.

– Co z resztą oddziału? – spytał po chwili rozmyślenia.

– Pewnie śpią. Wracajmy do tego twojego dworu. My też byśmy się zdrzemnęli, jeśli pozwolisz.

Pokiwał głową. Ratto pomógł mu wejść na jednego z koni i skierowali się w stronę posiadłości.

\*\*\*

Część żołnierzy jeszcze spała. Dardan pozwolił Racie i jego ludziom odpocząć. Kaja z niepokojem wyglądała jego powrotu.

– Gdzie byłeś całą noc?

– Potrzebowałem... pobyć chwilę sam. Nostalgia, rozumiesz...

– Nie wierzę ci. – Pokręciła głową.

Zbył ją uśmiechem, co ewidentnie się jej nie spodobało. Wiedział, że czeka go trudna rozmowa z kobietą, ale póki co nie miał do tego głowy. Musiał sam przemyśleć kilka spraw.

Jakiś czas później Dardan zwierzył się swoim najbliższym przyjaciołom, Jarmosowi i Kahadenowi. Obaj dobrze znali Galiusa i tylko oni mogli uwierzyć w jego historię. Kiedy skończył opowiadać, obaj stali jak wryci.

– Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? – zapytał Kahaden.

– A jak myślisz? Nie wiem, może zwariowałem... Przysięgam wam, że byłem świadkiem tego wszystkiego!

– Jesteś pewien, że to nie był sen? – dopytywał przyjaciel.

Wtedy de Brandt pokazał mu ręce, na których wciąż widniały ślady skrępowania sznurem.

– Kto przywiązałby mnie do słupa? Sami powiedzieliście, że nikogo tutaj nie ma. Ratto patrolował okolicę całą noc...

– Ja ci wierzę – odezwał się spokojnie Jarmos. – Rozmawiałem z żołnierzami, którzy przeżyli bitwę z najeźdźcą. Mówili, że byli doskonale dowodzeni. To musiał

być ktoś, kto zna nasz sposób walki, kto byłby w stanie doskonale rozpracować taktykę królewskiej armii.

– Ale Galius? – zapytał Kahaden z niedowierzaniem. – Nasz Galius?

– Mi też nie mieści się to w głowie, ale musimy rozważyć wszystkie scenariusze – kontynuował Jarmos. – Jeśli to faktycznie on, z pewnością zna tę dolinę jak własną kieszeń. Może się gdzieś ukrył?

– Nie ma tutaj takich miejsc, w których mogłoby ukryć się tyle osób – zaprzeczył Dardan.

– A co z tym... demonem? – Ostatnie słowo z trudem przeszło Kahadenowi przez gardło. Nie należał do ludzi, którzy wierzą w podobnego rodzaju opowieści. – Przypomina mi się gadka tego podróżnika, jak mu było?

– Yugan... – Dardan zamyślił się. – Rzeczywiście, wspominał coś o religii i demonach, w które wierzą mieszkańcy południa. O świętej wyprawie i wygnaniu ich przodków. To by się nawet zgadzało... To, czego byłem świadkiem, przypominało mroczny, okrutny rytuał.

– Może więc... Może to wszystko prawda? – wtrącił Jarmos. – Może rzeczywiście stoją za nimi siły nie z tego świata. Może Galius jest potomkiem tego wygnanego rodu? Kimś w rodzaju mesjasza dla Czarnych z południa?

Kahaden się zaśmiał.

– I ty mówisz takie rzeczy?

– Sam już nie wiem. Trudno racjonalnie wytłumaczyć to, co widział Dardan.

– A może czymś cię otruli? Może podali ci coś, żebyś miał zwidy?

– Nie wiem, może... – przyznał Dardan.

– Jedno jest pewne, nie możemy tu zostać – powiedział Jarmos. – Nic podobnego nie przydarzyło się nam na stepie ani nigdzie indziej. Niezależnie od tego, co widział Dardan, coś jest nie tak z tym miejscem.

– Zgadza się. – De Brandt odetchnął z ulgą. Był rad, że w kwestii racjonalnego myślenia zawsze mógł liczyć na swojego przyjaciela. – Zostaniemy tu do południa. Potem ruszamy w drogę.

– Dokąd? – zapytali chórem obaj towarzysze.

De Brandt wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Przed oczami stanął mu ojciec, Galius, księżniczka Vadienne i wydarzenia sprzed roku.

Niech mnie szlag trafi – pomyślał.

– W góry. Do króla.

## ROZDZIAŁ 10

– Widzisz, Dardanie, nie uciekniesz od swojego przeznaczenia – powiedziała Kaja z uśmiechem, gdy wracali z lasu.

Mężczyzna niósł na plecach martwego jelenia. Oddziałowi kończyły się zapasy, zaś droga w góry obfitowała w bujne lasy i knieje, w których z powodzeniem można było spotkać zwierzynę łowną.

– O czym ty mówisz?

– Jedziesz do króla, choć zarzekałeś się, że nigdy już nie będziesz mu służył.

– Bo nie będę. Ale muszę z nim porozmawiać, muszę dowiedzieć się, co dokładnie stało się z moim ojcem i jaka była w tym rola Galiusa...

– Ruddabard może nie mieć tych informacji, dobrze o tym wiesz.

– Muszę spróbować. Ty postąpiłabyś inaczej na moim miejscu?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie masz rację. Mówię tylko, że niedawno chciałeś być z dala od wojny i polityki. Interesowała cię tylko obrona jednej wioski. A teraz? Kto wie...

– O co ci chodzi? – Dardan zatrzymał się i spojrzał na nią z mieszanką gniewu i zdziwienia.

– No już, nie dąsaj się. – Chwyliła go pod ramię. – Chodź, zaniesiemy tego jelenia. Reszta jest pewno głodna.

Szli wąską, leśną ścieżką. Ich krokom wtórował śpiew ptaków i przyjemny szelest liści. Przebijające się przez korony drzew promienie słoneczne oświetlały im twarze. Był to zdecydowanie przyjemniejszy widok niż to, co napotykali przez ostatnie tygodnie. Wszędzie w Vorenau, nie licząc oczywiście doliny de Brandtów,

obserwowali jedynie zgłiszcza wojny i stosy trupów. Północna część królestwa była o wiele dziksza i trudno dostępna. Niełatwo było ją najechać.

Dotarli do reszty oddziału, który obozował na leśnej polanie nieopodal szlaku. Żołnierze siedzieli przy ognisku, śmiali się i żartowali. Dzięki zapasom alkoholu zabranym z posiadłości Dardana każdy wieczorny postój kończył się wesołą popijawą. Dowódca akceptował taki stan rzeczy, z uwagi na fakt, że jego oddział był coraz bardziej zżyty. Ludzie Ratta byli już traktowani przez resztę jak swoi. Wiele razem przeszli, walcząc ramię w ramię z dzikimi i przemierzając długie stepowe ścieżki. Ponadto wytchnienie było im potrzebne po wszystkim, co widzieli. Takiej liczby trupów nie oglądał chyba żaden żołnierz.

Okolica była spokojna. Natknięcie się na jakiegokolwiek ludzkie osiedle w tym regionie było rzadkością. Jeśli już mijali jakieś zabudowania, były one opuszczone. Od kilku dni nie widzieli ani jednego martwego ciała bądź też śladów walki. Mogło to świadczyć jedynie o tym, że mieszkańcy Vorenau z północnej części królestwa udali się w góry i oddział rzeczywiście podąża we właściwym kierunku.

Od wyjazdu z posiadłości Dardan i Kaja jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Jeździli razem na polowania, większość dnia spędzali na rozmowach – nie zawsze poważnych i głębokich. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że uwielbia jej towarzystwo, zaś ona najwyraźniej także wysoko ceniła sobie spędzanie z nim czasu. Podobało mu się, że coraz bardziej się przed nim otwiera. Gdy byli sami, opowiadała o swojej przeszłości. O tym, jak wychowywała się na dworze jednej ze szlacheckich rodzin, która dawno temu utraciła jednak wszelkie tytuły oraz bogactwa. Mimo zubożenia własnej rodziny Kaja otrzymała solidne wychowanie, pobierała nauki u zaprzyjaźnionego guwernanta, a także szkoliła się w jeździe konnej, szermierce i łucznictwie.

Mniej chętnie wspominała o dniu, w którym grasanci najechali jej dom i zabili niemal całą rodzinę. Od czasu do czasu rzucała niewybredne komentarze w stronę króla, do którego miała żal, że nie reagował odpowiednio na krzywdy, które ją spotkały.

Ileż takich rodzin musiało ucierpieć przez zaniedbania Ruddabarda? – zastanawiał się Dardan.

Na samą myśl o spotkaniu z tym człowiekiem robiło mu się niedobrze. Wiedział jednak, że musi z nim porozmawiać. Czuł, że król wie znacznie więcej o tym, co dzieje się obecnie w Vorenau. Mimo niechęci do jego osoby Dardan poprzysiągł sam przed sobą, że pozbędzie się najeźdźców. Kaja podzielała jego pogląd w tej kwestii, co bardzo mu odpowiadało.

W miarę upływu czasu teren robił się coraz bardziej niedostępny. Gęste lasy ustąpiły stromym wzgórzom, zaś proste leśne dukty krętym, nieprzystępnym górskim ścieżkom. Siłą rzeczy oddział był zmuszony zwolnić tempa, gdyż konie z trudem znajdowały drogę po ostrych i nierównych kamieniach. Zdarzało się, że po pokonaniu kolejnych wzgórz wjeżdżali w dolinę, gdzie mogli poruszać się szybciej, a także odpocząć w zakolu wartkiego strumyka.

Wreszcie, po wdrapaniu się na jeden z większych płaskowyżów w regionie, ich oczom ukazał się piękny widok. Na horyzoncie majaczyły potężne, szpiczaste szczyty Gór Północnych. Masyw był ogromny i nikt chyba dokładnie nie wiedział, jak daleko sięgają górskie wierzchołki. Z przyjmowanych w dzieciństwie nauk Dardan pamiętał jedynie to, że za górami klimat jest mroźny i nieprzyjazny, a żyją tam ludzie zupełnie inni od nich – surowi i bezwzględni, zmuszeni do walki o przetrwanie każdego dnia.

De Brandt zastanawiał się, czy tacy również mogliby ich kiedyś zaatakować. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tryb życia, w którym każdy dzień jest walką z trudnościami stwarzanymi przez przyrodę, prowadzi do większej agresji i brutalności. Ale czy aż do tego stopnia? Trudno było mu uwierzyć, że tylko ze względu na trudne warunki, w których się znajduje, ktokolwiek mógłby najechać inne państwo i wyrzynać dosłownie wszystkich na swojej drodze. Tutaj musiało chodzić o coś znacznie gorszego. Święta wyprawa? Odzyskanie utraconych ziem? Mesjasz?

Wzdrygnął się na samo wspomnienie wydarzeń sprzed paru dni i obrazu wychodzącego z ognia kształtu, który jak gdyby nigdy nic wniknął w umierającego



mężczyznę i tchnął w niego nową energię. Odpędził od siebie te myśli. Teraz należało się skupić na czym innym.

– Od teraz podwajamy strażę i mamy oczy dookoła głowy – powiedział do oddziału, gdy stali i podziwiali widok. – Nie wiemy, jak królewscy zareagują, gdy nas zobaczą, więc lepiej uważać.

Wszyscy się zgodzili. Gdy zeszli ze wzgórza, zmienili więc nieco szyk w taki sposób, by w razie czego łatwiej było się bronić. Oręż mieli w gotowości.

Wzgórza były tutaj nieco niższe, tworząc drogę ku oddalonemu o kilka dni masywowi znacznie łatwiejszą. Oddział Dardana poruszał się wzdłuż rzeki, która płynęła wprost ku Górom Północnym, by, meandrując tuż przed nimi, skierować się w stronę morza.

Już następnego dnia natrafili na pierwszy posterunek – niewielką chatę obudowaną drewnianą palisadą, nad którą wznosiła się wieża obserwacyjna.

– Stać! – Dobiegł ich donośny głos człowieka zajmującego stanowisko na wieży. – Kto wy?

Dardan rozkazał swoim ludziom się zatrzymać. Kątem oka widział, że Kaja sięga ręką do juków, by w razie czego mieć w pogotowiu swój łuk.

Podjechał bliżej wieży z wyciągniętymi w górę rękami.

– Nie szukam zwady! – odkrzyknął spokojnie.

Echo poniosło jego słowa do strażnika, który ponowił pytanie.

– Kto jesteś?

– Jestem z Vorenau.

– Jak my wszyscy. Szukasz schronienia?

– Chcę porozmawiać z królem.

Do uszu Dardana dobiegł gromki śmiech strażnika, a potem kilka słów, które ten najwyraźniej skierował do swoich współtowarzyszy, a których młody dowódca nie dosłyszał.

– I może jeszcze poślubić królową? – zawołał strażnik.

Mężczyzna zacisnął zęby i powstrzymał się, by samemu nie chwycić za łuk i nie posłać strzały prosto w gardło żartownisia.

– Jestem Dardan de Brandt. Chcę... Muszę porozmawiać z królem Ruddabardem. Nie zatrzymasz mnie.

Znów usłyszał jakieś słowa, które strażnik wymienił z kolegami. Po chwili na wierzy dostrzegł więcej sylwetek.

– Wybaczcie, panie! To naprawdę wy?

– Ja. – Dardan wyciągnął z juków coś, czego od dawna już nie używał: koszulę z herbem. Dawniej, gdy był w służbie króla, zawsze nosił żółte płótno z wizerunkiem czarnego niedźwiedzia na napierśniku. Uniósł element ubioru w górę, by strażnik mógł wyraźnie go zobaczyć.

– Panie de Brandt! To naprawdę wy! Proszę do nas!

Dardan skinął głową i reszta oddziału z wolna podjechała w stronę stróżówki. Brama palisady otwarła się i żołnierze wpuścili ich do środka. Cała placówka liczyła zaledwie pięciu wojowników, więc w razie czego oddział bez problemu by sobie z nimi poradził.

– Jeszcze raz prosimy o wybaczenie, panie de Brandt – zwrócił się do niego strażnik.

Dardana zdziwiło to, z jakim uniżeniem zwracał się do niego mężczyzna. Jego nazwisko było znane żołnierzom w Vorenau, ale nigdy nie przypuszczał, że budzi ono aż taki szacunek.

– Musimy być ostrożni. Jest wojna i nie wszyscy, którzy jadą na północ, naprawdę szukają schronienia. Mamy rozkaz sprawdzać każdego.

– W porządku – burknął Dardan, nie spoufalając się zanadto z członkiem królewskiej straży.

– Ej, wy tam! – zawołał strażnik do swoich towarzyszy. – Wyciągać zapasy! I miód! Nie mamy wiele, ale ugościmy, a jakże – dodał do przybyszów.

– Nie potrzeba. Nie zatrzymamy się tutaj. Chcę tylko wiedzieć, czy król rzeczywiście ukrywa się w górach.

Strażnik zawahał się przez chwilę, jakby ważył każde słowo.

– Ukrywa się... ekhm... Król przebywa obecnie w swojej letniej rezydencji w masywie Gór Północnych.

Przebywa w letniej rezydencji... Dardan starał się powstrzymać wybuch śmiechu i widział, że jego ludzie również mają problem z tym, żeby nie parsknąć z rozbawienia.

Nic się nie zmieniłeś, Ruddabardzie... – pomyślał. Straciłeś wszystko, ale swoim ludziom nadal wmawiasz, że jedynie przebywasz w letniej rezydencji.

– Daleko jeszcze do tej rezydencji? – spytał Dardan, zachowując resztki powagi.

– Dwa dni drogi, panie. Tą ścieżką prosto. Damy wam glejt, żeby kolejni strażnicy przepuszczali was bez gadania.

– Dziękuję.

– To my dziękujemy, panie.

– Za co? – spytał zdziwiony de Brandt.

– Za to, że w końcu jesteście. Wszyscy... No, prawie wszyscy tu na was czekali.

Słowa wydały się Dardanowi wyjątkowo tajemnicze. Postanowił jednak nie ciągnąć tego tematu. Rozkazał swoim ludziom napić i nakarmić konie, a także rozprostować kości. To miała być krótka chwila odpoczynku przed dalszą drogą.

\*\*\*

Zgodnie ze wskazówkami strażnika oddział dotarł na miejsce po dwóch dniach drogi. Wjazd do „letniej rezydencji” króla zaczynał się od drewnianej palisady wzmocnionej bramy z dwiema wieżyczkami wartowniczymi. Palisada zagradzała wąski wjazd do doliny otoczonej ze wszystkich stron stromymi skarpami. Zgodnie z obietnicą, gdy ludzie Dardana zbliżyli się do bramy i pokazali otrzymany wcześniej glejt, wpuszczono ich bez problemu.

De Brandt czuł na sobie wzrok wartowników, którzy w milczeniu wpatrywali się w niego i jego ludzi, kiedy wolno przejeżdżali obok nich. Po przebyciu krętego wąwozu ich oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok. Znajdowali się w ogromnej, owalnej niecce otoczonej przez kamienne zbocza. Na nich, aż po same szczyty, wzniesiono... domy, a raczej wejścia do jaskiń, uformowane w ten sposób, że przed każdym z nich było trochę miejsca na swobodne przejście czy nawet taras. Kolejne półki skalne połączone były wyżłobionymi w górze schodami.

Przed wejściami do domów suszyły się ubrania, stały balie z wodą, ludzie przesiadywali na drewnianych ławkach i rozmawiali ze sobą. Skalne miasto tętniło życiem, ale prawdziwy ruch panował pośrodku wielkiego placu, gdzie ustawione były liczne kramy, jatki i stragany. Gdzieś tam znajdowały się zagrody dla zwierząt, była także studnia, słup ogłoszeniowy, a nawet pręgierz. Ludzie krzatali się, gaworzyli ze sobą, przekrzykiwali się. Ktoś się z kimś pobił, ktoś prowadził wykłady, jeszcze inni po prostu siedzieli na stołkach i wpatrywali się w niebo. Jednym słowem: było to prawdziwe miasto, którego mieszkańcy żyli, jak gdyby wojna w ogóle ich nie dotyczyła. Istotnie, w tym miejscu nie było śladu najeźdźców.

Ale przecież przyjdą i tutaj, jeśli nic nie zrobimy – pomyślał Dardan. Jedynym zauważalnym skutkiem wojny było przeludnienie. Gołym okiem było widać, że w skalnym mieście przebywa obecnie znacznie więcej ludzi niż zwykle. Pewnie nawet więcej, niż mogło ono pomieścić.

Dardan przypomniał sobie, że w dzieciństwie słyszał o tym miejscu. Opowiadano mu o mieście położonym daleko w górach, zamieszkałym przez ludzi luźno związanych z królestwem. Wprawdzie dawno temu składali oni przysięgę na wierność władców Vorenau i płacili podatek, jednak ich stosunki z resztą królestwa ograniczały się głównie do handlu najpotrzebniejszymi towarami. Górale wydobywali niezwykle cenną rudę żelaza i w zamian za nią otrzymywali od handlarzy głównie płody rolne, których sami nie byli w stanie wytworzyć.

Młody de Brandt zastanawiał się, ile też ludzi mogą pomieścić górskie pieczary. Jak wielkie komnaty wykopane są w górskim masywie i jak długa jest sieć tuneli.

Musiał przyznać, że choć wiele już w życiu widział jak na swój młody wiek, widok skalnego miasta niezwykle go pasjonował. Przeszło mu nawet przez myśl, że gdyby tylko miał na to czas i nastrój, chętnie zwiedziłby wszystkie możliwe atrakcje tego miejsca. Najpierw jednak należało uporać się z bieżącymi problemami.

Gdy tylko wjechali na plac, od razu wzbudzili zainteresowanie miejscowych. Ludzie zaczęli odwracać głowy w ich stronę. Wielu zatrzymywało się i przerywało swoje codzienne zajęcia, żeby tylko popatrzeć na przyjezdnych. Natychmiast podbiegło do nich kilku młodych chłopców, którzy oferowali, że odprowadzą ich konie do stajni. Po stajennych nagle pojawiły się kobiety niosące dzbany pełne jakiegoś tutejszego alkoholu oraz bochenki chleba, kiełbasy i owoce. Witwały żołnierzy i obdarowywały jedzeniem i napojami.

De Brandt był wyraźnie zaskoczony gościnnością miejscowych. Nie spodziewał się aż takiego powitania. Sądząc po minach swoich towarzyszy, stwierdził, że muszą czuć to samo.

Prawdziwe powitanie miało jednak dopiero nastąpić. Gdy zachęteni życzliwością mieszkańców żołnierze wypili po kilka łyków mocnego trunku i zaspokoili pierwszy głód, zauważyli, że w ich stronę zmierza niewielka grupa żołnierzy w królewskich barwach.

– Dardanie de Brandt? – zapytał wąsaty dowódca, choć właściwie nie potrzebował potwierdzenia. Mężczyzna obrócił się w jego stronę. – Czekaliśmy na ciebie.

Zdumiony uniósł brwi do góry.

– Czekaliście?

– A jakże, panie de Brandt. Radzi jesteśmy, że wreszcie do nas dotarłeś.

– Co to znaczy: my? Kto właściwie na mnie czekał?

– Wszyscy. – Strażnik wskazał ręką stojący za nim tłum.

Dopiero teraz Dardan zauważył, że znajdujący się na placu mieszkańcy zaczęli gromadzić się wokół, otaczając ich szerokim łukiem.

– Chciałbym porozmawiać z Ruddabardem. – Dardan zebrał się w sobie, starając się ukryć zdumienie, które rozsadzało go od środka. Musiał zachować powagę, choć zupełnie nie rozumiał, co się właściwie dzieje i dlaczego ci wszyscy ludzie tak bardzo czekali na jego przybycie.

– Wszystko w swoim czasie... – uspokoił go żołnierz. – Na razie zapraszamy ciebie i twoich ludzi do głównej sali, gdzie będziecie mogli zjeść i napić się do syta.

De Brandt ukradkiem spojrzął na stojących nieopodal Jarmosa i Kaję. Zobaczywszy porozumiewawcze skinienia, odpowiedział:

– W porządku. Chodźmy zatem.

\*\*\*

Sala, do której ich zaprosili, robiła wrażenie. Sklepienie miało dobrych kilkanaście metrów i było niemal idealnie owalne. Dardan zastanawiał się, w jaki sposób można wydrążyć w skale tak równy kształt. U dołu sklepienie płynnie przechodziło w ściany, które także były niezwykle równe – na tyle, że dało się na nich powiesić proporce i oświetlające je świeczniki. De Brandt szybko zwrócił uwagę, że wiszące na ścianach chorągwie były niczym innym jak herbami szlacheckimi Vorenau. Co ciekawe wśród tych herbów dostrzegł własny – czarny niedźwiedź na żółtym tle. Jak to możliwe, że heraldyka wyklętego rodu de Brandtów znajdowała się tutaj, w tej sali, tuż pod nosem króla? Zaczął obawiać się, że to jakiś podstęp i miejsce, w którym się znalazł, wcale nie jest tak przyjazne, na jakie wyglądało. Nachylił się do Kai i szepnął jej do ucha.

– Miej oczy szeroko otwarte. Coś mi tutaj nie gra.

– Chyba przesadzasz – odpowiedziała kobieta. Uśmiechnęła się serdecznie i wskazała w stronę zmierzającego ku nim człowieka.

Mężczyzna szedł dziarskim krokiem. Dardan rozpoznał w nim Tymona Hłaza.

– Dardanie! Jak się cieszę, że cię widzę! – zawołał żywo dawny towarzysz.

– Dziesiątniku. – De Brandt starał się zachować powagę, ale nie potrafił ukryć, że również ucieszył się na jego widok.

– Ekhm... Awansowałem na setnika – odparł lekko zmieszany Tymon i wskazał im miejsce przy stołach, na których zaczęły pojawiać się potrawy i naczynia z alkoholem. Uczta wyglądała na niewiele mniej wystawną od tych, które król organizował w stolicy. – Siadajcie, proszę. Na pewno jesteście głodni i spragnieni.

Dardan spojrzał na Kaję, jakby szukając wsparcia, ale dostrzegł, że kobieta ochoczo maszeruje już w stronę stołów.

– Nie bądźcie tacy podejrzliwi, panie Dardanie – zachęcił Tymon. – Pomówimy o wszystkim. Proszę za mną.

De Brandt ruszył za Hłazem, jednocześnie rozglądając się dookoła i poszukując podejrzanych ludzi. Nie potrafił pogodzić się z tym, że witano go tutaj jak... jak przystało na wysoko urodzonego szlachcica. Jego? Skazanego na banicję syna człowieka, którego oskarżono o zdradę stanu? Widząc, że jego towarzysze już rozsiadają się przy stołach i zabierają się do biesiadowania, musiał pozostać czujny. Tego był pewien.

– No, wreszcie porządne żarcie! – Kahaden cieszył się jak dziecko i zajadał się udkami kurczaka, które z radością podawały mu miejscowe służące. – Dardan! Jest prawie jak u ciebie w domu, no wiesz... za dawnych lat! Albo lepiej! – krzyknął zza stołu.

– Zamknij się. – Jarmos go szturchnął i młodszy z przyjaciół zreflektował się, po czym skupił się wyłącznie na jedzeniu.

Tymon gdzieś zniknął. Dardan wodził wzrokiem po sali. Mimo wiszących na ścianach herbów nie dostrzegał w pomieszczeniu żadnego szlachcica. Wprawdzie De Brandt nie znał wszystkich notabli dawnego Vorenu, ale z pewnością dałoby się ich rozpoznać po ubiorze i sposobie zachowania. Wypatrywał także członków rodziny królewskiej, których pamiętał z uczyty na zamku, w której uczestniczył przeszło rok temu. Złapał się także na tym, że wodzi wzrokiem po kobietach, próbując rozpoznać wśród nich królową Vadienne. Na próżno.

Wciąż nie mógł się nadziwić zachowaniu miejscowych. Fakt, że wszyscy z ogromnym animuszem nadskakiwali przybyłym wraz z nim wojownikom, pozostawał dla niego zagadką. Wyglądało na to, że nikt ich do tego nie zmusza, jakby sami pragnęli w jakiś sposób umilić życie Dardanowi i jego oddziałowi.

– Dlaczego ci ludzie tak się zachowują? – spytał Kaję, która z lubością rozprawiała się z leżącą przed nią na talerzu pieczeńią.

– Hm? Lubią cię tutaj. Mówiłeś, że król cię wygonił – zażartowała, ale Dardanowi nie było do śmiechu.

Popatrzył na nią krzywo.

– Zjadłbyś coś – zachęciła go, odrywając okazały kawał mięsa od kości. – To naprawdę przepyszne.

Dardan nie skomentował. Podczas gdy jego towarzysze ucztowali w najlepsze, on nie tknął niczego z dostępnych posiłków, mimo że skręcało go z głodu. Wreszcie wypatrzył Tymona, który zmierzał w jego stronę, niosąc w ręku jakiś dzbanek.

– Mam! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i podniósł dzban do góry. – Tutejszy specjał. Najlepsze wino, jakie w życiu piłem. Będzie panu smakować, panie Dardanie.

De Brandt trzasnął pięścią w stół. Tymon zachwiał się i nieomal wylał wino z dzbanka.

– Dostyc tego. Siadaj i mów, co tutaj się dzieje!

– Tak jest, panie, już – odpowiedział przestraszony Hłaz i usadowił się obok młodego dowódcy. – Już tłumaczę, tylko się nie denerwujcie, panie.

– Nie będę się denerwował, jak natychmiast powiesz mi, gdzie jest król, gdzie jest szlachta i dlaczego ludzie wokół zachowują się, jakbym był jakimś zasranym bohaterem... – Dardan starał się panować nad emocjami, ale wychodziło mu to ze średnim skutkiem.

– Bo jesteście! To znaczy... nie zasranym – zamotał się Tymon Hłaz. – Jesteście bohaterem, panie Dardanie!



De Brandt uniósł brwi ze zdziwienia.

– Co też wygadujesz, Tymonie?

Setnik nachylił się do niego i ściszył głos, tak by nikt postronny nie mógł ich usłyszeć.

– Król jest chory. Żołnierze wynieśli go z bitwy, ale został ciężko ranny. Niestety wszystko wskazuje na to, że nie zostało mu już wiele życia. W dodatku chyba stracił rozum... Coraz trudniej do niego dotrzeć.

– Ruddabard... umiera? – Dardana przygnębiła ta informacja i sam się sobie dziwił, bo przecież żywił do króla ogromną niechęć.

– Zgadza się. Co więcej... W bitwie nie odniósł żadnych ran. Wiecie, panie... – Tymon ściszył głos jeszcze bardziej. – On przecież udziału w walce nie brał. Stał na wzgórzu i patrzył tylko. Mnie tam wprawdzie nie było, ale żołnierze powiadali, że widząc klęskę swoich wojsk, on... no... zwariował. Zaczął krzyczeć, płakać jak dziecko, a potem zemdłał. Gdy rozbite wojska uciekały z pola bitwy, król miał gorączkę. Cały kraj ogarnięty był wojną i rzezią. Rody szlacheckie w większości wybite, ich posiadłości zniszczone. Przywieźli go tutaj, bo nie było już dokąd uchodzić. Tu, w górach, stan króla jeszcze się pogorszył. Co raz to majaczy i opowiada jakieś niestworzone rzeczy. Nie ma z nim prawie kontaktu.

– Będę mógł z nim porozmawiać?

– Myślę... że tak... Chyba.

– Chyba?

– No bo... Nikt ci chyba nie zabroni, panie?

– Tymon, do rzeczy!

– Rzecz w tym, panie Dardanie, że tutaj nikt właściwie nie dowodzi. Jest król, no ale wiadomo... niedomaga. Poza nim trudno powiedzieć, kto mógłby czegoś zabraniać albo na coś zezwalać.

– Jak to? – zdziwił się Dardan. – A szlachta?

– Szlachta, szlachta... – kontynuował lekko zniecierpliwiony Tymon. – Szlachty już nie ma, już mówiłem. To znaczy, prawie nie ma. Większość

znaczniejszych rodów albo zginęła, albo ratowała się ucieczką gdzie indziej, najpewniej poza kraj. Bogatsi załapali się, zdaje się, na jakiś statek i wątpię, żeby można było na nich liczyć.

– Mhm. – Dardan się zamyślił. Próbował połączyć wszystkie fakty, ale im więcej słyszał, tym bardziej sytuacja zdawała się zagmatwana.

– Panie Dardanie, proszę pozwolić, że poleję wina. Napijcie się ze mną.

– Niech będzie. – Dał się skusić de Brandt.

– Wiem, że niełatwo to pojąć, ale postaram się wszystko streścić, jak należy. Napijmy się.

Dardan zgodził się na toast. Stuknął się kieliszkiem z Tymonem Hłazem i upił łyk wina. Rzeczywiście smakowało wybornie. Przełknął alkohol i pozwolił sobie na odrobinę rozluźnienia. Chwycił nawet niewielki kawałek leżącego na talerzu mięsa, które zaczynało już stygnąć.

– Opowiadaj zatem – zachęcił setnika mniej agresywnym tonem niż poprzednio.

Ten raz jeszcze chwycił kielich z winem i pociągnął zeń łąpczywie.

– Dobrze więc... Zacznę od początku. Kiedy rozstaliśmy się tam, na stepie, zacząłem od razu wypytywać setnika Amona Kazada, co właściwie wydarzyło się w królestwie. Potwierdził wszystko, co już wcześniej od niego usłyszałaś, panie. Że bitwa, że rozbite wojska, no i o królu zaczął opowiadać. Ruddabarda zabrano z pola bitwy z objawami szaleństwa, jak już wcześniej rzekłem. Wraz ze swoją świtą udał się w góry. Amon Kazad musiał podążyć inną drogą, aby w razie czego ściągnąć na siebie pościg tych dzikusów i uratować króla. Tak spotkał twojego towarzysza. – Tymon wskazał siedzącego naprzeciw Jarmosa, który dyskretnie przysłuchiwał się rozmowie, nie dając tego po sobie poznać. – Wędrowaliśmy więc we wskazanym przez ciebie kierunku, panie Dardanie, ale szybko okazało się, że setnik Amon także jest ranny. W drodze zmarł od ran odniesionych w bitwie... Chwilę przed śmiercią przekazał mi dowództwo nad resztą swoich sił.

Tymon westchnął, zaś Dardan pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Po jakimś czasie dotarliśmy tutaj. Przyjęto nas z entuzjazmem. Nasze nadejście nie wzbudziło zresztą zdziwienia miejscowych. Wszyscy tu przyzwyczaili się już do nawiedzających ich od tygodni uciekinierów z Vorenau. Kiedy tu przybyliśmy, dowiedziałem się, że król żyje, ale nie ma się najlepiej, a w dodatku niemal nikt z dowódców królewskiej armii nie przeżył. Również szlachta prawie w całości została wybita przez najeźdźców. Nie ma tu zatem ani arystokratów, ani wysokich rangą wojskowych, a ja jako zwyczajny setnik musiałem wziąć na siebie większą odpowiedzialność, niż wskazywałaby na to moja pozycja.

– A co z rodziną króla? – spytał zaniepokojony Dardan.

– Nie wiadomo. Większość przebywała w stolicy. Zdaje się, że nie zdążyli z niej uciec, nim została zdobyta.

– Vorenau... Zostało zdobyte?

– A jakże. Miasto padło niemal w tym samym czasie, w którym król wraz z armią ponosił klęskę w polu. Tych barbarzyńców było tak wielu, że mogli walczyć jednocześnie na kilku frontach. Od garstki uciekinierów dowiedzieliśmy się, że gród został przejęty.

Vadienne... – pomyślał Dardan. Królewska córka musiała zatem już nie żyć. Ta informacja wstrząsnęła nim mimo woli. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna nie zasłużyła na taki los.

– Wraz z rodziną królewską zginęła większość szlachty. Część poległa w stolicy, zaś część broniąc swoich posiadłości w całym kraju. Uchodzący w górę mieszkańcy kolejno przekazywali informacje o śmierci swoich panów. Podobnie rzecz ma się z generałami i oficerami królewskimi. Tylko nieliczni znaleźli tu schronienie. Cała reszta... albo nie żyje, albo tuła się wciąż po kraju, szukając bezpieczniejszych miejsc.

– Kto więc dowodzi tym miejscem?

– Jest rada miejska. Górale zawsze zarządzali swoim miastem za pomocą rady starszych. To uczciwi ludzie, ale... Nie zrozumcie mnie źle, oni się nie nadają do

rządzenia królestwem. Nie chcą brać odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje. No i jest jeszcze starszy pan van Torian... Ostatni z rodu, ojciec Junona van Toriana. Tego, który...

– Wiem. – Dardan skrzywił się na samą myśl o tym człowieku.

– No więc Hugon van Torian przebywa wraz ze swoją świtą w górnych partiach kamiennego miasta. Praktycznie stamtąd nie wychodzi, nie jest tu lubiany...

– Dlaczego?

– Nie jestem pewien. Pytałem miejscowych i mówili jedynie, że to jakie stare zatargi. Van Torianowie zdobyli swoją fortunę kosztem górali, czy coś takiego... Ale wiecie, panie, ja to na polityce się nie wyznaję.

– Rozumiem. Więc van Torian nie wychyla się, licząc pewnie na to, że król umrze, a wtedy on przejmie władzę?

– Jak mówiłem, panie, polityka to nie moja bajka. Ale nawet jeśli tak jest, to nikt tutaj nie odda mu władzy bez walki. Rozumiecie, panie... To już nie jest to samo królestwo, co jeszcze rok temu. Miejscowi żyją sobie spokojnie, jak żyli. Wojna do nich nie dotarła. Życzliwie przyjmują uchodźców, ale nie mieszają się w wewnętrzne sprawy Vorenau. Nigdy tego nie robili, nie robią i teraz. Ale my, przybysze... No cóż, widzimy, co jest. Król i tak nie nadaje się już do sprawowania władzy, ale póki żyje, jest spokój. Tyle że lada dzień może umrzeć, a wtedy...

– Wtedy co? – Dardan już domyślał się, co usłyszy od setnika.

– Pojawią się te, no... frakcje. Drobniejsza szlachta albo jacyś ambitni watażkowie. Kto wie, może ktoś z górali zechce ogłosić niepodległość, zerwać z Vorenau? A przecież ciągle jest tu wielu żołnierzy wiernych królowi. Do tego nikt nie wie, co zamierza van Torian.

Dardan rozmasował ręką czoło i westchnął ciężko.

– Całe Vorenau... Nikt nie myśli o tym, jak pokonać najeźdźców i odzyskać królestwo. Zamiast tego snują intrygi i planują walkę o władzę...

– Ano... Ale wiecie, panie. My tu... znaczy się ja i kilku innych setników, staramy się w miarę panować nad tym, co się tutaj dzieje. Pilnujemy, żeby

w mieście był porządek. Mamy oczy szeroko otwarte. Patrzymy, czy ktoś czegoś nie knuje. Ale jak długo uda nam się nad tym zapanować? Trudno rzec. Przede wszystkim jednak myślimy o tym, co dalej. Chcemy walczyć z najeźdźcą, co do tego jesteśmy zgodni. Prędzej czy później uchodźcy będą musieli się stąd wynieść. Miasto nie jest samowystarczalne. Gdy zabraknie zapasów, które dotąd przywożono z królestwa, zacznie się głód... Będą zamieszki, zaczną się tarcia. Nas jest tylko kilku, razem mamy może tysiąc strażników. Cała reszta żołnierzy... cóż... nie wiadomo, komu właściwie służy. Póki żyje król...

– Rozumiem – odparł Dardan. Zdecydowanie nie zazdrościł Tymonowi roli, w której się znalazł. Nabrał jednak zaufania do tego człowieka. Ten musiał się wykazać ogromną przytomnością ducha i umysłu. De Brandt był pełen podziwu, że ten zwyczajny, nieco tchórzliwy dziesiętnik stał się nagle jedną z najbardziej odpowiedzialnych osób w królestwie. – Rozumiem, że pilnujecie komnat, w których przebywa król? W razie gdyby...

– A jakże. – Tymon znów ściszył głos. – Pilnujemy. Mamy tam lekarzy, których także nigdzie nie puszczamy. Nie są z tego powodu szczególnie zadowoleni, ale cóż... Jeśli król umrze, nikt nie może się dowiedzieć.

– Dobra decyzja – zgodził się Dardan. – Będę musiał porozmawiać z królem.

– Z pewnością, panie de Brandt. Ale proszę nie spodziewać się po nim wiele. On naprawdę nie kontaktuje.

Dardan wciągnął głęboko powietrze. Złapał się na tym, że zrobiło mu się żal starego Ruddabarda, ale szybko skarcił się za tę myśl.

– No i widzicie, panie Dardanie – ciągnął Tymon. – Wszyscy tu na pana czekali z nadzieją, że to pan zapanuje nad tym wszystkim.

Dardana zmroziło. Mimo iż powoli docierała do niego powaga sytuacji oraz to, że prędzej czy później zostanie poproszony o coś w rodzaju wzięcia odpowiedzialności za losy królestwa, to wciąż nie docierało do niego, w jakiej sytuacji się znalazł...

– No bo, panie Dardanie, musicie wiedzieć, że wasza osoba obrosła tutaj legendą.

De Brandt się nie odezwał. Uniósł tylko brwi i wpatrywał się wyczekująco w setnika.

– Wiązownica. – Tymon wypowiedział tę nazwę niemal z namaszczeniem. – Obroniliście, panie, wieś. Obroniliście chłopów z Wiązownicy i Truden.

– Jeśli już, to my – sprostował Dardan. – Też tam byłeś, przypominam. A poza tym niczego nie obroniliśmy. Sam wiesz, ilu z tych chłopów przeżyło.

Tymon Hłaz przełknął ślinę, jakby bał się, że to, co zaraz powie, może rozjuszyć spokojnego dotąd Dardana. Jego obawy nie były pozbawione podstaw.

– Widzicie, panie... Ja wiem, że to źle brzmi, ale... Musieliśmy trochę inaczej przekazać tę historię miejscowym.

De Brandt spojrział na niego takim wzrokiem, jakby miał za chwilę rzucić się na strażnika i gołymi rękami go udusić.

– Ludzie tutaj myślą, że obroniliście pogranicze. Słyszeli o wielkiej bitwie pod Wiązownicą, której przewodził wygnaniec, Dardan de Brandt, ostatni prawy szlachcic. Oszukany przez króla, waleczny i honorowy. Oni tutaj... wierzą w was, panie de Brandt.

– Oni? Jacy oni? Wierzą w co? W twoją bzdurną historię?

– Ciszej! – syknął Tymon Hłaz, przykładając palec do ust. – Ciszej, proszę.

– Coś ty im naopowiadał, Tymon? – Dardan starał się, jak mógł, by nie krzyczeć, ale z trudem przychodziło mu utrzymanie nerwów na wodzy.

– To, czego potrzebowali! Jacy oni, pytacie? Wszyscy. Miejscowi, uchodźcy. Dowódcy, żołnierze. Słowem... wszyscy. Za moją namową opowieść potwierdzili wszyscy żołnierze zmarłego Amona Kazada. Wieść o bohaterskim Dardanie ogarnęła całe miasto. W obliczu tragedii, która ogarnęła całe królestwo, jesteście, panie, jedyną nadzieją dla tych ludzi.

De Brandt opadł na oparcie krzesła, na którym siedział. W głowie miał taki mętlik, że nawet nie wiedział, jak się zachować.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał po chwili zrezygnowany.

– Bo gdybym tego nie zrobił, panie de Brandt – głos Tymona zabrzmiał tym razem znacznie poważniej – nie byłoby już żadnego Vorenau. Równie dobrze mogliśmy tutaj wszyscy skoczyć sobie do gardeł i nawzajem powyrzynać, podczas gdy armia barbarzyńców dokończyłaby dzieła w całym królestwie. Jeśli ten kraj ma przetrwać, potrzebuje wodza. Prawdziwego... Kogoś takiego jak ty. – Ostatnie słowa były wręcz apelem, oznajmieniem oczywistych prawd. Tymon Hłaz, świadomie lub nie, zrezygnował ze zwracania się do szlachcica na „pan”. – Oni potrzebują ciebie, Dardanie de Brandt. Vorenau cię potrzebuje.

Dardan siedział i ważył wszystkie usłyszane przed chwilą słowa. Próbował uspokoić myśli i oddech. Nie było to proste, zważywszy na panujący wokół harmider. W końcu wstał i na głos, nie dbając o to, czy ktoś go usłyszy, czy nie, zwrócił się do Tymona Hłaza.

– Gdzieś mam wasze Vorenau.

Rzekłszy to, udał się w stronę wyjścia z sali, odprowadzany spojrzeniami zdumionych uczestników uczyty.

\*\*\*

Dardanem targaly emocje. Wyszędłszy z sali, przyspieszył kroku, przechodząc niemal do biegu. Prędko minął pilnujących wejścia do podziemnej hali strażników i znalazł się na ulicach miasta. Nie miał bladego pojęcia, co ma teraz zrobić. Serce zabiło mu szybciej. Czuł potrzebę udania się gdzieś... samemu. Do miejsca, w którym mógłby pobyć sam, przemyśleć wszystko, co usłyszał. Problem polegał na tym, że takiego miejsca nigdzie wokół nie było. Wszędzie widział tłumy ludzi zaprzęgniętych w wir codziennych spraw. Gdy jednak ich mijał, wpatrywali się w niego. Czuł, że większość z nich zdaje sobie sprawę, kim jest. Po rewelacjach usłyszanych od Tymona Hłaza wiedział, za kogo go mają i czego od niego oczekują.

Bohater? Dobre sobie. Legenda? Nie, zdecydowanie nie czułby się dobrze w takiej roli. Pomijając już fakt, że zupełnie się do tego nie nadawał i nie potrafiłby

sprostać oczekiwaniom ludności, czułby się zwyczajnie źle z tym, że cała jego chwała oparta jest na kłamstwie. Był przekonany, że to, co zrobił Tymon, było podłe i niemoralne. Jednocześnie do jego świadomości przebijała się myśl, że być może należało to zrobić. Gdyby spojrzeć na to z innej perspektywy... Może było to słuszne?

Próbował połączyć ze sobą wszystkie fakty. Zebrać jakoś do kupy to wszystko, co usłyszał, i wyciągnąć wnioski. Było to jednak trudne, gdyż przedzierając się przez tłumy ludzi, musiał co chwilę kogoś odepchnąć, przed kimś się uchylić, a do tego pilnować, by nie wyrznąć głową w jakiś słup albo nie spaść ze stromych schodów.

Meandrując pomiędzy mieszkańcami, zawędrował wreszcie do miejsca, w którym było zdecydowanie luźniej. Znalazł się na jakimś położonym wysoko w górach tarasie, z którego roztaczał się piękny widok na usytuowany kilkadziesiąt metrów niżej plac. Dardan pomyślał, że chyba nigdy jeszcze nie był na takiej wysokości. Korzystając z chwili spokoju, usiadł na murku ogradzającym taras od przepaści, pod którą znajdowały się domy, ulice, place i mrowie ludzi. Tutaj nie było prawie nikogo. De Brandt słyszał jakieś kroki i czyjąś rozmowę w oddali, ale w zasadzie mógł uznać, że był sam.

Odetchnął głęboko, korzystając z przyjemnych podmuchów wiatru, które smagały jego twarz. Frustracja powoli go opuszczała. Miejsce, w którym siedział, było tak spokojne, że zamknął oczy i siedział bez ruchu, nie myśląc o niczym. Z zadumy wyrwał go obraz, który pojawił się w jego głowie. Zobaczył własnego ojca. Urban de Brandt spoglądał na niego posepnie, siedząc na swoim fotelu. Poważny i ponury jak zwykle. Z jego oblicza biła jednak duma i poczucie słuszności swych poczynań.

Co powiedziałyby mu teraz ojciec? Czy także wymagałyby od niego, aby odpowiedział na potrzeby mieszkańców kamiennego miasta? Aby został tym, za kogo go mają? Przywódcą? Zbawcą? Legendą? Czy nie przeszkadzałoby mu to, że legenda oparta jest na kłamstwie? Albo na ludzkim cierpieniu? W końcu jakie były



jego zasługi na pograniczu? Rozbił kilka grup barbarzyńców, okupując to śmiercią setek cywili? Z drugiej strony czyż ojciec nie tego właśnie chciał?

Dardan stał teraz przed niepowtarzalną szansą odzyskania dobrego imienia rodu. Król był ponoć niespełna rozumu, szlachty prawie nie było. O wygnaniu młodego de Brandta i oskarżeniach o morderstwo nikt już, zdaje się, nie pamiętał. Jego nazwisko, jego herb mogły wreszcie wrócić na należne miejsce w poczcie arystokracji Vorenau. Czy ważna była cena?

Zdał sobie sprawę, że nawet jeśli jego dokonania na pograniczu nie były godne pochwały, umożliwiły mu znalezienie się w miejscu, w którym był teraz. Przecież dopiero tu miał możliwość, by stanąć przed niepowtarzalną szansą udowodnienia sobie i światu, co znaczy nazywać się de Brandt. Mógł przyjąć to wyzwanie, zebrać wojska, ruszyć na dzikich, wygnać ich z królestwa i... zostać bohaterem. Stać się natchnieniem dla tych ludzi, być może mieć wpływ na to, jak nowe królestwo będzie zorganizowane, i być może...

Nie! – skarcił się w duchu. To idzie za daleko. Ojcie, dlaczego nie możesz mi teraz pomóc?

Gdy tak rozmyślał, usłyszał kroki na kamiennej posadzce za sobą. Obejrzał się i zobaczył, jak dwóch strażników podchodzi do ciężkich, wbudowanych w ścianę rezydencji drzwi. Mężczyźni zapukali, a wrota otwarły się i wyszło z nich dwóch innych strażników.

Zmiana warty. Ktoś pilnował tego domu. Zaraz... Czy to możliwe, że tutaj...

De Brandt wstał i ruszył energicznym krokiem w stronę wracających mężczyzn. Zaczepił ich.

– Co kryje się za tymi drzwiami? – spytał.

– Nie co, ale kto! To królewska rezydencja... – odparł niechętnie jeden z nich.

Dardanowi mocniej zabiło serce. Czy to mógł być przypadek, że włączając się bez celu po mieście, trafił akurat pod drzwi, za którymi najpewniej przebywa Ruddabard? Nie wierzył w takie przypadki. Nie zastanawiając się długo, poczekał, aż strażnicy się oddalą, podszedł do drzwi i energicznie w nie zastukał. Metal

odpowiedział mu głuchym dudnieniem, zaś po chwili w centralnej części wrót uchyliło się okienko.

– Czego tu?

Dardan musiał reagować błyskawicznie.

– Wiesz, z kim rozmawiasz? – zapytał, siląc się na wyniosły ton. – Jestem Dardan de Brandt. Wasz dowódca, Tymon Hłaz, powiedział, że król mnie oczekuje – zaryzykował.

Nie był pewien, czy Tymon miał rzeczywiście takie poważanie wśród strażników ani czy należą oni do jego frakcji. Najwyraźniej jednak trafił w sedno, gdyż drzwi uchyliły się po chwili. Staął w nich wystraszony mężczyzna.

– Oczywiście, panie de Brandt. Proszę wybaczyć. Zapraszam.

Wszedł do środka bez słowa. Znalazł się w rozległym holu, który pełnił rolę stróżówki. Dwaj strażnicy stali niemal na baczność, wpatrując się w podłogę. Jeden z nich nieśmiało wskazał mu drzwi na końcu korytarza.

– Król jest w głównej komnacie.

Dardan bez słowa ruszył w tamtą stronę.

– Panie de Brandt... – Słowa strażnika zatrzymały go, gdy już prawie łapał za klamkę. Odwrócił głowę w jego stronę.

– Król jest... Jak by to powiedzieć...

– Wiem – uciał krótko Dardan i szarpnął za klamkę.

Komnata była ogromna, wcale nie mniejsza od tych, które Ruddabard wraz z rodziną zajmowali w swoim zamku w stolicy. Wnętrze zdobiły najwyższej jakości meble, na ścianach wisiały girlandy, zaś wszystko oświetlały gęsto ustawione złote lichtarze.

Ruddabard IV był cieniem samego siebie. Gdyby nie korona na jego głowie, Dardan niemal by go nie poznał. Po ociekającym tłuszczem wieprzu nie było śladu. Pośrodku komnaty, na kamiennym, wyłożonym poduszkami tronie, siedział wychudzony starszy mężczyzna. Bujna niegdyś fryzura przypominała teraz jedynie kępkę siwej trawy. Zniszczona zmarszczkami twarz nie miała w sobie ani odrobiny

dawnego majestatu. Widok tego człowieka przeraził de Brandta. Nie mógł uwierzyć w to, jak można tak się zmienić w krótkim czasie. Przemiana była tak drastyczna, że wręcz nieludzka. Zupełnie jakby na tronie siedziało uosobienie śmierci, nie zaś żywy człowiek.

Ruddabard patrzył tępym wzrokiem na wchodzącego, choć Dardan nie był pewien, czy rzeczywiście patrzy na niego, czy po prostu przed siebie. Postanowił zbliżyć się do króla. Ten poruszył się nagle, jakby zobaczył ducha. Zacisnął żylaste dłonie na krawędziach tronu, jakby chciał zerwać się z niego, ale udało mu się jedynie nieznacznie przesunąć do przodu.

– Zostaw mnie! – wychrypiał słabym, przerażonym głosem. – Czego jeszcze chcesz? Idź sobie.

– Królu? – zaczął niepewnie Dardan, nie wiedząc, co właściwie powinien powiedzieć.

– Już wszystko mi zabraliście! Wszystko! Chcecie moje życie? Biercie! Nic już nie mam! – jęczał złowieszczo.

– Królu... To ja... Dardan de Brandt.

Ruddabard ocknął się, jakby coś wyrwało go z głębokiego snu, i tym razem chyba naprawdę spojrzął na przybysza. Wyteżył mętne spojrzenie i przekręcił głowę niczym wygłodniały zwierz na widok potencjalnej ofiary.

– D... de... Brandt? – wyjąkał. – T... to ty?

– Tak, królu. Wiem, że nie chciałeś mnie widzieć, ale...

Mężczyzna potrząsnął nerwowo głową. Dardan usłyszał nieprzyjemne chrobotanie kręgów szyjnych.

– To nie może być on. Znowu mnie dręczycie! Czy nie dość mnie ukaraliście?

– Królu, to ja, Dardan de Brandt, syn Urbana. Tego, którego skazałeś na śmierć. Pamiętasz?

Starszy człowiek się zamyślił. Podbródek zadrżał mu, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Urban... Tak... Zabiłem go, bo tak mi kazaliście. Omamiliście mnie już wtedy.

– Kto? – spytał zdziwiony Dardan.

Nie był pewien, czy może brać na poważnie choć jedno słowo tego człowieka. Miałyby problem, by mu uwierzyć, nawet gdyby był w pełni sprawny na umyśle, a co dopiero teraz.

– Nie żartujcie sobie, demony! Piekielne pomioty... Czy skąd tam przychodzicie. Wysługujecie się mną, posyłacie swojego psa! Tego... tego Galiusa, zdrajcę.

– Galiusa? – Dardan uniósł brwi. Czyżby jednak to, co przeżył jakiś czas temu pod swoją posiadłością, nie było fatalnym koszmarem? – Galius kazał ci zabić mojego ojca?

– Zabić. Wygnać. Zdrada. Wszędzie zdrada. Zdradziliście mnie i dalej mnie nękanie. Czy nie dość już wycierpiałem? Kapłani mnie opuścili. Moc Stworzenia to bujda! Wszyscy mnie zdradzili...

Ruddabard majaczył. Dardan czuł, że nie będzie w stanie długo prowadzić tej rozmowy.

– Królu! – zawołał. – Spójrz mi w oczy!

Zbliżył się do twarzy Ruddabarda, niejako zmuszając go, by patrzył wprost na niego.

– Galius za tym wszystkim stoi?

Król uniósł wyżej powieki. Dardan czuł, jakby w jego wnętrzu toczyła się jakaś niezrozumiała walka. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi w tych oczach człowieka – króla Ruddabarda IV – by za chwilę dostrzec w nich jedynie mętny wzrok szaleńca.

– Nie. Nie on. Demony. On... Sprowadził je tutaj. Przyszły wraz z tymi... tymi potworami o czarnych twarzach.

– Dzicy?

– Oni... Nie są dzicy. Oni tu byli przed nami... Oni są... sługami...

– Czyimi sługami, do cholery? – Nie wytrzymał Dardan i natychmiast tego pożałował.

Król zaczął wić się na krześle i skomleć. Wewnętrzna walka trwała w najlepsze. Przez krótką chwilę wydawało się, że Ruddabard ją wygra. Nachylił się w stronę Dardana, kurczowo zaciskając skostniałe palce na poręczach. Jego oczy patrzyły teraz na de Brandta trzeźwo.

– Ratuj ją, Dardan, ona jest niewinna, nieskalana. Oni jej zrobią coś straszego, ratuj ją, proszę!

– Kogo?

– Vadienne! Moją córkę. Proszę, ratuj ją! – niemal wykrzyczał, po czym osunął się na fotel nieprzytomny, zupełnie jakby wypowiedzenie tych słów kosztowało go mnóstwo energii.

Dardan spojrzał na niego, ale nie widział już króla Ruddabarda. Na tronie znów siedział wychudzony, ledwo żywy człowiek.

\*\*\*

De Brandt niemal wybiegł z komnaty i od razu skierował się do wyjścia z budynku, ignorując strażników. Znalazłszy się na zewnątrz, odetchnął świeżym powietrzem. Poczuł niewysłowioną ulgę, zupełnie jakby powietrze w pomieszczeniu, w którym przebywał król, było toksyczne i wysysające energię. Przypomniał sobie wizję demona wychodzącego z ciała płonącej na stosie dziewczyny i przeszło mu przez myśl, że być może ta czarna magia owładnęła także władcą Vorenau. Wolał jednak nie zastanawiać się nad tym dłużej.

Z zadumy wyrwał go widok Kai idącej w jego stronę.

– Szukałam cię – powiedziała, zbliżywszy się do mężczyzny, ten zaś bez słowa wziął ją w ramiona i mocno przytulił. – Czym sobie zasłużyłam? – spytała zdziwiona.

– Miałaś rację. We wszystkim.

– Hm? – Spojrzała na niego zdezorientowana. – Byłeś... u króla? – Wyrzwała zza jego pleców, patrząc na okazałą rezydencję, z której wyszedł.

– Tak. Dzieje się z nim coś niedobrego. Myślę... – Dardan się zawahał. – Myślę, że to wykracza poza nasz świat. Wiem, że brzmi to niedorzecznie, ale nie potrafię tego wyjaśnić.

Kobieta wciąż patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Nie mamy teraz czasu. Musimy wracać do Tymona.

– Dobrze by było. Wszyscy zastanawiali się, co się z tobą stało. Atmosfera... generalnie rzecz biorąc... nie była najlepsza po twoim zniknięciu.

– Kaja?

– Tak?

– Potrzebuję twojej pomocy. To, z czym mamy się zmierzyć, może okazać się ponad moje siły.

– O co mnie prosisz?

– Żebyś w razie czego sprowadziła mnie na ziemię.

– O to możesz być spokojny. – Uśmiechnęła się i szybko pocałowała go w policzek.

\*\*\*

Drzwi do sali otwały się z hukiem i Dardan z Kają pewnym krokiem weszli do środka. Oczy zgromadzonych przy stołach, a także pozostałych gości i służby, błyskawicznie skierowały się na nich. Zapadła cisza. De Brandt postanowił, że nie ma co bawić się w konwenanse. Wskoczył na jeden ze stołów, strącając stojące na nim talerze z jedzeniem.

– Rozmawiałem z królem. – Po sali rozległy się pomruki. – Rzeczywiście nie jest z nim najlepiej. Udało mi się jednak nawiązać z nim kontakt. Król poprosił mnie, żebym uratował to, co ma najdroższego. Jego córkę, Vadienne.

W sali zawrzało. Z różnych stron rozległy się głosy.

– Niby jak?

– Vadienne nie żyje!

– Nikt nie przeżył w stolicy.

Dardan gestem podniesionej dłoni uciszył uczestników uczy.

– Nie wiem, czy ktoś przeżył szturm na stolicę. Nie mam pojęcia, co tam się wydarzyło, ale jedno wiem na pewno: zamierzam spełnić prośbę Ruddabarda. Wyruszę do Vorenau, pozbędę się wszystkich skurwysynów, którzy ośmielili się zakłócić spokój naszego królestwa, i uratuję królową Vadienne. Zrobię to sam albo z waszą pomocą.

Pierwszy ze stołu poderwał się Jarmos i uniósł do góry miecz, który odpiął od pasa.

– Nie będziesz szedł sam!

Po chwili gest powtórzyli wszyscy członkowie oddziału Dardana wraz z Rattem i jego ludźmi.

Do stojących dołączył Tymon Hłaz wraz z innymi setnikami i dziesiętnikami.

– W imieniu armii Vorenau: idziemy z tobą! – odezwał się lekko wstawiony już strażnik.

– Niech żyje Dardan de Brandt! – rzucił ktoś.

– Niech żyje! – odpowiedzieli chórem uczestnicy biesiady i powtórzyli okrzyk jeszcze kilka razy.

Gdy ucichli, Dardan skłonił im się w podziękowaniu i rzekł:

– Dziękuję. Razem mamy szansę odzyskać naszą ziemię i położyć kres tej okrutnej wojnie. – Spojrzał na Kaję. Patrzyła na niego z podziwem, uśmiechając się lekko, choć przyznałyby, że w jej oczach dostrzegł lekki strach.

Wzniesiono toast za Dardana i powodzenie misji. Gdy uczta wróciła już na swoje tory i wszyscy znów zaczęli ze sobą rozmawiać, jeść, pić i cieszyć się własnym towarzystwem, nic już nie było takie samo. Po ponurej i przygnębiającej atmosferze nie pozostał ani jeden ślad. Zupełnie jakby chaos, toczący to miejsce, gdzie się ulotnił.

De Brandt wrócił na swoje krzesło i nachylił się do Tymona Hłaza.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia, panie setniku.
- Tak?
- Musimy spotkać się z Hugonem van Torianem.

\*\*\*

Następnego dnia o poranku delegacja złożona z Dardana, jego najbliższych towarzyszy oraz grupy dowódców z Tymonem Hłazem na czele stanęła pod drzwiami domu zajmowanego przez arystokratę Hugona van Toriana. Pilnujący drzwi strażnicy niechętnie zastukali w drzwi i przekazali komuś w środku wiadomość o przybyszach. Za drzwiami rozległy się ledwo słyszalne głosy rozmów i czyjeś kroki, a potem... zapadła cisza.

Czekali długo, niecierpliwiąc się, gdyż dzień był wyjątkowo gorący i wysoka temperatura zaczynała już doskwierać stojącym na odsłoniętym placu żołnierzom.

– To normalne – szepnął Tymon, nachylając się do Dardana. – Nie byłby sobą, gdyby nie okazał wyniosłości.

– Poczekamy – powiedział nad wyraz spokojny de Brandt.

Wreszcie, po frustrująco długim czasie, drzwi zaskrzypiały i z pomieszczenia wyszedł wysoki mężczyzna w towarzystwie czterech uzbrojonych przybocznych. Ubrany był sztywnie. Jego szaty nie przystawały do uciekiniera z ogarniętego wojną kraju. Sprawiał wrażenie, jakby przybył tutaj na kolejną rodzimą biesiadę. Był nieuzbrojony, za to jego żołnierze stawili się w pełnym rynsztunku, jak na bitwę. Dardanowi zrobiło się ich szkoda, że musieli nosić zbroję przy tak wysokiej temperaturze. Mimowolnie jednak szybko ocenił ich zdolności i stwierdził, że w razie czego nie sprawią większych problemów. On i jego ludzie byli w przewadze.

Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi i zmierzył go pogardliwym spojrzeniem, sondując od stóp do głów.

– Więc to ty jesteś tym wygnańcem.



– Nazywam się Dardan... – zaczął de Brandt, ale Hugon van Torian natychmiast mu przerwał:

– Wiem. Masz niezły tupet, że się tu pojawiaasz. Czy nie jesteś czasem ścigany przez prawo? Powinienem cię aresztować.

– Spróbuj! – wyrwał się Kahaden, a Dardan musiał powstrzymać przyjaciela, łapiąc go pod ramię, żeby nie zrobił czegoś głupiego wyniosłemu szlachcicowi.

Żołnierze van Toriana mechanicznie chwycili za rękojeści mieczy.

– Posłuchaj mnie, van Torian. – De Brandt także miał już dość, ale musiał trzymać fason. Postarał się, żeby jego słowa brzmiały dobitnie, ale dyplomatycznie. – Nie zabiłem twojego syna. Nie zrobiłem tego ja i nie zrobił tego mój ojciec. Zostaliśmy wrobieni. Nie obchodzi mnie, czy mi uwierzysz. Przychodzę do ciebie, bo nasz wspólny dom, Vorenau, stoi na krawędzi przepaści.

Hugon prychnął, okazując Dardanowi pogardę. De Brandt nie spodziewał się zresztą innej reakcji.

– Proponuję ci więc wspólną wyprawę na odsiecz stolicy. Mamy szansę uratować córkę króla, Vadienne. Nie chcę, żebyś robił to dla mnie, ale proszę, zrób to dla niej. Dla królestwa. Wszelkie sprawy pomiędzy nami będziemy mogli rozstrzygnąć później.

Van Torian słuchał cierpliwie, po czym niespodziewanie wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

– Ty pieprzony chłystku. Myślisz, że kim ty jesteś? Twój ojciec był podrzędnym szlachciną, a ty jesteś tylko nic niewartym wyrostkiem. Vorenau już nie ma. Bezmyślne rządy starego Ruddabarda doprowadziły do upadku. Gdyby nie jego zaniedbania, nigdy nie ponieśliśmy tak żenującej porażki. Nic już nie da się zrobić. Nie mam zamiaru narażać życia swojego i swoich ludzi dla twoich fanaberii o odsieczy.

Dardan długo ważył słowa, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

– A zatem duma wygrała. Nie różnisz się niczym od Ruddabarda. – Zmierzył szlachcica przeciągłym spojrzeniem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jarmos, Kahaden, Tymon Hłaz i jego ludzie ruszyli za nim. Gdy oddalili się na odpowiednią odległość i zaczęli schodzić po kamiennych schodach, setnik odezwał się do Dardana.

– Niedobrze się stało, panie de Brandt.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę. Hugon pokazał dobitnie, w jak głębokim poważaniu ma swój kraj.

– Będzie z nim problem. Król niedługo umrze. Jak nas nie będzie, ten człowiek będzie chciał sięgnąć po władzę. Zrobi się nieprzyjemnie.

Dardan zatrzymał się i popatrzył Tymonowi głęboko w oczy. Przez chwilę zastanawiał się, jak bardzo się zmienił, od kiedy spotkał go po raz pierwszy. Wtedy nie docenił mężczyzny. Dziś widział w nim ważnego sojusznika.

– Dlatego musisz tu zostać – powiedział poważnie. – Z silnym garnizonem. Do naszego powrotu będziesz musiał utrzymać pokój.

Tymon początkowo chciał zaprotestować, ale po krótkim zastanowieniu odparł ze zrozumieniem:

– Nie zawiodę cię, panie Dardanie.

# ROZDZIAŁ II

Od wydarzeń w skalnym mieście minęły przeszło dwa tygodnie. Po spotkaniu z van Torianem Dardan i Tymon Hłaz prowadzili inspekcję sił gotowych do wyruszenia na rajd do stolicy. De Brandt planował wyprawę wraz ze swoimi towarzyszami, oceniając siły i potencjalne zagrożenia. Rozmawiał także z żołnierzami, którzy przeżyli przegraną bitwę z dzikimi.

Wnioski nie były zachęcające. Uchodźcy z Vorenau, wsparci ochotnikami górali, byli w stanie wystawić około sześciu tysięcy żołnierzy. Mogło się okazać, że liczba ta będzie zbyt mała, żeby stawić czoła nawale najeźdźców z południa. W dodatku królewskie wojsko już raz przegrało z Czarnymi i morale nie były zbyt wysokie. Dardan mógłby oczywiście liczyć na nieco większą armię, jednak część wojsk należało zostawić w mieście, do pilnowania porządku, w razie gdyby Hugon van Torian zamierzał zrobić coś głupiego.

Dardan zachowywał jednak optymizm. Po pierwsze dlatego, że liczył, iż pewne odniesionego już zwycięstwa, rozproszone po kraju hordy barbarzyńców nie wystawią po raz drugi silnej armii i będzie można po drodze do stolicy kasać ich w mniejszych grupach. Po drugie musiał swoją postawą dawać nadzieję ludziom, którzy w niego uwierzyli.

Mieszkańcy miasta, w przeciwieństwie do żołnierzy, byli w istnie biesiadnych nastrojach. Najwyraźniej przybycie Dardana, który w świetle słów Tymona Hłaza jawił im się jako wybawca Vorenau, napełniło ich serca nowym entuzjazmem. Wielu z uciekinierów, dawnych mieszczan i chłopów zgłosiło się na ochotników do drużyny Dardana. Ten jednak wolał nie zabierać ze sobą nieprzeszkolonych

żołnierzy i nakazał trenować u boku setników, aby ci mogli na nich liczyć w przypadku nieprzewidzianych zdarzeń mogących ogarnąć miasto.

Gdy udało się zmobilizować wszystkich wojowników, Dardan wraz ze swoim oddziałem i na nowo sformowaną armią wyruszyli na południe. Drogę w głąb królestwa pokonali w około tydzień, nie napotykając grup barbarzyńców. Gdy jednak wyjechali z gór i przebrnęli przez otaczające je lasy, zaczęli natykać się na masowe groby, spalone wsie i ślady rzezi. Coraz częściej mijali także stosy, na których najwyraźniej ktoś wcześniej spłonął w rytualnym obrzędzie.

Przy jednym z nich Dardan się zatrzymał, rozkazując żołnierzom jechać dalej przed siebie.

– Dogonię was – powiedział do Kai, która zamierzała protestować, gdy odłączył się od reszty.

– Pozwól mi pójść z tobą.

– Jedź z nimi. Nie zabawię długo.

Kobieta niechętnie ruszyła za kawalerią, kręcąc głową z niezadowolenia. Dardan przeczuwał jednak, że jak tylko zniknie mu z oczu, zawróci i będzie pilnować go z oddali.

Może to i lepiej – pomyślał i ruszył w stronę rozległej łąki, otoczonej z dwóch stron wzrastającą wysoko pszenicą, której nie miał kto zebrać.

Im bliżej był zwęglonego stosu, tym większy ogarniał go niepokój. Przed oczami znów stanął mu demon, który wyszedł z ciała dziewczyny. Przywoławszy to wspomnienie, wzdrygnął się. Dreszcz przeszedł całe jego ciało. Nie był zresztą pewien, czego właściwie szuka. Co chciał osiągnąć, przyglądając się temu miejscu? Mimo iż zdawał sobie sprawę, że najpewniej nie znajdzie tu żadnych wskazówek odnośnie do tego, co wydarzyło się w jego posiadłości tamtej nocy, nie mógł się powstrzymać przed zbadaniem stosu.

Podszedł doń i szybko zorientował się, że ogień dawno już zgasł, a usypana pośrodku polany górka była tylko stertą popiołu, niedopalonych kawałków drewna oraz... ludzkich zwłok. Zwęglony kształt wyglądał makabrycznie i ledwo

przypominał ciało. Dardan nie miał jednak wątpliwości, że kiedyś był to człowiek. Miał także silne przekonanie, że truchło należało do kobiety.

Znów przypomniał sobie drastyczny rytuał, którego był świadkiem. Niezależnie od tego, czy był to sen, czy nie, miał pewność, że to, co tutaj zaszło, musiało wyglądać podobnie. Kobieta została spalona żywcem i umierała w niewyobrażalnych męczarniach, podczas gdy grupa ubranych na czarno zwyrodnialców przyglądała się i śpiewała swoje obrzydliwe pieśni. Pozostawało pytanie: dlaczego stos nie zniknął, jak ten, który widział Dardan? Czyżby coś poszło nie tak? Może rytuał się nie udał? Może fakt, że pozostawiono go i zwłoki świadczył o tym, że demon, którego przyzywano, nie przybył?

Dardan wzdrygnął się na samą myśl o mrocznej istocie nie z tego świata, która najwyraźniej sprzyjała jego wrogom. Kto wie, być może będzie musiał zmierzyć się także i z nim...

Galiusie, coś ty zrobił? – pomyślał de Brandt.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że jego mentor, wychowawca i przyjaciel zadał się z tak strasznymi siłami. To przekraczało jego rozumienie. Nigdy nie wierzył w gusła i niestworzone historie opowiadane przez zabobonnych chłopów. Teraz jednak nie było zbyt wiele argumentów, by nie wierzyć w to, co się działo. Dardan pragnął wierzyć, że Galius został w jakiś sposób owładnięty złymi mocami i możliwe, że wciąż była nadzieja na wyciągnięcie go z ich szponów. Coraz częściej jednak docierała do niego myśl, że opowieści o wyznawcach jakiejś tajemniczej wiary, którzy dawno temu zostali wygnani z Vorenau, są prawdziwe. Czy to możliwe, że Galius był potomkiem tych ludzi? Jakim cudem zachował pamięć o swoich przodkach? Skąd było w nim tyle determinacji, by ich pomścić?

Wyrwawszy się z rozmyślań, zaczął obchodzić pogorzelnisko dookoła. Zrobiło mu się żal zabitej dziewczyny. Przeszło mu nawet przez myśl, żeby wyprawić jej prawdziwy pogrzeb, ale widział, że nie może sobie pozwolić na pozostanie tu przez tak długi czas. Nagle jego uwagę przykuł świecący przedmiot, na który o mały włos nie nadepnął. Schylił się i podniósł do połowy zagrzebaną w piasku bransoletę. Przyjrzał się biżuterii i zdumiał się, jak bogato była zdobiona. To

zdecydowanie nie było bazarowe świecidełko, ale dzieło najprzedniejszych jubilerów Vorenau. Być może nawet jakiś skarb przywieziony przez kupców zza morza.

Ciało Dardana ponownie przeszedł dreszcz. Przedmiot musiał przecież należeć do jakiejś szlachcianki, i to jednej z bogatszych kręgów arystokratycznych. Czy mogła to być Vadienne? Nie, to niemożliwe. Stolica wciąż była jeszcze daleko. Z drugiej strony nie mógł wiedzieć, w jaki dokładnie sposób postępują barbarzyńcy. Czy mogli przywlec ją taki kawał drogi, żeby spalić ją tu, pośrodku niczego? Nie, to nie mogła być Vadienne. Podświadomie przeczuwał, że dla niej dzicy zaplanowali jakiś szczególny rodzaj rytuału. Widział to w swoich snach...

Schował bransoletę do kieszeni i rzuciwszy po raz ostatni okiem na pogorzelnisko i zwęglone zwłoki, wszedł na konia i ruszył w stronę oddziału.

\*\*\*

Dardan zrównał się z Jarmosem.

– Znalazłeś coś?

– Stos i spalone zwłoki – odpowiedział przygnębiony dowódca. – I to.

Podał przyjacielowi bransoletę. Jarmos obracał ją w dłoni, uważnie przyglądając się przedmiotowi.

– Wygląda na drogą.

– Właśnie. Musiała należeć do jakiejś arystokratki.

– Arystokratki?

– Mam teorię, że oni palą na tych stosach tylko kobiety... – wyjaśnił Dardan.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem. Ale nieraz śniłem o tym... i te wydarzenia z posiadłości...

– Sam mówiłeś, że nie wiesz, czy to, co widziałeś, było prawdziwe – przypomniał Jarmos.

– Niczego już nie jestem pewien. Ale pod skórą przeczuwam, że to, z czym mają do czynienia dzicy, ma jakiś związek z siłami nie z tego świata. Ja... chyba...

jakoś je wyczuwam. Coś mnie do nich przyciąga. Dlatego mam silne przekonanie, że z jakiegoś powodu palą tylko kobiety. Może... – Dardan zawahał się, zastanawiając się, czy to, co przyszło mu na myśl, ma jakikolwiek sens.

– Powiedz, co myślisz – zachęcił Jarmos. – Postaram się otworzyć umysł.

– Myślę, że może oni palą tylko dziewice.

Jarmos uniósł brwi i wpatrywał się w przyjaciela ze zdziwieniem.

– Nie przesadzasz? To brzmi jak bajki o smokach, które chłopskie baby opowiadały nam w dzieciństwie.

– Wiem, jak to brzmi – odparł lekko zdenerwowany de Brandt. – Ruddabard mówił coś o tym, że Vadienne jest... nieskalana. Ona zresztą często mi się śniła. Ją też chcieli spalić, jestem tego pewien. Być może już to zrobili.

– A pozostałe kobiety? Skąd możesz wiedzieć, czy chodzi o dziewictwo?

– Nie mam pojęcia. Mówiłem ci, to tylko przecucie.

Jarmos westchnął. Dardanowi nie podobało się, że przyjaciel nie potraktował poważnie jego słów. Z drugiej strony miał świadomość, jak idiotycznie zabrzmiała jego teoria.

– Czyje to ziemie? – zagadnął, by zmienić temat.

Towarzysz zamyślił się przez chwilę, lecz nie odpowiedział od razu.

– Jeśli dobrze pamiętam... Tu gdzieś zaczynają się włości van Torianów.

Dardan skrzywił się, słysząc to nazwisko.

– Czyli odwalamy robotę za tego tchórza, Hugona?

– Na to wygląda.

Robota w ostatnich dniach nie była jednak tak ciężka, jak się spodziewali. Na drodze, którą podążali, nie natknęli się na żadne osady, nie było też grup barbarzyńców, z którymi musieliby się mierzyć. Wiedzieli jednak, że prawdziwa walka miała dopiero nadejść. Z każdym dniem bliżej stolicy napięcie w oddziale narastało.

\*\*\*

Gdy jeźdźcy dotarli do doliny okalającej Vorenau od północy, ich oczom ukazał się przygnębiający widok. Miasto, będące niegdyś imponującym osiągnięciem architektury i pełne przepychu, dziś zmienione było w zgliszcza. Mimo iż po płomieniach dawno nie było śladu, nad budynkami wciąż unosił się gęsty dym. Większość z nich była zburzona, niektóre stały tylko dzięki kamiennym fundamentom i masywnym murom, które straszyły osmalonymi, czarnymi plamami. Niegdyś tętniąca życiem stolica teraz przypominała potworne cmentarzysko.

– Kurwa mać... – powiedział Kahaden, wpatrując się w zrujnowane zabudowania. – Jak można zrobić coś takiego? Piłem w tych knajpach!

– Zwyrrodnialcy – dodał Ratto. – Nie byłem tu nigdy, ale patrząc na miasto teraz... Ehh, aż żal ściska.

– Tyle śmierci... – dodała Kaja. – Po co to wszystko?

– Ciekawe, czy ktoś się uratował... – dodał cicho Jarmos.

Dardan długo się nie odzywał, ale wszystko w nim wrzało. Przypomniawszy sobie swą nietkniętą posiadłość i poczuł złość połączoną z poczuciem winy. Czy naprawdę odpowiedzialny za to wszystko był Galius?

Od miasta biła jakaś dziwna, tajemnicza energia. Dardan odczuwał ją, jakby wnikała pod skórę i przesiąkała każdy fragment jego ciała. Czuł zupełnie nieracjonalny strach, tak jakby wewnątrz osmolonych murów znajdowało się coś niestworzonego. Wiedział, że będzie musiał tam wejść, jednak bał się, że to może być droga tylko w jedną stronę.

– Co robimy? – zwrócił się z pytaniem do dowódcy Jarmos.

De Brandt nie spieszył się z odpowiedzią.

– Zmierzcha się. Miasto wygląda na opuszczone, ale lepiej nie ryzykować odwiedzania go po nocy. Rozbijmy tu obóz.

Siedzący w siodłach towarzysze odetchnęli z ulgą. Zdawało się, że wszyscy czuli ten sam niewypowiedziany lęk bijący od stolicy.



Noc była niespokojna. Dardan nakazał wystawienie wzmożonej warty, ale i tak wątpił, by ktokolwiek zmrzył dziś oczy. Żołnierze byli zmęczeni, ale górę nad zmęczeniem brał strach. Atmosfera tego miejsca nie sprzyjała odpoczynkowi. Zamiast regenerować siły, wszyscy czuwali, jakby oczekując nadchodzącego niebezpieczeństwa. Mieli rację.

Mniej więcej o północy, gdy księżyc w pełni był wysoko nad nimi, coś zaczęło się dziać. Wyczerpani żołnierze zasypiali już z wolna, gdy usłyszeli dochodzące zewsząd odgłosy śpiewów. Dardanowi ciarki przeszły po plecach. Były to te same śpiewy, które słyssał podczas pamiętnego rytuału. Teraz miał już pewnośc – to nie był sen.

– Gotuj broń! – krzyknął de Brandt, zaś jego rozkaz natychmiast został przekazany dalej przez podkomendnych.

Wszyscy zerwali się na równe nogi, chwytając za oręż.

– Na koń! – wrzasnął Dardan, choć wiedział, jak ciężko będzie w tym zamieszaniu zorganizować się setce żołnierzy. Tracił czas i ryzykował potężnym chaosem. Zdawał sobie jednak sprawę, że tylko konno mają szansę wyjść cało z nadchodzącego starcia. Być może nawet trzeba będzie uciekać.

– Dardan, co ty wyprawiasz? – zapytał go Jarmos.

– Zaufaj mi. – Zmierzył wzrokiem oświetlonego wątpym światłem pochodni towarzysza. – Wszyscy muszą być na koniach!

Chwilę zajęło, nim wojownicy zaczęli odnajdować swoje zwierzęta i siodłać je w pośpiechu. W międzyczasie śpiewy nasilały się i dochodziły już wyraźnie z miasta.

– Kto na koniu, na wzgórze! – zakomenderował Dardan. Rozkazał Jarmosowi zorganizować szyk na najbliższym podwyższeniu terenu.

– Zbierz, kogo się da – rzucił w stronę przyjaciela, sam zaś wskoczył na koń i ruszył na drugi koniec obozu, by samodzielnie dopilnować mobilizacji i pogonić maruderów. Mijając wartowników, ostrzegł ich, by mieli oczy i uszy szeroko otwarte.

Mimo płonących gęsto pochodni i ognisk niewiele było widać poza obozem.

– Nasłuchujcie śpiewów. Być może nie dochodzą tylko od strony miasta.

Nie pomylił się. Drugą, nieco inną pieśń usłyszał, gdy mijał pobliski zagajnik.

Idą od południa – pomyślał.

Gdy już był pewien, że nieprzyjaciel zmierza ku nim z dwóch stron, do jego uszu dotarły dźwięki trzeciej pieśni. Północ... od strony osady chłopskiej pod miastem. Jeszcze chwilę i będą otoczeni...

– Dardan, co się, do cholery, dzieje? – Ratto wpadł na niego, gdy wjeżdżał do drugiej części obozu.

– Okrążają nas. Wszyscy na koń i na wzgórze!

Były watażka nie zakwestionował rozkazu, rozumiejąc powagę sytuacji. Od razu zaczął popędzać powierzonych pod jego komendę ludzi.

W obozie panowało coraz większe zamieszanie. Im głośniejsze stawały się odgłosy chóralnych pieśni, tym silniejsze przerażenie wkradało się w szeregi wojowników. Pośpiech również im nie sprzyjał i żołnierze nierzadko potykali się i wpadali na siebie. Konie także zaczęły wyczuwać wszechobecną panikę, rżąc niespokojnie i tupiąc kopytami. Kilka z nich uciekło.

Dardan, widząc, że mimo wszystko coraz więcej z jego ludzi wypełnia jego rozkaz i gromadzi się na wzgórzu, postanowił wyjechać naprzód barbarzyńcom, żeby ocenić ich siły. Spiął konia, który niechętnie pogalopował w stronę miasta.

Wiedziony pieśnią zbliżył się do murów na odległość strzału z łuku. W rękę trzymał pochodnię, ale ta nie rzucała wystarczająco dużo światła, by dostrzec cokolwiek w oddali kilkudziesięciu metrów. Mimo to młody dowódca zorientował się, że bramy miejskie otwarły się i zza murów wychodzi powoli chmara ludzi. Nie. Nie ludzi. Dardan był już niemal pewien, że to, z czym mieli do czynienia, niewiele miało wspólnego z jego gatunkiem. Ludzie nie maszerują w zupełnej ciemności.

Pieśń była coraz bliżej, podobnie jak idące ku nim grupy dzikich. Z trzech stron wylewała się z wolna, niczym pełzająca fala, horda barbarzyńców. Chóralny śpiew zlewał się w przerażającą, demoniczną arię.

Nie mieli z nimi szans. Gdy tylko ta myśl dotarła do Dardana, zawrócił konia i pognął na wzgórze, na którym już gromadziła się większość jego armii. Dostrzegli go i zaczęli formować szyk. Nie mieli wiele czasu. Należało coś zrobić. Natychmiast.

– Odwrót! – krzyczał do szykujących się do bitwy wojowników. Widział ich przerażone twarze i wiedział, że do tego starcia absolutnie nie może dojść. Nie tutaj. Nie teraz. – Odwrót! Na wschód, ku rzece!

Okalająca dolinę Vorenau rzeka znajdowała się około kilkaset metrów od miejsca, w którym przebywali. Musieli tylko przejechać przez wzgórze i płaskowyż, by potem skierować się w dół niezbyt stromego zbocza. Mimo wszechobecnej ciemności powinno im się to udać.

Zdążymy – pomyślał Dardan.

Rzeczka nie była szeroka, ale jej nurt był wystarczająco bystry, żeby powstrzymać nawałę dzikich, którzy przyspieszali kroku i lada chwila mieli udać się w pościg.

– Za mną! – Rozpędzony de Brandt minął zawracającą kolumnę jeźdźców i z pochodnią w ręku wytyczał drogę. Chwilę później zrównał się z nim koń dosiadany przez Jarmosa.

– Nie walczymy? – spytał przyjaciel, któremu nocny wiatr rozwiewał włosy.

Pędzili coraz szybciej i musieli krzyzczeć do siebie, żeby się porozumieć.

– Tutaj nie damy im rady, wierz mi.

– Jesteśmy na wzgórzu! Wykorzystamy przewagę i zgnieciemy ich.

– Nie! Oni... idą w zupełnej ciemności. Nie potrzebują światła, żeby maszerować w zwartym szyku. Oni nie są tacy jak my, Jarmos. To będzie rzeź!

– Co zamierzasz? – Towarzysz zdecydował się nie podważać zdania dowódcy.

– Niedaleko jest wąski bród. Przejedziemy go i ustawimy się wzdłuż rzeki po drugiej stronie.

Jarmos pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Pokieruj prawą flanką! Ja znajdę Kahadena – krzyknął, po czym odbił w lewo, w stronę grupy jeźdźców, którzy dotarli na wzgórze najpóźniej. Po chwili znalazł drugiego przyjaciela, który wraz z Kają poganiał ostatnich maruderów.

Niedługo potem cała armia staczała się ze zbocza w stronę odbijającej światło tafli rzeki. Gdy konie zanurzyły kopyta w wodzie, Dardan odetchnął z ulgą. Zdażyli. Z jakiegoś powodu był pewien, że właśnie udało im się uratować skórę. Wydał rozkazy swoim podkomendnym, sam zaś zawrócił konia. Czekając, aż kawaleria przeprawi się na drugą stronę rzeki, wypatrywał maszerujących barbarzyńców. Musieli zyskać nad nimi przewagę, gdyż pieśni ucichły. Gdy znów je usłyszał, większość konnych gromadziła się już na drugim brzegu.

Najpierw ich usłyszał, dopiero potem zobaczył. Oświetlane bladym, odbijanym przez księżyc blaskiem wzgórze zamieniło się w potworne mrowisko. Setki, może nawet tysiące dzikich pojawiało się na wzniesieniu i zbiegało z krzykiem w stronę stojących nad wodą żołnierzy.

– Łucznicy! – krzyknął Dardan najgłośniejszym głosem, jak potrafił.

Z ruchu po drugiej stronie rzeki wywnioskował, że został usłyszany.

– Gotuj! – Uniósł dłoń, w której wciąż ścisnął pochodnię, wysoko w górę. Gdy uzbrojona w łuki część wojowników napięła cięciwy, machnął z całej siły pochodnią. Płomień zatoczył krąg, zaś iskry rozprysły się na wszystkie strony.

Rozległ się świst wystrzeliwanych strzał i pociski przeleciały mu nad głową. Wiele z nich musiało trafić w cel, gdyż na zboczu udało mu się dostrzec padających jak muchy dzikich. Umierali po cichu, nie wydając z siebie jęków bólu. Trafieni przewracali się po prostu i staczali ze wzgórza, trując przy tym pozostałych.

– Strzelać bez rozkazu! – zawołał dowódca i kolejny grad strzał posypał się z rzeki.

Coraz to nowe pociski wzbijały się w niebo i opadały na falę nacierających niczym morderczy deszcz. Dardan uśmiechnął się lekko, widząc zadawane wrogowi straty. W innych okolicznościach z pewnością poczułby dumę z wymyślonego przez siebie manewru. Nic nie wskazywało jednak na to, że

łucznicy powstrzymają nacierających. Ze wzgórza zbiegały coraz to nowe hordy dzikich. Fale barbarzyńców wylewały się z za wzniesienia niczym smoła z nieskończonego wiadra. Część z nich zbliżała się już do rzeki, więc Dardan chwycił mocniej lejce konia, zawrócił go i pognał w stronę towarzyszy. Gdy znalazł się na drugim brzegu, pierwsi nieprzyjacielem byli już przy brzegu.

– Nie przerywać ostrzału! – rozkazał, po czym okręcił się w siodle i zwrócił frontem ku rzece.

Obserwował wroga. Dzicy chyba początkowo nie zdawali sobie sprawę z tego, jak głęboka jest rzeka w tym miejscu. Niektórzy zaczęli brodzić, ale natychmiast padali ofiarą łuczników. Reszta po prostu wskakiwała do wody niczym bezmyślna zwierzyna. Jaki człowiek mógł rozumować w ten sposób?

Wiele krwi upłynęło z biegiem rzeki, nim barbarzyńcy zorientowali się, że mogą przedostać się na drugą stronę jedynie przez wąski bród, gdzie muł i kamienie umożliwiały przejście po kolana w wodzie. Spowolniło ich to, dając żołnierzom czas na sformowanie nowego szyku. Jeźdźcy utworzyli szczelny krąg. Najciężej uzbrojeni czekali najbliżej rzeki, zaś reszta, z łucznikami włącznie, stała w kolejnych rzędach. Tak mogli długo się bronić. W razie czego ucieczka także była możliwa. Wszystko wskazywało na to, że dzicy nacierali tylko od strony wzgórza. Gdyby jednak w jakiś sposób przeszli rzekę w innym miejscu... Dardan i jego ludzie byliby otoczeni i czekałaby ich pewna śmierć.

De Brandt przypomniał sobie słowa żołnierzy ocalałych z przegranej przez wojska królewskie bitwy. Mówili oni, że armie barbarzyńców były doskonale dowodzone. W działaniach, które właśnie obserwował, nie było widać żadnego dowodzenia. Po prostu bezmyślna chmara uzbrojonych dzikusów starała się forsować rzekę, padając niczym muchy pod naporem strzał. Lada chwila pierwsi z nich dotrą na drugi brzeg, ale nieprędko uda im się zrobić to w takiej liczbie, żeby przygotowani do obrony żołnierze nie byli w stanie ich zatrzymać. Jak wielu ich było? Ilu swoich byli w stanie poświęcić? Czy ktoś wreszcie zacznie nimi dowodzić?

Galius...

Dardan pomyślał o dawnym towarzyszu. To on musiał być tym dowódcą... mesjaszem. To on wtedy prowadził rytuał. To dzięki niemu jego rezydencja była nietknięta. To Galius musiał dowodzić armią, która pobiła królewskich. Z tej obserwacji płynął tylko jeden wniosek – dawnego sługi tutaj nie było.

– Gdzie w takim razie jesteś, stary przyjacielu? – spytał sam siebie Dardan i nagle zdał sobie sprawę z przerażającej perspektywy.

Co, jeśli stary sługa jego rodziny przewidział to wszystko? Co, jeśli wyprzedzał każdy ich ruch i fakt, że idąca z odsieczą armia Dardana związała się w bezsensownym, długim boju tutaj, na brzegu rzeki, był dokładnie zaplanowany? A jeśli... Dardana przeszedł dreszcz. Co, jeśli w tym czasie dzieje się coś znacznie gorszego?

– Kaja! – krzyknął i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu towarzyszki.

Wypatrzył ją wśród łuczników, posyłającą w błyskawicznym tempie strzałę za strzałą w kierunku wroga. Dardan po raz kolejny musiał przyznać, że kobieta miała niezwykle umiejętności. Każdy wypuszczany przez nią pocisk bezbłędnie trafiał do celu.

– Kaja! Muszę dostać się do miasta.

– Zwariowałaś?! – oburzyła się kobieta.

– To nie jest główna walka. Oni chcą, żebyśmy tu utknęli.

– Co ty wygadujesz? Skąd możesz to wiedzieć?

– Zaufaj mi. Czuję to. Galius jest w mieście. On chce, żebyśmy trzymali się z daleka. Dlatego wysłał armię w środku nocy. Wiedział, że się wycofamy.

– Nie puszcze cię samego.

Słowa kobiety go zaskoczyły. Spodziewał się, że będzie go odwozić od szalonego pomysłu. Długo mierzyli się wzrokiem. Dardan wiedział, że nie powinien zabierać jej ze sobą. Nie mógł jej narażać. Nie miał pojęcia, jak to się skończy. Z drugiej strony pragnął mieć ją przy sobie. Obawiał się, że cokolwiek działo się teraz w stolicy, sam może temu nie podołać.

– Musimy odnaleźć Jarmosa.

Dojrawszy przyjaciela, musieli odciągnąć go od głównej linii frontu. Obrona trzymała się bardzo dobrze i można było pozwolić sobie na krótką wymianę zdań.

– Posłuchaj mnie uważnie – musiał przekrzykiwać szcęk stali, okrzyki żołnierzy i świst strzał. Bitwa z wolna przenosiła się na suchy teren na brzegu rzeki – musisz przejąć dowodzenie armią. Utrzymaj tę pozycję tak długo, jak się da. Jeśli zaczniemy ponosić straty, wycofaj się.

– O czym ty mówisz?! – spytał zdziwiony Jarmos.

– Idę do stolicy.

– Co?!

– Czas położyć temu kres. Muszę tam iść, sam. Teraz, kiedy większość z nich jest związana walką.

– Nie ma mowy! Pobjemy ich tutaj, a potem udamy się do miasta.

– Może być za późno.

– Skąd ty to w ogóle wiesz?

– Nie wiem, do cholery! – podniósł głos de Brandt. – Galius tam jest. Czuję to. Muszę stawić mu czoła. Ty zaś musisz tu zostać i mi to umożliwić, rozumiesz?

– Nie rozumiem ani trochę, Dardan – powiedział przyjaciel i zamilkł na chwilę. – Ale zrobię to, o co prosisz.

– Dziękuję, przyjacielu. – De Brandt spojrzał na niego, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć. – Dokop tym skurwysynom.

– Bądź pewien!

Dardan skinął głową na Kaję i dyskretnie wycofali się z pola walki. Niektórzy z żołnierzy ze zdziwieniem wodzili za nimi wzrokiem. Po drodze minęli Ratta, który pozdrowił ich wesoło, po czym z całej siły cisnął toporem w nadbiegającego od rzeki dzikiego. Nieprzyjaciel padł trupem.

– A wy co, uciekacie?

– Przenosimy walkę gdzie indziej – zażartował Dardan. – Trzymaj pozycję.

– Robi się!

Po chwili dwójka samotnych jeźdźców oddaliła się od tłumu walczących. Spięli konie i pognali wzdłuż brzegu rzeki, zgodnie z jej prądem.

– Ktoś za nami jedzie – zauważyła Kaja.

De Brandt natychmiast obejrzał się za siebie, nie zwalniając galopu. Zmarszczył brwi i ściągnął lekko lejce. Koń zmniejszył prędkość. Po chwili dogonił ich trzeci jeździec.

– Co ty wyprawiasz, Kahaden? – zrugął przyjaciela dowódca.

– Jeśli myślałeś, że puszczę was samych, to chyba za dużo opileś się tego wina z kamiennego miasta – starał się zażartować chłopak, ale niełatwo było mu ukryć strach, który Dardan dostrzegał w jego oczach. – Przydam się wam. Ja też przecież znam Galiusa.

De Brandt przełknął ślinę. Już miał zamiar kategorycznie nakazać przyjacielowi, by zawrócił konia, gdy jadąca kilka metrów przed nimi Kaja zawołała:

– Jedzicie czy nie? Nie mamy czasu!

Dardan nie stawał dłużej okoniem. Jakkolwiek nie chciał nikogo więcej narażać, ciągnąć ze sobą na szaleńczą wyprawę, cieszył się jak cholera, że przyjaciel jest z nimi.

Trójka jeźdźców pognęła wzdłuż rzeki, oddalając się od bitwy i szukając miejsca, w którym będzie można łatwo przedostać się na drugi brzeg.



## ROZDZIAŁ 12

Noc dobiegała końca. Łuna wschodzącego słońca, schowanego jeszcze za horyzontem, nieśmiało rozświetlała krajobraz. Szczęk stali i odgłosy bitwy ucichły już dawno.

Dardan, Kaja i Kahaden zmuszeni byli zostawić konie nad wodą i ruszyć w pław, gdyż nie znaleźli żadnej płycizny, którą mogliby przebyć wierzchem. Zmęczeni po trudnej przeprawie w poprzek prądu rzeki, musieli odpocząć chwilę na drugim brzegu. De Brandt nie pozwolił jednak na dłuższą przerwę, gdyż z każdą chwilą czuł, że powodzenie jego misji się oddala. Do miasta nie było daleko i szybki marsz zapewniał dotarcie tam w niecałe dwa kwadransy.

– Musimy zdążyć przed świtem – pogonił towarzyszy, podnosząc się z ziemi.

Kaja i Kahaden bez słowa ruszyli za nim. Każdy z nich miał przy sobie tylko podstawowe uzbrojenie – miecz i nóż. Kaja dodatkowo zabrała ze sobą łuk. Na nic więcej nie mogli sobie pozwolić. Było więc jasne, że podczas misji, na którą się udają, lepiej nie nastawiać się na ciężkie walki.

Gdy dotarli do miasta, dostrzegli, że od strony północnej wokół stolicy wciąż gromadzą się hordy barbarzyńców. Co jakiś czas większe grupy ruszały w stronę wzgórza, za którym znajdowała się rzeka i bród, gdzie z pewnością w dalszym ciągu rozgrywała się zażarta bitwa.

– Dużo ich... – zauważył Kahaden, gdy przykucnęli w zaroślach niedaleko miejskich murów. – Oby nasi wytrzymali.

– Bród jest wąski – powiedział Dardan. – Żołnierze będą się rotować, powinni wytrzymać długo... O ile tamci nie zmienią taktyki.

– Cholera ich wie...

– Nie możemy o tym teraz myśleć – zwróciła im uwagę Kaja. – Lepiej chodźmy.

Towarzysze zgodzili się i ruszyli dalej, korzystając z faktu, że kolejne grupy dzikich w pośpiechu ruszały na wzgórze.

– Przez główną bramę nie wejdziemy. Musimy znaleźć inny sposób – przytomnie zauważyła Kaja, gdy znaleźli się tuż pod murami.

– Od północy jest mniejsza brama. Może spróbujemy tam? – spytał Kahaden.

– Wygląda na to, że nie mamy wyjścia – skwitował Dardan i trójka skierowała swe kroki w ustalonym kierunku.

Poruszali się wzdłuż murów po cichu, starając się pozostać niezauważonymi. Robiło się coraz jaśniej, więc musieli się spieszyć. Po jakimś czasie dotarli do bramy, która ku ich zaskoczeniu była otwarta i niepilnowana.

– Nie podoba mi się to – wycedził przez zęby Dardan.

– Zupełnie jakby chcieli, żebyśmy tam weszli. A co, jeśli to pułapka? – zapytał przytomnie Kahaden.

Dardan udzielił odpowiedzi po chwili namysłu.

– Idziemy. Pułapka czy nie, nie ma już odwrotu. W każdym razie nie dla mnie. – Spojrzał wymownie na swoich towarzyszy, ale ci pozostali niewzruszeni.

– Nie pozbędziesz się nas. – Przyjaciel się uśmiechnął, a Kaja nawet nie uznała za stosowne przytaknąć.

Wśliznęli się do środka przez uchylone wrota. Zgodnie z przewidywaniami ulice miasta były zupełnie puste. Wokół straszyły na wpół zwęglone budynki, zaś na ulicach wciąż widać było ślady zaschniętej krwi.

– Urządzili tu rzeź – stwierdził z przekonaniem de Brandt, mimo iż na pierwszy rzut oka nie było widać leżących nigdzie ciał.

– Zabili wszystkich mieszkańców i uprzątnęli ciała? Gdzie w takim razie są? – rzuciła pytanie w eter Kaja.

– To bez sensu. Wszyscy tak po prostu poszli walczyć z naszą armią? Zostawili miasto puste? – dorzucił od siebie Kahaden.

– Nic tutaj nie trzyma się kupy. Dlatego musimy być czujni. Rozglądajcie się uważnie. – Dardan z wolna ruszył w kierunku centralnej części miasta.

Idąc, spojrzął na wzgórze zamkowe. Budowla, w której dawno temu ucztował wraz z królem i jego rodziną, stała nieruszona. Zniszczenia najwyraźniej ją ominęły. Z oddali nie było widać żadnych oznak bitwy, jakby nikt nie bronił zamku.

Czy to możliwe? – zastanawiał się Dardan. Kiedy Ruddabard ze swoimi żołnierzami poszedł walczyć na przedpolach stolicy, z pewnością zostawił część żołnierzy w zamku. A co z jego rodziną? Służbą? Co z Vadienne?

Szli powoli, uważając na każdy krok. Zmuszeni byli zaglądać w każdą uliczkę i upewniać się, że za rogiem nie czai się nieprzyjaciel. Mimo iż miasto wydawało się zupełnie puste, w powietrzu czuć było odór śmierci. Niebezpieczeństwo z pewnością na nich czyhało, nie wiedzieli jeszcze tylko, gdzie i kiedy uderzy.

Minęli rynek. Piękny niegdyś plac wyglądał strasznie. Jakby znaleźli się w jakiejś przerażającej wersji świata, w której zamiast życia, dobra i piękna królują śmierć i zniszczenie. Nadpalone budynki upiornie nachylały się nad splamionym krwią brukiem.

Dardan skierował wzrok w górę i się zatrzymał. Towarzysze spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Dziwne... Powinno już świtać, a od kiedy weszliśmy do miasta, cały czas jest ciemno. W dodatku ta luna...

– Jakby słońce nie chciało wstać... – Kahaden był śmiertelnie poważny. De Brandt dawno nie widział go tak przerażonego.

Rzeczywiście, czerwone płomienie przebijały się delikatnie przez nienaturalnie ciemne chmury, ale wraz z upływem czasu wcale nie robiło się jaśniej. Wtedy też Dardanowi zaświtała w głowie mroczna myśl. Przypomniał sobie demona, którego widział podczas rytuału. A jeżeli trafili do jego świata? Albo, co gorsza, to on przejmuje władzę nad ich światem?

Natychmiast otrząsnął się z zadumy. Ruszyli dalej. Z wolna zaczęli kierować się w stronę wzgórza, nad którym górował zamek. Do rezydencji królewskiej prowadziły szerokie, kamienne schody. Nie były strome, zaś góra była dość wysoka, dlatego też droga niezwykle im się dłużyła.

– Zimno tu – zauważył Kahaden. – Jak nie w lecie.

Dardan nie skomentował. Powoli nabierał pewności, że siły, z którymi przyjdzie im się mierzyć, nie są z tego świata. Nienaturalne zimno w letni poranek nie dziwiło go już tak bardzo. Znalazłszy się na szczycie, tuż u bram zamku, usłyszeli coś, co zmroziło im krew w żyłach.

Śpiew.

Ten sam demoniczny pomruk, który towarzyszył hordom dzikich idących na wojska Dardana. Odgłosy dochodziły z wewnątrz i nasiliły się, gdy de Brandt pchnął uchylone drzwi prowadzące do komnat. Nie był zaskoczony, że i tym razem nikt nie pilnował wejścia.

– Cholera, co my robimy?! – Nie krył przerażenia Kahaden. – Idziemy prosto w pułapkę.

Dardan milczał. Wiedział, że przyjaciel ma rację, jednak teraz nie miało to już znaczenia. Nie mógł się powstrzymać przed stawianiem kolejnych kroków. Zupełnie jakby coś, jakaś nieopisana moc, wzywało go do siebie.

Stanęli w głównym korytarzu, na którego końcu znajdowała się wielka sala bankietowa. Ta sama, w której poznał Vadienne – z kamiennym paleniskiem pośrodku. Z sali dochodziły coraz głośniejsze śpiewy, a także silne ogniste światło. Palenisko płonęło.

Zbliżyli się do drzwi prowadzących do ogromnej komnaty i zajrzeli do środka. Wyglądała dokładnie tak, jak Dardan ją zapamiętał. Brakowało jedynie stołów. Zamiast tego w kręgu wokół paleniska stały czarne postacie w kapturach. Śpiewały. Przygotowywały rytuał. Były jak w transie. Pochłonięte śpiewem, zwrócone twarzami ku ogniewi, nie dostrzegły przybycia trójki towarzyszy. De Brandt, zupełnie bezwiednie, chciał już wejść do sali, ale Kaja szarpnęła go za ramię.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła.

Otrząsnął się i spojrzał jej w oczy. Poczucił się jak wyrwany z transu.

– To rytuał. Widziałem go. Wtedy, w posiadłości. Zamierzają kogoś spalić na tym stosie, nie mogę do tego dopuścić – powiedział szeptem.

– Ale nie w ten sposób! Tak po prostu tam wejdiesz? Zabiją cię.

– Ona ma rację. Musimy obmyślić plan – poparł kobietę Kahaden.

Na plan nie było jednak czasu. Usłyszeli kroki w jednym z bocznych korytarzy. Kahaden zareagował błyskawicznie. Dopadł do drzwi najbliższej komnaty i pchnął je. Ustąpiły, a oni natychmiast wbiegli do środka i zatrzasnęli za sobą wrota. Była to najwyraźniej jedna z komnat przeznaczona dla służby, gdyż nie obfitowała w bogaty wystrój jak reszta reprezentacyjnych pomieszczeń. W środku znajdowały się tylko proste meble, kilka kufrów i stare łóżka.

Dardan dopadł do drzwi i nasłuchiwał. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Oprócz odgłosów marszu usłyszeli nagle, jak ktoś wypowiada słowa w niezrozumiałym języku. Dardan i Kahaden spojrzeli po sobie.

– Galius – wyszeptali jednocześnie.

– Oni mają Vadienne. Jestem tego pewien – dodał dowódca. – Będą chcieli złożyć ją w ofierze w tym swoim popieprzonym rytuale.

– Przyjrzałam się dokładnie. W sali nie było żadnej kobiety.

– W takim razie może być cały czas na terenie zamku.

– Musimy ją znaleźć!

Odczekali jakiś czas, aż kroki ucichną. Delegacja z Galiusem na czele najpewniej znalazła się już w komnacie. Śpiewy stały się jeszcze głośniejsze. Wykorzystali ten moment, żeby wyjść i ruszyć korytarzem w stronę innej części zamku.

– Przeszukamy cały zamek. Każde pomieszczenie – oznajmił Dardan, gdy znaleźli się w miejscu, w którym nie dało się ich już usłyszeć w głównej sali.

– Może zaczniemy od komnat rodziny królewskiej? – zaproponował Kahaden i de Brandt kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Udali się na górę po stromych schodach. Dardan przypomniał sobie, że raz już szukali Vadienne w tym miejscu. Wtedy nie udało im się jej odnaleźć. Oby tym razem było inaczej...

– Rozdzielmy się – zaproponował, gdy znaleźli się na skrzyżowaniu trzech korytarzy. W każdym z nich było kilkanaście pomieszczeń mieszkalnych. – Spodziewam się, że wszyscy są już w głównej sali.

– Dlaczego więc miałoby ją tutaj trzymać? – zapytała Kaja.

Dardan uznał to za słuszną uwagę, ale nie był w stanie znaleźć odpowiedzi.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie traćmy czasu – odpowiedziała kobieta i ruszyła do pierwszego korytarza.

Kahaden udał się do kolejnego.

De Brandt sprawdzał każdy pokój po kolei, spiesząc się przy tym, jak gdyby goniło go stado dzikich zwierząt. Wpadał do kolejnych komnat i upewniając się, że są puste, ruszał dalej. Zaskoczyło go, że pomieszczenia były nienaruszone. Żadnych śladów walk, grabieży ani nawet najmniejszego używania. Wszystko wyglądało tak, jakby mieszkańcy wyszli tylko na chwilę i już nigdy nie wrócili do swoich domów.

Dardan przeczesał wszystkie komnaty i nie znalazł w nich nikogo. Miał nadzieję, że jego towarzysze mieli więcej szczęścia. Opuścił ostatnie z pomieszczeń i stanął jak wryty. Na końcu korytarza, przy schodach, czekał na niego Galius w towarzystwie dwóch osiłków w kapturach.

– Mogłem się spodziewać, że nie odpuścisz, paniczu Dardanie – powiedział swoim zwyczajnym głosem, który de Brandt dobrze znał.

– Galius. Cokolwiek cię opętało, musisz z tym walczyć.

– Mylisz się. – Starzec wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. – Żałuję, że niczego nie rozumiesz. Miałem nadzieję, że kiedyś staniesz u mojego boku.

– O czym ty mówisz? Jak mogłeś zabić tych wszystkich ludzi? Co zrobiłeś Vadienne?

– Jeszcze nic. Dziewczyna jest dla nas zbyt cenna.

– Dla nas? Od kiedy to masz nowych przyjaciół?

– Od zawsze, mój drogi Dardanie. Jestem jednym z nich.

De Brandt uniósł brwi ze zdziwienia. Uświadomił sobie, że tak naprawdę nic nie wiedział o swoim dawnym słudze. Znał go już jako dorosłego człowieka, który pracował dla jego rodziny. Ojciec nigdy mu o nim nie opowiadał, a sam Galius niechętnie dzielił się informacjami o swojej przeszłości. Czy to możliwe, że...

– Zgadza się. – Starzec wyrwał go z rozmyślań, zupełnie jakby odczytywał jego myśli. – Jestem jednym z tych, których nazywacie Czarnymi, barbarzyńcami. Nazywajcie nas zresztą, jak chcecie, to już nieistotne.

– Ale... Dlaczego?

– Dlaczego co? Dlaczego chciałem uratować mój lud? Tobie, Dardanie, nie powinno być trudno to zrozumieć. Sam przecież chciałeś odzyskać utracony honor ojca. Ja także. Czy to naprawdę takie dziwne, że nie chciałem patrzeć, jak cały mój kraj umiera z głodu, skazany na pewną śmierć przez moźnych tego świata, takich jak Ruddabard?

– Co Ruddabard ma z tym wspólnego, do cholery?!

– Wszystko, mój drogi. To władcy Vorenau, dokładnie tacy jak nasz kochany król, wiele lat temu wygnali nasz lud z rdzennych ziem. Nie podobało im się, że w królestwie, w którym panują jasne zasady z podziałem na mogącą wszystko szlachtę i biedny plebs, istnieją ludzie, którzy żyją według swojego prawa. Którzy nie godzą się na wyznawanie bzdurnej Mocy Stworzenia, a chcą czcić swoich prawdziwych stwórców, panów otchłani, władców ciemności. Nazywacie ich demonami? Proszę bardzo, to tylko wasz plugawy język, nic więcej. A prawda jest taka, że te istoty istnieją i ustalają reguły tego świata od setek lat. Wasi kapłani nigdy by tego nie zrozumieli. Nie chcieli, żeby prawda rozlała się po królestwie, więc skazali nas na banicję i zapędzili na dalekie południe, które nie nadaje się do życia.

Dardana zmroziło.

– Te demony...

– Dla nas to Dobrodzieje. Sprawiedliwi sędziowie, którzy uczciwym ludziom zapewniają dobrobyt, grzesznym zaś śmierć. – Galius znów się uśmiechnął i było coś przerażającego w tym uśmiechu.

– Więc to... co wyszło z ciała tej spalonej kobiety... wtedy, na placu... – Dardan nie potrafił do końca wyartykułować tego, o czym myślał. Wydawało mu się to wyjątkowo niedorzeczne. Jednocześnie perspektywa, że ta niedorzeczność może okazać się prawdą, potwornie go przerażała.

– Tak. To był jeden z nich. To, czego byłeś świadkiem, to był Rytuał Daru. Jeden z Dobrodziejów, w zamian za duszę nieskalanej, tchnął w naszego brata dar życia. Zakończył okres jego bezrozumnej egzystencji i przemienił z, jak wy to mówicie, barbarzyńcy w prawdziwego wyznawcę.

– Córka gospodarza...

– A jakże – przytaknął Galius. – Widzę, że zaczynasz rozumieć. Mieszkańcy Vorenau to grzesznicy, niegodni, by stąpać po ziemi i czerpać z jej dóbr. Ale niektórzy wśród was są jeszcze nieskalani grzechem. Tacy doskonale nadają się na ofiarę.

– Vadienne?

– Och tak, jej ofiara będzie najwspanialszą z możliwych. Niewinna dziewczyna, w której żyłach płynie królewska krew. Tyle wystarczy, żeby Dobrodzieje zaszczylicili nas swoją liczną obecnością na ziemi. Dzięki temu będziemy mogli odzyskać to, co odebrano nam wiele lat temu.

– Ale dlaczego tylu ludzi musi zginąć? Dlaczego w imię własnej wiary karzecie tych, którzy na to nie zasłużyli? – dociekał Dardan, choć podświadomie czuł, że ta rozmowa nie ma sensu.

– Świat musi zostać oczyszczony z grzechu i zepsucia. Tylko prawdziwi wyznawcy mogą dostąpić zaszczytu ponownego zasiedlenia tej żyznej krainy. Czy nie widziałeś, Dardanie, jak wyglądało królestwo pod rządami Ruddabarda? Wszędzie panowała bieda, ludzie nieraz musieli oddawać w niewolę swoje dzieci,



żeby przeżyć. Król i jego arystokraci nakładali mordercze podatki i wyzyskiwali poddanych tylko po to, by ich życie opływało w luksusy...

– Ale przecież tak nie musi być! Nie każdy władca musi zachowywać się tak samo! – upierał się de Brandt. Złapał się na tym, że rozmawia z Galiusem zupełnie tak, jak wiele lat temu, gdy jako małe dziecko uczył się od niego historii i polityki.

Nie uszło to uwadze starca.

– Zawsze miałem do ciebie słabość, Dardanie. Dlatego też uratowałem ci życie, gdy to wszystko się zaczęło. Pozwoliłem ci ujść cało z zamieszania na zamku, bo wierzyłem, że masz potencjał, jest w tobie dobro. Któregoś dnia mógłbyś stać się prawdziwym wyznawcą i przysłużyć się temu krajowi. Po prawdzie nadal na to liczę.

Dardan spuścił głowę niczym skarcony uczeń. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, że człowiek, którego darzył tak ogromny szacunkiem, stał się kimś takim. Nie. Nie stał się... On zawsze taki był. Jak mogli z ojcem tego nie dostrzec?

– Zabiłeś mojego ojca, Galiusie – powiedział po chwili milczenia.

Starzec westchnął. Dardanowi zdawało się, że było w tym westchnieniu coś prawdziwego. Szybko jednak odpędził od siebie tę złudną nadzieję.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem, ale i konieczną ofiarą. Jego śmierć zdestabilizowała kraj, uspiła czujność króla, który myślał, że jego wrogowie zostali zgładzeni.

– Więc zrobiłeś to tylko po to, by móc zrealizować swój cel?

– Nie tylko, mój Dardanie. Nas wszystkich. Cel, który nam przyświeca, jest znacznie większy i bardziej szlachetny niż życie jednego człowieka. Nawet jeśli był twoim ojcem, a moim przyjacielem.

To ostatnie słowo w ustach Galiusa rozzłościło młodego szlachcica.

– Jak śmiesz nazywać go swoim przyjacielem?!

– Był nim w istocie. Cała twoja rodzina była mi bliska, Dardanie.

De Brandt chwycił za rękojeść miecza i powoli wyciągnął go z pochwy.

– Dość już usłyszałem.

– Dardanie, opamiętaj się. Przyłącz się do mnie. Razem możemy uczynić świat lepszym miejscem. Gdybyś tylko zechciał otworzyć się na Dobroczyńców...

– Przykro mi, Galiusie. I ja miałem cię za przyjaciela... Widzę jednak, że nie ma dla ciebie ratunku. Twój dobroczyńcy przynoszą jedynie zło.

Dardan błyskawicznie rzucił się w stronę trzech mężczyzn. W ich dłoniach jak na zawołanie pojawiły się zakrzywione ostrza. Bez większych problemów sparowali cios mężczyzny. Ku jego zaskoczeniu wyprzedzili jego ruchy i natychmiast powalili na ziemię. Nie mógł w to uwierzyć. Był szybkim i zręcznym szermierzem. W ciasnym korytarzu dwóch uzbrojonych żołnierzy nie powinno sprawić mu problemu. Jednak ci, z którymi się mierzył, najwyraźniej nie byli do końca ludźmi. Ich ruchami musiały kierować siły nie z tego świata, gdyż mężczyzna w żaden sposób nie był w stanie na nie odpowiedzieć. Nim się obejrzał, otrzymał potężny cios w głowę i stracił przytomność.

\*\*\*

Gdy się ocknął, przed oczami miał znany już widok. Krąg postaci w kapturach, płonąca pomiędzy nimi ogień i ponure śpiewy. Prędko zorientował się jednak, że tym razem nie był to sen. Znajdował się w wielkiej sali na zamku w Vorenau. Przykuty do ściany patrzył na płonące palenisko i gromadzących się przy nim dzikich. A może już nie dzikich? Wyznawców?

Otrząsnął się i odepchnął od siebie tę myśl. Zaczął rozglądać się po pomieszczeniu, jakby w nadziei, że znajdzie coś, co pomoże mu znaleźć wyjście z sytuacji. Ku swojemu zadowoleniu nie dostrzegł żadnych innych więźniów. Być może Kai i Kahadenowi udało się nie dostać do niewoli? Skarcił się za tę myśl. Nie było sensu robić sobie nadziei. Równie dobrze mogli nie żyć.

Śpiewy zakapturzonych postaci przybrały inny ton. Dardan nie znał tej melodii. Być może była to jakaś uroczysta pieśń, przygotowana specjalnie na wyjątkowy rytuał. Wtem do sali wszedł Galius. Niósł przed sobą rytualny nóż, podobny do tego, który de Brandt widział już wcześniej. Za nim kroczyła wolno kolumna zakapturzonych osiłków, prowadzących przed sobą młodą dziewczynę.

Rozpoznał Vadienne i zrobiło mu się niedobrze. Nie mógł dopuścić do siebie myśli, że nie będzie w stanie pomóc tej biednej dziewczynie, którą ci zwyrodnialcy za chwilę spalą żywcem. Jeszcze bardziej zaś bał się tego, jakie konsekwencje przyniesie jej śmierć. Czy rzeczywiście ściągnie tu siły jeszcze potężniejsze od demona, który wniknął w ciało wyznawcy zabitego podczas poprzedniego rytuału?

Spróbował szarpnąć pętające go więzy. Zgodnie z przewidywaniem ani drgnęły. Samodzielnie się nie uwolni – to było pewne.

Do tej pory Vadienne była nieprzytomna, ale gdy dwóch osiłków zawlekło ją w pobliże paleniska, ocknęła się.

– Nie! – krzyczała wniebogłosy, szarpiąc się przy tym jak dzikie zwierzę zapędzone do klatki. – Puśćcie mnie!

Jej wrywanie się zdało się na nic. Ramiona trzymających ją mężczyzn były zbyt silne.

– Vadienne! – krzyknął Dardan, próbując zwrócić na siebie jej uwagę.

Dziewczyna podniosła głowę niczym wyrwana z transu i wlepiała w niego wzrok. Jej oczy rozszerzyły się nienaturalnie.

– D... Dardan? – wyjąkała. – Ty żyjesz?

Wyraźnie ucieszyła się na jego widok, jednak w chwili gdy zorientowała się, że de Brandt również jest unieruchomiony, mina jej zrzędła.

– Wyciągnę cię z tego! – dodał mężczyzna, próbując przebić się przez coraz głośniejszy chóralny śpiew członków mrocznego kultu. Wiedział, że nie będzie w stanie nic zrobić, ale chciał wlać w jej serce choć odrobinę nadziei.

– Dardan! Pomóż mi! Oni robią straszne rzeczy! – zawyła Vadienne i się rozplakała.

– Wytrzymaj! Coś wymyślę.

Obserwujący tę scenę Galius skinął głową na jednego ze stojących obok Dardana kultystów. Ten wyszedł przed szereg i silnym ciosem zdzielił de Brandta w twarz. Czy tego chciał, czy nie, musiał się uciszyć, gdyż nieomal stracił przytomność.

Mimo szarpania się i wrzasków królowny rytuał trwał w najlepsze. Zakapturzone postaci śpiewały i zacieśniały krąg wokół Galiusa i osiłków przytrzymujących córkę Ruddabarda. Ktoś wyszedł z kręgu i wykonawszy kilka dziwnych gestów, wrzucił coś do ognia, rozniecając płomienie, które buchnęły ze zdwojoną mocą. Jeszcze inna postać podała staremu słudze de Brandtów rytualne ostrze, nad którym ten odprawił modły, po czym uniósł nad głowę. Otaczające go postaci krzyknęły entuzjastycznie.

Starzec zbliżył się do Vadienne, którą opuściły już siły. Nie krzyczała, a jedynie szlochała spazmatycznie.

Ta młoda dziewczyna nie jest gotowa na śmierć – myślał Dardan. Dlaczego ją to spotyka? Był na siebie wściekły, że nic nie może zrobić. Może trzeba było inaczej to rozegrać? Co by było, gdyby przybył tu wraz z armią? Czy udałoby mu się rozbić hordy dzikich przed murami miasta? Sytuacja była beznadziejna.

Galius skończył rytualne gesty i obrócił się w stronę Dardana. Spojrzał mu głęboko w oczy, jakby po raz ostatni chciał przekonać go do swoich racji. W odpowiedzi na ten wzrok młodzieniec splunął na podłogę.

I wtedy stało się coś niespodziewanego. Jeden ze stojących w pierwszym rzędzie kultystów wysunął się naprzód i doskoczył do trzymających Vadienne osiłków. Błysnęło ostrze i z gardła pierwszego z nich trysnęła krew. Stojący dookoła umilkli momentalnie i przez krótką chwilę stali jak wryci, zupełnie zaskoczeni obrotem sytuacji. Zaraz potem powietrze przeszył świst i lecąca nie wiadomo skąd strzała wbiła się dokładnie w uniesioną rękę Galiusa, w której ten trzymał nóż. Rytualne ostrze poleciało w kierunku paleniska i zniknęło w płomieniach.

Ciszę przerwał przerażający wrzask Galiusa. Starszy mężczyzna chwycił się za dłoń, ale natychmiast oprzytomniał i przez zęby wycedził rozkazy do skonsternowanych towarzyszy. W tym czasie drugi z osiłków również padł na ziemię, trzymając się za krwawiącą pierś, z której wystawał krótki sztylet. Tajemniczy napastnik zrzucił kaptur i Dardan rozpoznał Kahadena.

Przyjaciel wyciągnął miecz, skryty dotychczas w połach czarnego płaszcza, i zaczął zręcznie nim wywijać, raniąc stojących obok kultystów. W pomieszczeniu było ciasno, więc zdezorientowani sekciarze w pierwszych chwilach nie za bardzo potrafili się obronić. W tym czasie z drzwi do sali wlatywały do środka kolejne strzały, kładąc trupem zakapturzonych.

Kaja pojawiła się w progu, uniemożliwiając ucieczkę z sali tym uczestnikom rytuału, którzy znajdowali się najbliżej wyjścia. Wystrzeliwszy cały kołczan, odrzuciła łuk i sięgnęła po sztylety, które miała za pasem. Rzuciła się na najbliższego z zakapturzonych, który w panice próbował się ratować. Poderżnęła mu gardło.

Element zaskoczenia miał jednak swoje granice. Wreszcie kultysty otrząsnęli się i zaczęli stawiać opór. Zanim jednak co bardziej rośli wśród barbarzyńców znaleźli broń, Kahaden utorował sobie drogę do Dardana. Doskoczył do niego, pozbawiając przy tym życia kolejnych dwóch mężczyzn. Mocował się chwilę z więzami, lecz wreszcie udało mu się je przeciąć. Prędko podał przyjacielowi sztylet.

– Tylko to zdołałem przemycić – powiedział, jakby tłumacząc się przed dowódcą.

– W porę.

Dardan, nie tracąc czasu, chwycił mocno rękojeść ostrza, gotów do walki. Zanim jednak zdążył rozprostować obolałe kości, zorientował się, że w jego stronę zmierza wielka czarna postać trzymająca w ręku zaostzony sierp. Dardan spojrzał jej w oczy. Nie były zwyczajne. Nie były to oczy człowieka.

– To jeden z nich – rzucił do Kahadena.

– Co?

– Ma w sobie demona.

Tak. Był tego pewien. Osilek, który biegł w ich stronę, nie był zwykłym człowiekiem. Musiał to być jeden z wytworów mrocznych rytuałów, które barbarzyńcy odprawiali w całym kraju. Dardan pomyślał, że żeby coś takiego

mogło chodzić po świecie, musiała zginąć jakaś młoda kobieta. Wzdrygnął się na tę myśl.

Postać błyskawicznie do nich doskoczyła. Najszybciej jak potrafił wykonał unik. Nie zdążył. Ostrze przecięło mu plecy. Dardan zawył z bólu i padł na posadzkę.

– Skurwysyn! – wydarł się Kahaden, widząc krwawiącego przyjaciela.

Natychmiast rzucił się na napastnika, ale ten był szybszy. Zanim przyjaciel zdążył wykonać jakikolwiek ruch, sierp przebił go na wylot.

– Nie! – krzyknął de Brandt, który mimo potwornego bólu podniósł się z podłogi.

Wielki uniósł nabitego na ostrze Kahadena i przez krótką chwilę delectował się swoim zwycięstwem. Mężczyzna pluł krwią. Gdy jego ciało gruchnęło o posadzkę, zaczął charczeć i się dusić. Umierał.

Dardan uniósł sztylet drżącą ręką i stanął naprzeciwko napastnika. Wiedział, że nie ma szans. Wiedział, że gdy tylko ten ruszy do ataku, nie zdoła się obronić. Nim jednak demoniczna postać zdążyła zrobić ruch, stanęła jak wryta. Z jej szyi wystawał błyszczący, ociekający krwią kawałek metalu. De Brandt spojrzał za osiłka. Kilka metrów dalej stała Kaja. Widząc spojrzenie mężczyzny, podbiegła do napastnika, z którego ręki wypadał właśnie sierp. Wyciągnęła własne ostrze i z całej siły kopnęła wielką postać, która zwała się ciężko na podłogę.

– Kahaden. – Dardan dopadł do przyjaciela i uklęknął przy nim. Nie zważając na własny ból, uniósł głowę towarzysza, który cały czas krztusił się krwią. Łzy spływały mu po policzku.

– Przepraszam... – wycharczał Kahaden i bezwładnie wysunął się z rąk dowódcy.

– Nie ma czasu – zauważyła przytomnie Kaja, podnosząc sierp, którym przed chwilą zabito młodego żołnierza.

Pomogła mu wstać i wcisnęła Dardanowi broń do ręki. Ten, krzywiąc się z bólu, ledwie stanął na własnych nogach. Z oczu płynęły mu łzy. Opanował jednak

narastający w nim żal, który postanowił zamienić na wściekłość. Rozejrzał się po sali. Większość kultystów zdążyła uciec. W komnacie oprócz siedzącej na ziemi, zdeorientowanej Vadienne, stał Galius wraz z kilkoma przybocznymi. Ci trzymali już w rękach ostrza.

– Wybrałeś śmierć, Dardanie – rzekł smutno starzec. – Przykro mi.

Dardan chciał rzucić się na niego, ale Kaja powstrzymała go w ostatniej chwili.

– Zaczekaj. – Przyciągnęła go bliżej siebie. – Myśl!

Był jej wdzięczny za to, że potrafiła zachować trzeźwość umysłu w tym wszystkim. Rzeczywiście samotny atak na grupę uzbrojonych mężczyzn nie byłby zbyt mądrym posunięciem. Ponadto nie wiedział, czy są to tylko zwyczajni wojownicy, czy może ich demoniczne wcielenia. Odpowiedź nadeszła szybciej, niż przypuszczał. Leżące obok ciała zabójcy Kahadena poruszyło się. Widząc to, cofnęli się kilka kroków, zbliżając się coraz bardziej do ściany.

Z truchła zaczęło sączyć się coś niby czarny dym, który powoli przybierał człekopodobny kształt. Gdy ten się uformował, pofrunął w stronę najbliższego ze stojących obok Galiusa mężczyzn i wniknął w niego. Wojownik wyprostował się i wciągnął głęboko powietrze.

– Przygotuj się – powiedział Dardan i wystąpił krok naprzód. Wiedział już, czego się spodziewać.

Z nadludzką szybkością postać pomknęła ku niemu, unosząc ostrze. Tym razem Dardan uniknął cięcia o włos. W tym samym czasie Kaja skoczyła do przodu i szurając kolanami po podłodze, prześliznęła się obok napastnika. Choć ten zareagował od razu i zamachnął się w jej stronę, zdążyła przeciąć mu sztyletem kostkę. Nie było po nim widać żadnych oznak bólu, ale stracił równowagę. De Brandt natychmiast zamachnął się sierpem i odciął demonowi drugą nogę. Upadając, napastnik zdążył jeszcze zadać jeden cios. Mężczyzna nie zdążył zrobić uniku i ostrze rozcięło mu ramię. Uskoczył i zawył z bólu.

Beznogi demon nie był w stanie kontynuować walki. Mglisty kształt opuścił jego ciało i pomknął przez salę, wnikając w kolejną uzbrojoną postać.

– Nie damy im rady – powiedział przytomnie Dardan, trzymając się za ramię i próbując zatamować krew.

Wtem dobiegły ich odgłosy kroków z korytarza. Początkowo Dardan myślał, że to uciekający kultysty. Pomylił się. Wytrzeszczył oczy i ogromny kamień spadł mu z serca, gdy do sali wparował Jarmos. Tuż za nim wbiegli Ratto i kilkunastu uzbrojonych żołnierzy.

Demon nienaturalnie obrócił głowę w ich stronę. Człowiek nie byłby zdolny do czegoś takiego, z pewnością skręciłby kark. Dardan nie miał zresztą złudzeń. Gospodarz, używający ciała zjawie, z pewnością już nie żył. Był tylko workiem mięsa i kości dającym schronienie postaci nie z tego świata.

– Uważaj! – krzyknęła Kaja do Jarmosa i znów rzuciła sztyletem.

Ostrze wbiło się w plecy potwora dokładnie w tej samej chwili, gdy ten wyprowadzał cios. Stwór zachwiał się i tylko dzięki temu mężczyzna zdołał sparować uderzenie. Było ono jednak tak mocne, że Jarmos, odbijając sierp własnym mieczem, zwałił się na ziemię.

Szczęśliwie żołnierze natychmiast zorientowali się w sytuacji i otoczyli demona. Ten zresztą nic sobie nie robił z faktu, że z pleców wystawała mu rękojeść sztyletu, i błyskawicznymi ruchami zadawał kolejne ciosy. Zdołał zabić dwóch mężczyzn, zanim reszcie udało się zadać mu tyle ran, że ciało nosiciela nie było już zdolne do poruszania się.

Kształt po raz kolejny opuścił trupa i pomknął w stronę kolejnego wojownika. Tym razem jednak Dardan i Kaja zareagowali odpowiednio wcześniej. Zanim kształt zdążył wniknąć w ciało kultysty, ten już nie żył, rozplątany ciosem wprowadzonym przez dowódcę wojsk Vorenau.

Pozostali żołnierze podchwycili pomysł i zaatakowali stojące na środku sali zakapturzone postacie. Barbarzyńcy stawiali opór, jednak bez demonicznego wsparcia byli tylko zwykłymi ludźmi, których dało się zabić w pojedynkę.

Rozpoczęło się potworne zamieszanie. Krew tryskała na wszystkie strony i kolejne cięcia spadały na głowy napastników. Demon skakał z jednego ciała



w drugie. Raz po raz udawało mu się wniknąć w któregoś z osobników w czarnych habitach i ten natychmiast zyskiwał nadludzką szybkość. Wtedy najczęściej ginął któryś z ludzi Dardana.

Walka trwała w najlepsze, zaś sala zaczęła wypełniać się martwymi wojownikami. Po posadzce spływała rzeka krwi. Nagle wśród potwornego hałasu de Brandt usłyszał krzyk kobiety.

– Vadienne!

Galius zdrową ręką złapał dziewczynę za włosy i ciągnął w stronę paleniska. Wymijając walczących, pokonując przeszywający jego plecy i ramię ból, Dardan z trudem przedostał się do nich.

– Nie zrobisz tego! – powiedział, gdy starzec podniósł dziewczynę z zamiarem wrzucenia jej w ogień.

Vadienne wiła się i piszcziała, ale miała już coraz mniej sił i nie była w stanie przeciwstawić się swojemu oprawcy.

– Nie przeszkodzisz mi, de Brandt! – odparł starzec i z całej siły cisnął biedną Vadienne w ogień.

Salę wypełnił wrzask dziewczyny. Buchnęły płomienie.

Dardan rzucił się rozpaczliwie w ich stronę. Wiedział, że nie zdąży. Wtem, z drugiej strony paleniska, prosto w ogień skoczyła Kaja. Nie zważając na płomienie, uderzyła w dziewczynę i razem spadły na posadzkę. Wojowniczką zaczęła się wić, by ugasić płonące ubranie i włosy. Roztrzęsiona Vadienne zebrała w sobie resztki sił i starała się jej pomóc.

Dardan dopadł do Galiusa i zaczął się z nim siłować. Normalnie nie miałby problemu ze starcem, ale rozdzierający ból z zadanych mu wcześniej ran poważnie go osłabił. Jego ruchy były wolne, brakowało mu sił.

Galius wykorzystał słabość dawnego podopiecznego i wyprowadził kilka ciosów pięścią, które trafiły Dardana w twarz, sprawiając, że ten zachwiał się i upadł na podłogę. Nim się pozbierał, mężczyzna był już przy nim. Bił i kopał wściekle, jakby nie był wcale starcem, a niewyżytym młodzikim.

Ostatkiem sił de Brandt wykonał unik i złapał napastnika za nogę. Przewrócił go. Starzec z jękiem gruchnął o posadzkę. Nie czekając ani chwili, Dardan usiadł na nim i zaczął okładać go pięściami po twarzy. Dawny mentor początkowo stawiał opór, próbując zasłaniać się rękami. Szybko jednak ustąpił i poddał się mężczyźnie, który bił go w opętańczym szale.

Twarz Galiusa zamieniła się w napuchniętą, krwawą miazgę.

– Wystarczy!

Kaja odciągnęła go od leżącego nieruchomo starca. Dardan dyszał ciężko i opadł na podłogę, podtrzymywany przez kobietę.

W tym samym czasie głowa ostatniego z kultystów potoczyła się po posadźce. Salę wypełnił ogłuszający pisk, niepodobny do niczego, co ktokolwiek z obecnych kiedykolwiek słyszał. Demon wzbił się w górę i przeleciał nad głowami żołnierzy.

– Jeszcze żyje... – wycharczał Dardan.

Kaja natychmiast spojrzała na leżącego obok Galiusa. Doskoczyła do niego i zaczęła ciągnąć go za ramiona. Jarmos i Ratto szybko zorientowali się w sytuacji. Zdążyli w ostatniej chwili.

Demon już pędził w ich stronę. Wniknął w ciało Galiusa dokładnie w chwili, w której wepchnęli go do ognia. Buchnęło potężnymi płomieniami sięgającymi niemal sufitu. Blask był tak oślepiający, że stojący nieopodal żołnierze musieli przesłonić oczy. Iskry wzbiły się w górę. Wrzucone w żar ciało zaczęło wić się i trząść, ale najwyraźniej nie potrafiło już przekroczyć granic kamiennego paleniska.

Niedługo potem blask płomieni zbladł, ogień uspokoił się i skwierczał naturalnie, jak podczas jednej z królewskich biesiad. Poza nim w sali nie można było usłyszeć niczego więcej.

## ROZDZIAŁ 13

Obudził się i z zaskoczeniem stwierdził, że leży w wielkim, wygodnym łóżku. W pierwszej chwili komfort miękkiej pościeli go uderzył, jednak zaraz po nim przyszedł tępy ból rozlewający się po całym niemal ciele. Próbował się poruszyć, ale szybko zorientował się, że nie było to możliwe. Syknął przeciągle.

– Leż.

Przyjemny kobiecy głos był tuż obok niego. Z trudem uniósł ciężkie powieki i dostrzegł siedzącą przy jego łóżku Vadienne. Była piękna – taka, jaką ją zapamiętał. Drobną i szczupłą, o dziewczęcej urodzie, z długimi, złocistymi włosami opadającymi na zgrabne ramiona. Ktoś, kto zobaczyłby ją pierwszy raz, mógłby pomyśleć, że jest jeszcze dzieckiem. Jednak jej oczy, mądre i zmęczone, zdradzały ogrom doświadczeń. Dardan pomyślał, że w tym wieku królewna nie powinna była przeżyć tyle złego. Nikt nie powinien.

– Vadienne... – wychrypiał cicho. Gardło miał założone flegmą i sklezione od środka, jakby nie używał głosu od bardzo dawna.

– Dardanie – dziewczyna uśmiechnęła się smutno – tak się cieszę, że się obudziłeś. Baliśmy się, że będziesz tak spał do końca świata.

– Jak długo spałem?

– Trzy dni. Ale spokojnie, potrzebowałeś tego. Po tym, co zrobiłeś, pozwoliłabym ci spać nawet przez rok. – Próbowała się zaśmiać, ale nie wyszło jej to zbyt dobrze.

Dardan pomyślał, że być może dziewczyna już nigdy nie będzie śmiać się w naturalny sposób.

– Co takiego zrobiłem?

– Uratowałeś mnie. Przyszedłeś po mnie, kiedy nie miałam już żadnej nadziei. Wszyscy zginęli. Oni wszystkich zabili, Dardanie. Wszystkich. Myślałam, że ty też nie żyjesz i że już nigdy cię nie zobaczę. A wtedy się pojawiłeś i mnie uratowałeś.

– To... moi przyjaciele. Ja byłem związany...

– Nie bądź taki skromny. Wiem o wszystkim. Kaja mi opowiedziała. To bardzo miła dziewczyna, wiesz?

Wiem – pomyślał Dardan, ale nie wypowiedział tego na głos.

– Gdzie jesteśmy?

– W zamku. Przynajmniej jego te dzikusy nie zniszczyły. Większość komnat jest w dobrym stanie. Tam odpoczywają twoi przyjaciele i żołnierze.

– Dziękuję.

– Za co? – zdziwiła się królowna.

– Za gościnę.

– Och, Dardanie. Ty już nigdy za nic nie musisz mi dziękować.

Złapała jego rękę. Poczuł przyjemny, delikatny dotyk jej dłoni i bijące od niej ciepło.

Do sali ktoś wszedł i Dardan usłyszał głos Kai.

– Wszystko gotowe – powiedziała kobieta i spojrzała na Vadienne trzymającą de Brandta za rękę. – Obudziłeś się... – W jej głosie Dardan wyczuł nieco mniej entuzjazmu, niż się spodziewał.

Kobieta podeszła do łóżka i usiadła na krześle po przeciwnej stronie królowny.

– Co jest gotowe? – zapytał Dardan.

– Pogrzeb – odparła smutno Kaja. – Kiedy spałeś, zebraliśmy ciała wszystkich poległych. Zakopimy ich na wzgórzu pod miastem.

Dardan zacisnął powieki i natychmiast przypomniał sobie o swoim Kahadenie. Po policzku spłynęła mu łza.

– Żegnaj, przyjacielu.

Dardan siedział na masywnym krześle, które Ratto i Jarmos przygotowali specjalnie dla niego. Chwilę wcześniej znieśli go z drewnianego wozu, którym

przyjechał na wzgórze. Nie był jeszcze w stanie samodzielnie chodzić. Towarzysze ustawili mebel na skraju dołu, w którym złożono poległych żołnierzy. Było ich zbyt wielu, aby kopać osobne groby.

Ciała dzikich również uprzątnięto, złożono na stosie i spalono daleko za miastem.

Sprzątanie – pomyślał Dardan – tym będą zajmować się pozostali przy życiu mieszkańcy królestwa przez najbliższy rok, a może i dłużej. Sprzątaniem ciał i chowaniem zmarłych.

Spojrzał raz jeszcze na dół, który żołnierze zaczęli już mozolnie zasypywać. Chciał coś powiedzieć, wygłosić jakąś kwiecistą przemowę, która wlałaby w serca towarzyszy choć trochę optymizmu.

Nie potrafił.

\*\*\*

Zanim wyruszyli w drogę, minęły prawie dwa tygodnie. Oddział potrzebował czasu na zregenerowanie sił i przygotowanie się do powrotu do kamiennego miasta. Zamek, oprócz wygodnych komnat, miał całkiem spore zapasy żywności, dzięki czemu pozostali przy życiu wojownicy mogli należycie odpocząć. Dardan powoli dochodził do siebie, podobnie jak inni ciężko ranni żołnierze, ale po upływie kilkunastu dni był już zdolny zarówno do poruszania się o własnych siłach, jak i do jazdy konnej.

Gdy wyjeżdżali ze stolicy, towarzyszyły im uczucia nostalgii i ulgi, że wreszcie opuszczają to ponure cmentarzysko. Kolumna poruszała się powoli. Nie było już powodu, by się spieszyć. Dardan był przekonany, że na swojej drodze nie spotkają już żadnej hordy najeźdźców. Vorenau było wyzwolone. Mijając kolejne wsie, wciąż napotykali jednak stosy gnijących już ciał. Widok był okropny. Wszyscy mieli jednak nadzieję, że najgorsze już za nimi. Że do wsi wrócą ludzie, którzy przebywali obecnie w górach, uprzątną pobojuwisko i na nowo tchną życie w przetrzebione wojną królestwo.

Przez większość drogi Dardan był nieobecny. Mało z kim rozmawiał, podczas postojów stronił od towarzystwa. Zamyślony jechał samotnie konno, z dala od innych. Mimo ostatecznego zwycięstwa nie mógł pogodzić się ze śmiercią swoich żołnierzy i towarzyszy, z najbliższym przyjacielem na czele.

Prawie nie rozmawiał z Kają. Kobieta również zachowywała się, jakby wydarzenia ostatnich dni wyssały z niej chęć do życia. Ponadto Dardan wyczuwał, że jest zazdrosna o królową, mimo iż sama absolutnie nie chciała się do tego przyznać.

Z kolei Vadienne odzyskiwała radość życia. Wraz z upływem czasu zaczęła się zachowywać tak, jakby widok śmierci najbliższych, zagłada miasta, pobyt w niewoli i ostateczne otarcie się o śmierć jej nie zmieniły. Złe uczucia ją opuszczały, robiąc miejsce nadziei na lepsze jutro i wyczekiwaniu tego, co miała przynieść przyszłość. Humor poprawił jej się zwłaszcza wtedy, gdy Dardan poinformował ją, że gdy opuszczał górskie miasto, jej ojciec wciąż żył.

Dziewczyna, jako jedna z niewielu osób z najbliższego otoczenia dowódcy, zdawała się pozytywnie patrzeć w przyszłość. Dla wielu żołnierzy zaskoczeniem była jej otwartość. To, w jaki sposób potrafiła przesiadywać przy ognisku z prostymi wojami, sprawiało, że wszyscy zaczęli ją lubić i szanować. Daleko jej było do nadętej arystokratki, za jaką wszyscy ją mieli, gdy jeszcze mieszkała na zamku. De Brandt pomyślał, że będzie dobrą królową.

Nie chciał w ogóle myśleć o tym, co wydarzy się, gdy już dotrą na miejsce. Ze wstępnych rozmów z Vadienne wynikało, że ta wciąż uznaje go za swojego narzeczonego. Wiedziała, że to nie on zabił młodego van Toriana i że za wszystkim stał zdrajca Galius. W związku z tym młoda królowa planowała połączenie jej własnego rodu z nazwiskiem de Brandt i wspólne rządy Vorenau. Dardan starał się jednak nie wchodzić z nią w głębsze dyskusje na ten temat.

Jechali powoli, ciesząc się ostatnimi ciepłymi i słonecznymi dniami lata. Omijali pogorzeliska i doły z trupami, zmierzając prosto ku widniejącym na horyzoncie góróm.

\*\*\*

Bramy górskiego miasta otworzyły się, zanim jeszcze zdążyli dotrzeć pod mury. Powitano ich gromkimi wiwatami. Na placu czekał tłum niecierpliwych gapiów, pragnący usłyszeć jak najlepsze wieści. Żony i córki żołnierzy wypatrywały swoich ukochanych. Gdy jeźdźcy przybyli na miejsce, niektóre z nich natychmiast pognały w stronę swoich ukochanych. Inne wciąż z niepokojem szukały bliskich wśród wojowników. Wielu nie było dane ich dojrzeć.

Tymon Hłaz wraz ze swoją świtą czekali na Dardana z niecierpliwością. Gdy de Brandt zsiadł z konia, setnik bezceremonialnie rzucił się na młodego dowódcę. Świeżo zagojone rany znów się odezwały i mężczyzna syknął z bólu.

– Wybacz – zreflektował się Tymon. – Wiedziałem, że wam się uda. Bo... Udało wam się, skoro żyjecie?

– Tak, Tymonie, królowa jest z nami. Najeźdźcy zostali pokonani i wypędzeni.

– Ha! – krzyknął Hłaz, wznosząc dłonie ku niebiosom. – Słyszeliście, ludzie? Słyszeliście? Jesteśmy wolni! Wróg został pokonany! Niech żyje Dardan de Brandt!

– Niech żyje! Niech żyje! – błyskawicznie podchwycił słowa strażnika tłum i po chwili tysiące gardeł skandowało nazwisko Dardana.

Ten pozostawał jednak spokojny.

– Co z królem? – zapytał Tymona, przekrzykując wszechobecny hałas wiwatujących ludzi.

– Nie żyje.

Przekazano informację Vadienne. Zareagowała spokojnie. Uroniła łzę, ale pozostawała niewzruszona. Dardan był pewien, że kobieta bardzo przejęła się śmiercią ojca, zwłaszcza że nie tak dawno temu dowiedziała się, że ten być może jeszcze żyje. Mimo to nie dzieliła się swoim żalem z poddanymi. Potrafiła zachować powagę i kamienną twarz. Znów pomyślał, że jest urodzoną królową.

Nagle wiwatujący tłum ucichł, gdy na pobliskich schodach, prowadzących z górnych partii miasta na plac, pojawiła się liczna grupa uzbrojonych żołnierzy.

– Van Torian – powiedział Tymon do Dardana i Vadienne. – Udało mi się łagodzić nastroje w mieście, ale chyba przybyliście w samą porę. Wciąż ma wielu ludzi za sobą.

Ludzie zaczęli się rozstępować, robiąc miejsce nadchodzącemu wojsku. Jeśli robili to zbyt wolno, żołnierze van Toriana zmuszali ich do tego, używając siły. Po dłuższej szamotaninie arystokrata wraz ze swoją strażą stał już w dwóch rzędach naprzeciwko Dardana i jego żołnierzy. Siły były nierówne. Oddział de Brandta wciąż był liczniejszy i mimo zmęczenia z pomocą strażników Tymona z pewnością poradziłby sobie z grupą szlachcica. Dowódca obiecał sobie jednak, że zrobi wszystko, by do rozlewu krwi nie doszło. Dość jej już wsiąkło w ziemię w ostatnim czasie.

– Dardanie de Brandt! – zawołał donośnym głosem Hugon van Torian. – Król nie żyje. Jako najwyżej postawiony w hierarchii arystokrata wzywam cię, byś stanął przed sądem za zdradę stanu i zamordowanie mojego syna!

Przez zgromadzony wokół tłum mieszkańców przemknęły pomruki i szepty. Dardan wystąpił naprzód. Przypomniawszy sobie o pewnym przedmiocie, który znalazł w drodze do stolicy. Sięgnął do sakiewki i wyjął z niej lśniąca, bogato zdobioną bransoletę. Odpiął od pasa miecz i wręczył go Tymonowi, po czym nieuzbrojony pewnym krokiem podszedł do szlachcica. Wszyscy wokół patrzyli na niego ze zdziwieniem. Wyciągnął rękę, pokazując bransoletę van Torianowi.

– To należało do twojej rodziny, jak mniemam.

Hugon wytrzeszczył oczy. Na jego twarzy zagościły zdumienie przemieszane z furją. Gdy już miał wybuchnąć, Dardan przemówił.

– Nie zabiłem nikogo o nazwisku van Torian. Ani twojego syna, ani żadnej z twoich córek czy kuzynek. Nie zrobił tego także mój ojciec. Wszystko to stało się za sprawą niejakiego Galiusa, który od lat prowadził podwójne życie, sabotując nasz kraj i sprowadzając na nas zagładę, której właśnie jesteśmy świadkami. Mam już dość rozlewu krwi w Vorenau. Nie chcę, aby ktokolwiek więcej ginął, a już na pewno nie mam ochoty na bratobójcze walki. Galius, jakkolwiek fatalnie to teraz



brzmi, był mi jednak bliski. Od dawna pracował dla mojego ojca i moja rodzina jest niejako odpowiedzialna za jego czyny. Oddaję się więc w twoje ręce. Stanę przed każdym sądem, który dla mnie powołasz, a jeśli masz ochotę odrąbać mi łeb tu i teraz, także nie będę stawiał oporu. – Ostatnim słowem towarzyszyła ironia, choć były one szczere.

Van Torian stał jak wryty. Takiego obrotu spraw się nie spodziewał. Doskonale wiedział, że wraz ze swoimi ludźmi jest na przegranej pozycji i gdyby doszło do walk, nie miałyby szans. Musiał też wiedzieć, że zgromadzony w mieście lud z pewnością stanie murem za swoim nowym bohaterem. Mimo to wyszedł gotowy na to starcie i najpewniej na śmierć. De Brandt szanował to. Uznał, że musi pozwolić temu człowiekowi odzyskać honor.

– Nie ma mowy! – zawołała piskliwym, lecz stanowczym głosem Vadienne.

Królowna wystąpiła z szeregu i dziarskim krokiem skierowała się ku stojącym naprzeciw siebie mężczyznom. Minęła Dardana i stanęła oko w oko z van Torianem. Była od niego o dwie głowy niższa, jednak postawa, którą przyjęła, pewna siebie i odważna, nie pozostawiała złudzeń. Ta kobieta nie zamierzała się bać ani ustępować nikomu.

– Jestem Vadienne. Jedyne żyjące potomstwo króla Ruddabarda IV. Jak zapewne wiesz, mości Hugonie, hierarchia arystokracji nie ma żadnego znaczenia, póki ród królewski nie zginął. A ród mojego ojca, jak widzisz, żyje. – Patrzyła na jeszcze bardziej dezorientowanego Hugona i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła swój wywód. – Wygląda mi więc na to, że prawowitą władczynią Vorenau jestem ja.

Przeniosła wzrok na żołnierzy oraz stojących najbliżej strażników i zwykłych ludzi, jakby chciała przekonać się, czy wszyscy rozumieją i akceptują jej słowa. Odpowiedziały jej ciche potakiwania.

– Tak się składa, że obecny tu Dardan de Brandt jest winny jedynie temu, że uchronił nasz kraj przed zagładą, przegonił najeźdźców i uratował mi życie. Wybacz więc, mości Hugonie, ale nie stanie on przed żadnym sądem.

Pomruki tłumu stawały się coraz głośniejsze. Do uszu Dardana zaczęły docierać coraz częstsze słowa aprobaty wypowiedane przez znaczną część ludzi. Niedługo potem znów zaczęto skandować jego nazwisko, a także, ku pewnemu zaskoczeniu, imię Vadienne.

– Ach, dosyć tego! – zawołał w końcu Tymon Hłaz i zwrócił się do tłumu. – Niech żyje królowa Vadienne!

– Niech żyje!

– Niech żyje królowa!

– Niech żyje Dardan de Brandt!

Nawet po niektórych żołnierzach van Toriana widać było, że mają ochotę skandować wraz z tłumem. Hugon zacisnął zęby. Wbił gniewny wzrok w królową, ta zaś wytrzymała jego spojrzenie i nawet nie mrugnęła. Wreszcie szlachcic odpuścił. Ściskając w ręku rodową bransoletę, odwrócił się na pięcie i odszedł. Nie wszyscy jego żołnierze ruszyli wraz z nim.

\*\*\*

Gdy wiwaty i powszechna radość mieszkańców skalnego miasta dobiegły końca, rozpoczęto przygotowania do walnej uczty. Na placu rozstawiano stoły, wytaczano beczki piwa z najgłębszych piwnic, zaś kucharki w pocie czoła przygotowywały potrawy dla wszystkich chętnych. Cała osada, a biorąc pod uwagę okoliczności, być może cały kraj, miała zamiar świętować gorzkie, okupione tysiącami ofiar zwycięstwo.

Powszechnie mówiło się także o tym, że podczas uczty zostanie ogłoszona jeszcze jedna wiadomość. Królowa Vadienne zamierzała poślubić Dardana de Brandta i łącząc ich rody, stworzyć nową linię królewską.

\*\*\*

Późną nocą, gdy zabawa trwała w najlepsze, a co drugi jej uczestnik albo chwiały się na nogach, albo wręcz bezceremonialnie leżał pijany w sztok pod którymś ze

stołów, Dardan usunął się w cień. Krążył między stołami, co chwilę opędzając się od ludzi, którzy chcieli osobiście mu pogratulować, złożyć życzenia czy po prostu uściskać. Nie wiedział, ile mu to zajęło, ale wreszcie odnalazł drogę na najwyższe partie miasta, niedaleko królewskiej rezydencji. Spodziewał się spotkać tam Kaję. Nie pomylił się.

Kobieta stała oparta o kamienną balustradę i z dzbankiem wina w ręku obserwowała bawiący się tłum. Podszedł i stanął obok niej. Jego wzrok również skierował się w dół, w stronę placu.

– Nie zdążyłem ci podziękować.

Zamiast mu odpowiedzieć, pociągnęła solidny łyk wina z glinianego naczynia.

– Za to, że byłeś ze mną przez ten cały czas. Że uratowałaś mnie wtedy. Uratowałaś ją, królestwo.

Kaja wciąż milczała.

– Ale myślę, że będzie jeszcze na to czas.

Obróciła głowę w jego stronę i posłała mu pytające spojrzenie. Dardan uśmiechnął się tajemniczo.

– Jeśli dobrze pamiętam, te schody prowadzą prosto do stajni – zaczął enigmatycznie i kiwnął głową w stronę wąskiej płataniny stopni ciągnących się w dół jakąś boczną drogą.

– Być może... – odezwała się w końcu wojowniczką.

– Chyba nie dasz się prosić? Jeśli ruszymy teraz, póki wszyscy są pijani, może uda nam się niepostrzeżenie wymknąć z miasta?

– O czym ty mówisz, Dardan?

– Och, daj spokój. Nie myślisz chyba, że zamierzam poślubić tę dziewczynę i zostać królem?

Patrzyła na niego pytająco, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Uprzedził ją.

– Słyszałem, że na pograniczu grasują jakieś oprychy. Może damy im nauczkę? – Wyszczrzył zęby i dodał po chwili: – Wino możesz zabrać. Przyda się.

Kaja nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, po czym objęła go mocno i przyłożyła głowę do jego piersi. Nie czekając ani chwili dłużej, pobiegli w stronę krętych schodów.

Tej nocy rzeczywiście wszyscy byli na tyle pochłonięci świętowaniem, że nie zauważyli, jak dwie sylwetki na koniach opuściły miasto i pomknęły prosto na południe.

# SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Karta redakcyjna

*Ostatni rajd*

ISBN: 978-83-8313-499-4

© Michał Podgórski i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Jędrzej Szulga

Korekta: Konrad Witkowski

Okładka: Grzegorz Araszewski



**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek